

MIESIĘCZNIK LITERACKI

# AKANT

ISSN-1429-9054 SWW 2711-2 Nr Rej. 295 Nr Indeksu 344141 NR 1(66) Rok VI styczeń 2003 cena 4,00 zł (VAT 0)

www.akant.telvinet.pl ✉ e-mail: akant@akant.telvinet.pl

w numerze:

Wojciech Banach · Jolanta Baziak · Anna Błachucka · Ares Chadzinikolau  
Stanisław Chyczyński · Stanisława Deluga · Jerzy Franczak · Stanisław Franczak  
Ewelina Frydryszek · Łucja Gocek · Peter Halliday · Sokrat Janowicz · Aneta Jaworska  
Robert Juarroz · Jerzy Kałwak · Jacek Karolak · Wojciech Kawiński · Grzegorz Korba · Zbigniew Kresowaty  
Renata Krupa · Eugeniusz Kupper · Tadeusz Lira-Śliwa · Daria Danuta Lisiecka · Joanna Ładanaj  
Adam Majewski · Miłosz Kamil Manasterski · Aldona Mika · Ariana Nagórska · Bułat S. Okudzawa  
Stefan Pastuszewski · Beata Pokorska · Józef Jacek Rojek · Jan Stanisław Smalowski · Ruth Sorel-Choromańska  
Natalia Ślesińska · Jacek Tabisz · Stanisław Truchan · Mirosław Tryczyk · Agnieszka Wieczorek  
Mieczysław Wojtasik · Karol Zapala · Paweł Zawadzki

*Jacek Karolak*

## Jabłonie

Odkąd pamiętam  
stały tu korowody jabłoni  
o wiecznym niepokoju owadów  
wplątanych w białoróżowe pukle.

Nawet zimą, gdy wiatr uchylał  
skrzypiącą noc, wyglądały jak panny  
trzymające przed sobą kandelabry  
z płomykami śniegu.

Zdawało się, że z każdą wiosną  
stają się młodsze; obsypane  
gwarem kwiatów przypominały  
drużby czekające na własny ślub.

W końcu ronily, naręcza  
owoców o dziecięcej skórze,  
w ich miąższu czaiła się  
nieubłagana śmierć lata.

*Jolanta Baziak*

## Gwiazdy po których można chodzić

Zostały dwie na niebie  
jedna dla mnie  
druga dla ciebie  
świat się wypalił  
wszędzie ciemno

z tych gwiazd stworzymy jedną  
ludzką  
o niej można rozmawiać  
i kochać

życie nie jest białym obłokiem  
snem  
z małych prawd się wykluwa  
dorasta  
i odchodzi w gwiazdy  
przecież jest światłem

## Czwarty Agon Poetycki „O Wieniec Akantu”

Redakcja miesięcznika „Akant”, nawiązując do swych symbolicznych korzeni śródziemnomorskich, ogłasza czwarte zawody poetyckie dla wszystkich bez wyjątku twórców pragnących zmierzyć się na arenie tematu: „*Furtka słońca; jest też taki świat*”.

Do zawodów dopuszczone więc zostaną te wiersze, które w sposób mniej lub bardziej bezpośredni nawiązywać będą do tego – określonego w temacie zawodów, niezmiernego obszaru egzystencjalno-kulturowego. Sugerujemy optymizm i nadzieję.

Utwory, nigdzie dotąd nie publikowane i nie wysłane na inny konkurs, w ilości od jednego do czterech w trzech egzemplarzach, opatrzonych go-dłem, należy nadsyłać na adres: Redakcja „Akant”, 85-009 Bydgoszcz, ul. Dworcowa 51 B/4 – do 15 listopada 2003 roku.

Jury przyzna siedem nagród:

Grand Prix	-	1000 zł
I nagroda	-	500 zł
II nagroda	-	300 zł
III nagroda	-	200 zł
Trzy wyróżnienia	-	po 100 zł

Jury, mając możliwość nieprzyznania którejs z nagród, dokona również wyróżnienia poprzez wybór utworów do publikacji w „Akancie”, a także w almanachu pokonkursowym, który ukaże się do końca 2004 roku.

Wyniki konkursu ogłoszone zostaną na łamach miesięcznika „Akant” w styczniu 2004 roku wraz z tematem kolejnego agonu poetyckiego.



Anna Błachucka

O AKANCIE (akrostych)

O! Spójrz na naszczytnik antyczny  
Akantu spletem zdobny hojnie...  
Kwiat, liść – nie cieszy tych praktycznych,  
Ale ty przyznasz – jak tak strojnie!  
Nie słuchaj głosu dylematów  
– Czas stworzyć myśl godną akantu!  
I nie daj odrzec życia z marzeń,  
Ex usu ducha szukaj zdarzeń!

Chciałabym złożyć najlepsze życzenia z okazji Jubileuszu na wiele, wiele „piątek” lat, by nie zabrakło siły, entuzjazmu, no i sponsorów, by promować słowa o kulturze, literaturze, by coraz więcej ludzi miało do nich dostęp. Bo tak mało na co dzień literatury w naszym zabieganym życiu.

Bogusława Matusiak  
Solec Kujawski

Z okazji 5-lecia „Akantu” szczerze gratuluję stałości, tak upodobań, jak wytrwania w codziennym trudzie. Przez pięć lat oddziaływaście na umysły i wrażliwość Polaków, krocząc w szeregu odnowicielei ducha narodu. Myślę, że niejeden Wasz pomysł znakomicie się udał, niejeden wydał się nie do zaakceptowania. Ale otwarcie się na dyskusję uczyniło Wasz miesięcznik forum dla każdego. Licząc, że w tym kierunku rozwinie się dalsza praktyka pisma, pozwolę sobie pogratulować dobrych wyników osiągniętych do dziś i trwałej wizji przyszłości.

Stanisław Stanik  
Warszawa

Zyczę Redakcji sukcesów, a autorom „lekkiego pióra”.

Włodzisław Polaczek  
Tarnów

Z okazji piątej rocznicy istnienia Miesięcznika Literackiego „Akant”, składam Redakcji serdeczne podziękowanie za trud wkładany w propagowanie literatury, za zapobiegliwość mającą istotne znaczenie dla polskiej kultury. Jesteście przekonujący czynieniem. Jesteście potrzebni środowisku literackiemu i Czytelnikom.

Zbigniew Gorzędziej,  
Śrem

Pozwalam sobie na przekazanie najlepszych życzeń – ażeby za sprawą prawdziwego bohaterstwa Jolanty Baziak i Stefana Pastuszewskiego „Akant” kwitł na tej coraz bardziej jałowej glebie!

Edmund Pietryk  
Poznań

„Akantowi” – stu lat w tym i stu – w każdym następnym stuleciu.

Mariusz Trynkiewicz

AKT NADANIA  
„GRUDKI EKONADZIEI GAI” Nr 6/02  
Kapituła Układu Planetarnego Słonecznego

w składzie:

Józef – Słońce  
Olo – Merkury  
Aleksander – Wenus  
Olgierd – Ziemia  
Lusiu – Księżyc  
Alfons – Mars  
Alfond – Jowisz  
Alf – Uran  
Aloś – Neptun  
Ali – Pluton  
Olek – Saturn

postanawia przyznać Miesięcznikowi Literackiemu „AKANT” z okazji 5-lecia owocnej działalności oraz za wybitne zasługi w szerzeniu Ekonadziei, „Grudkę Ekonadziei Gai” odnalezioną w Starej Hucie nad Baryczą

DUCH



W imieniu Kapituły  
Alfons Soczyński

Życzenia na 5-lecie

Nie jest ważne, ile dajemy, ale ile miłości w to wkładamy. Dlatego „Akant” pulsuje życiem, nadaje mu smak, a aromatem mistrzowskiej kuchni pobudza do... no właśnie, innego spojrzenia. I błędną przy nim uroki słodkiego życia, błędną miedziane złociszę. Bo muszą. Nie są wartością duchową. „Akant” to rozkosz dla ducha, inspiruje i serca słucha. Myśli słowami oplata, a nie złota wszystko wokół kocha. Powiem „dziękuję” – to za mało, po prostu słów brakuje. Podam dłoń... uścisk i łezkę w sercu wycisnę. Tak, to swoista perelka, która jest taka perlista. Kocham was, za tlen życia, za miłość, którą obdarzacie. Postaram się zrewanżować, choć nie chodzę w krawacie. Ta pięcioletnia kadencja dowodzi, że jesteście wspaniałymi sternikami łodzi. Nawet Posejdon nie chce wzniecać burzy, otacza czułością, choć czoło czasem chmurzy. Dzeus nad wami opiekę sprawuje, a ja przy tym tylko się uczyć i kuje.

Marck Krzysztofiak  
Inowrocław

„Akant” ma nad większością pism literackich przewagę zdecydowaną, niewątpliwą. Jest aktualny, dostępny i ukazuje się regularnie. Dodając do tego odpowiedni poziom artystyczny, mamy to, czego pozazdrościć mogą inni.

A przecież rynek wydawniczy jest nieprzyjazny ambitnym inicjatywom. Wiele pism tego typu żywo miało o wiele krótszy. A przecież w niektórych kręgach funkcjonuje (o zgrozo!) przekonanie, że pieniądze wydane na taki cel to pieniądze wyrzucone w błoto.

„Akant” jest z nami i oby był jak najdłużej! Prezentuje blaski i cienie życia, nie tylko literackiego, dyskusje, spory i różne poglądy.

To miały być spóźnione życzenia z okazji piątej rocznicy istnienia czasopisma. Może już zbyt spóźnione? Niech będzie to w takim razie kolejny głos za.

Wojciech Sobiecki  
Toruń

Moje serdeczne, choć spóźnione gratulacje; mieszkając od lat za granicą nie byłem w stanie wylapać istotnej dla polskiego życia literackiego rocznicy. Zyczę z całego serca sukcesów „Akantowi”.

Krzystian Czerwiński  
Lenningen, Niemcy

Miłosz Kamil Manasterski

CZYTAJĄ

ten chłopak w metrze  
z „Akantem” rozłożonym na kolanach  
podkreśla ołówkiem ciekawe frazy  
kręci głową z niedowierzaniem  
a może z podziwem

ta dziewczyna w bordowej sukience  
z tomikiem wierszy Tadka Zawadowskiego  
na korytarzu przychodni rejonowej  
kiedy wstaje ostrożnie chowając tomik  
dostrzegam zaawansowaną ciężę

ta para starszych ludzi  
rozmawiają nad filiżanką kawy  
mają sobie tyle do powiedzenia  
o metaforach, hiperbolach, porównaniach  
ona właśnie poznawała Eliota  
on studiował Herberta

jak zwykle ulegam wzruszeniu  
kiedy dowiaduję się  
że ludzie wciąż  
czytają wiersze

a Bóg  
wciąż stwarza  
poetów



5  
LAT  
AKANTU



Ariana Nagórska

## „Akant” a inne czasopisma

5  
LAT  
AKANTU

Tekst ten jest rozszerzeniem mojej wypowiedzi z okazji uroczystości 5-lecia „Akantu”, obchodzonej tłumnie 21 listopada 2002 roku w bydgoskim klubie „Węgliszek”.

Był taki całkiem nieoddległy czas (lata dziewięćdziesiąte), gdy znaczną część swych dochodów wydawałam na literackie czasopisma. Pożytek z tych wieloletnich wydatków był jeden: uświadomienie sobie, że na takie „dobra kultury” zbyt wiele wydawać nie warto. Po dokonaniu selekcji zostałam stałym i wiernym prenumeratorem wyłącznie „Twórczości” i „Akantu”. „Twórczość” istnieje od dziesięcioleci jako czołowe polskie czasopismo literackie i nie wydaje mi się, by potrzebowała akurat mojej reklamy. „Akant” jest natomiast pismem młodym, dla wielu środowisk niewygodnym, nie nazbyt hojnie dotowanym, nie płacącym honorariów – tym większa więc sensacja, że zdołało skupić wielu świetnych autorów, dało szansę prezentacji równie dużej liczbie autorów mniej znanych oraz debiutantów i co najważniejsze – od pięciu lat ukazuje się regularnie, bez poślizgów, przestojów i numerów łączonych (które w roku 2002 nawet „Twórczość” wprowadziła z braku środków finansowych na wydawanie pisma co miesiąc). Tymczasem (skoro wydawanie tygodnika kulturalnego jest w kapitalistycznym dobrobycie sprawą niewykonalną) wyłącznie miesięcznik ma szansę być czasopismem żywym, aktualnym, chwytającym rzeczywistość na gorąco, zdolnym do prowadzenia dyskusji i polemik, które przyciągają do „Akantu” najwięcej czytelników. W tym momencie konieczne trzeba też podkreślić główny atut pisma: jego otwartość na zróżnicowane (często uchodzące za kontrowersyjne) opinie i poglądy, unikanie zbyt nachalnego forsowania gustów i preferencji redakcji (oby to się nie zmieniło!), brak dominujących w innych redakcjach postaw doktrynerskich bądź asekuranckich. W kraju karierowiczów i oportunistów odwaga jest szczególnie cenna, jako dobro zdumiewająco rzadkie. W „Akancie” można spotkać autorów, którzy niezbyt często pojawiają się w innych pismach, czyli oferta jest odrębna od krajowego nudnego standardu. Stale dołączają też nowi autorzy, na szczęście, nie tylko młodzi. Los zatwardziały młodzieżowców czasopiśmienniczych jest z reguły groteskowy.

Nie brak towarzystw wzajemnej adoracji złożonych z osób około trzydziestki, przekonanych, że należą do młodzieżowej awangardy literackiej, gdy tymczasem weszły już na pisarską scenę roczniki o wiele młodsze, uznające tamtych za ekspozyty muzealne. Przy dzisiejszym przyspieszeniu (gdy debiutują coraz młodszy) w wiek średni tedy wkracza się coraz szybciej. Bardzo ważne więc, że o publikacji w „Akancie” nie decydują kryteria wiekowe i pokoleniowe, a na łamach spotkać można autorów od najstarszych do najmłodszych. Stąd też ciekawa dla czytelnika różnorodność doświadczeń i wizji świata prezentowanych w utworach, a także wielość form, klimatów, tematów i gatunków literackich.

Autorzy „Akantu” zachowują też daleko idącą niezależność sądów. Tu ukłon w kierunku recenzentów, którzy często przybliżają czytelnikowi książki mniej znane, wcale nie

kwapiąc się do wielbienia okrzyczanych idoli i powtarzania peanów produkowanych przez całe stado krytyków skorumpowanych. Zauważam, że „Akant” wykazuje wielką odporność na szmirę i tandetę, powszechnie reklamowaną dziś jako wybitna literatura. Tym samym nie poszukuje wcale czytelnika po najmniejszej linii oporu. Nie epatuje też barwnym pacykarstwem okładek, co jest w wielu innych czasopismach istną plagą.

Miałam też okazję stwierdzić, że choć redakcja miewa kłopoty finansowe, jednak nie za każdą cenę godzi się pozyskiwać pieniądze. Gdy kiedyś otrzymywałam listy mówiące wciąż o rozpaczliwej sytuacji finansowej pisma, doradziłam redakcji jak prawdziwa córka boskiego kapitalizmu: *tylu jest bogatych grafomanów wydających po kilka książek w roku, a wy nie umiecie zarobić? Na takie książki pies z kulawą nogą nie siknie, jeśli więc ogłosisie, że za określone pieniądze autor będzie mógł sam zareklamować swoje dzieło, to chętnych z forsy nie zabraknie.*

Wiadomo też, iż nie brak rodziców przekonanych, że mają genialne dzieci. Odpłatny druk wierszyka takiej dzieciny w czasopiśmie niejednemu geszefciarzowi wydać się może pierwszym krokiem juniora do Nobla. Kapitalistom wbito do głowy, że kariera zależy od inwestycji, więc wykorzystajcie to! Redakcja odpowiedziała jednak z godnością, że nigdy nie obniży w ten sposób poziomu pisma. – *O, idealści! Katony-Rejtany za trzy pięćdziesiąt. Mój mistrz Machiavelli w grobie się ze śmiechu przewraca – pomyślałam sobie w pierwszej chwili. Trochę mi jednak zaimponowali, dlatego też powyższy epizod uwieczniłam.*

Za największą zaletę „Akantu” uznają jednak to, że nie ogranicza się wyłącznie do tematyki literackiej. Dla mnie akurat najciekawsze są dyskusje polityczno-społeczne, zagadnienia ogólnohumanistyczne oraz wszystko, co napisała Halina Petrykowska. Mam nadzieję, że kontakt redakcji z tą autorką nie ulegnie rozluźnieniu.

Zupełną nowością na rynku jest też wydawanie przez „Akant” w grudniu trzynastego numeru, prezentującego nie tylko bibliografię zawartości całego rocznika (co czyni kilka prestiżowych czasopism w kraju), ale również fotografie i noty biograficzne wszystkich autorów (takich rzeczy bardziej leniwym redaktorom nie chce się robić). Oczywiście żadne redakcje innych miesięczników nie wydają trzynastego numeru, skoro i z dwunastoma mają nieraz problem. Jeśli zaś chodzi o kwartalniki, to w czwartym kwartale zwykle oferują numer drugi, a w środku lata numer czwarty z roku poprzedniego. „Akant” natomiast przez pięć lat ani razu nie zaważył terminu.

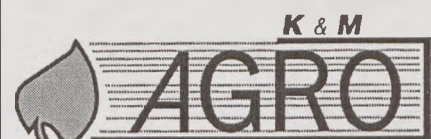
Pozostaje więc życzyć choćby i stu lat! Taką już jednak mam naturę, że bardziej cenię konkretną teraźniejszość niż mglistą przyszłość. Gdyby się nawet w owej przyszłości nic ciekawego nie wydarzyło, to i tak pięć lat istnienia „Akantu” nie da się wymazać ani z mapy literackiej kraju, ani też ze świadomości czytelników. Wszyscy zawistnicy razem wzięci nie są władni temu przeszkodzić. Pnijcie się więc w górę i trwajcie jako te kolumny, których głowice już w starożytności wierczył akant. Nawet śmieci XXI wieku nie zdołają ich zasypać!

GRADAR  
drukarniawizytówki  
zaproszenia  
listowniki  
teczki  
ulotki  
książkiGrażyna i Dariusz  
Darowni85-009 Bydgoszcz  
ul. Dworcowa 51  
tel./fax 052/  
322-38-86

Przedsiębiorstwo Produkcjo-Montażowe

Elektromontaż  
Pomorski SA  
w Bydgoszczy85-451 Bydgoszcz  
ul. Grunwaldzka 229Centrala: 322 18 05, tel./fax 322 46 01  
e-mail: zot@elektromontaz.bydg.pl  
http://www.elektromontaz.bydg.plSalony fabryczne: ul. Gdańska 120  
tel./fax 321 33 46  
Fordon, ul. Piwnika Ponurego 4  
tel./fax 346 73 28Producent stolarki budowlanej PCV  
w systemie ThyssenNajwyższa jakość!  
5-letnia gwarancja!

PROMOCJA: rabat na okna nietypowe

Produkujemy też schody samonośne  
oraz balustrady i poręcze wszelkiego rodzaju  
(materiał i kształt – dowolne)

R. KWIATKOWSKI - M. MAKOWSKI

85-458 Bydgoszcz, ul. Wiejska 122  
tel./fax (0-52) 327 83 37

- ✓ projektowanie i urządzenie ogrodów
- ✓ unikatowy materiał szkółkarski drzew i krzewów ozdobnych
- ✓ oczka wodne wraz z małą architekturą i oświetleniem

Ceny przystępne  
z możliwością negocjacji

## DO NABYCIA:

Rewelacyjne nawozy specjalistyczne firmy „Hydro”. Nadają się do wszelkiego rodzaju upraw warzywnych i kwiatowych. Paczkowane przez firmę „Agro” nawet w porcjach 1 kilograma. Do nabycia przez cały czas w bazie PW

„Agro” 85-458 Bydgoszcz (Czyżkówko)  
ul. Wiejska 122, tel. 345 51 37  
w godz. 7.00-17.00



Daria Danuta Lisiecka

## Wędrowki po manowcach

5  
LAT  
AKANTU

„Cudne Manowce” wzięły się z naszeptów, nasłuchów, wędrowek po miastach i miasteczkach z autorskim *Teatrem Moich Wierszy*, którego spektakle zwykle kończą się rozmową. Niektóre rozmowy zaś przeciągają się do późna – zapamiętałam zwłaszcza jedną, która z sali teatralnej przeniosła się do festiwalowej kawiarenki, a gdy tę zamknięto, toczyła się nadal na łące, gdzie zakończyła ją dopiero burza z piorunami...

Rozmowy te snują się wokół poezji, czasem ktoś wyciąga mały pliczek rękopisów, czyta, albo oddaje mi go nieśmiało na odchodne. Naturalnym przedłużeniem rozmów są listy płynące z różnych stron i zmierzające w różne strony.

„Cudne Manowce” wzięły się z zaufania, jakim zechcieli mnie obdarzyć młodzi twórcy – ci kilku- i kilkunastoletni, wzięły się z mojego wsłuchania w ich opowieści, z uważności wzajemnej, z wędrowek na dworce i na przystanki autobusowe w miejscowościach, do których docierałam zajmując się zawodowo teatrem amatorskim.

Twórczość młodych postrzegam jako warunek do życia im wręcz niezbędny. Zwłaszcza ich wiersze – pozbawione są pozy, sztuczności wszelkiej. Mają siłę i świeżość, mówią dużo o młodzieńczym świecie wewnętrznym, a także o zmaganiach z codziennością, doświadczaną w całej jej różnorodności i nieobliczalności. Są niezwykle cenionym przez młodych obszarem wolności i prawdy. Ich lektura pozwala pozyskać wiedzę o młodych, jest też wdzięcznym polem do analizy

sandrowskim Miejskim Centrum Kultury. Wszystkie edycje konkursów wieńczą antologię zbierającą wiersze laureatów.

Konkursy są dla młodych niezwykle ważne, udział w ich finałach dodaje autorom skrzydeł, uczy krytycznego oglądu twórczości własnej i innych. Przedsięwzięcia te mają też pewien mankament – odbywają się raz do roku, są zaledwie epizodem w życiu młodych autorów, którzy dla harmonijnego rozwoju potrzebują poczucia stałości.

Pisma literackie jednak zdają się na ogół brzydzić wszystkim, co ma w nazwie przymiotnik „dziecięcy” lub „młodzieżowy”, utożsamiając wręcz obydwie te określenia z przymiotnikiem „infantylny”, powstające zaś w kolorowych pismach rubryki literackie nie przekonują młodych autorów.

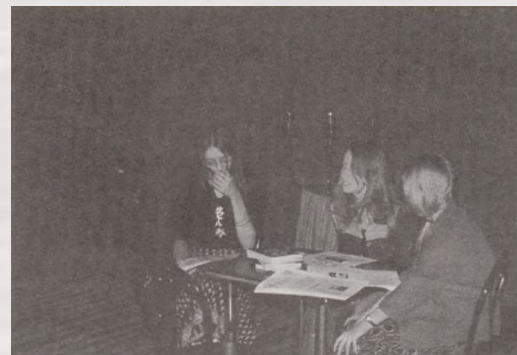
„Cudne Manowce” narodziły się przede wszystkim z dążeń młodych twórców, moich do-

torialnymi, bowiem publikują tu twórcy z wielkich miast, małych miasteczek i wsi.

Każdego dnia do „Cudnych Manowców” przychodzi z różnych stron Polski obfita korespondencja, której prowadzenie traktuję nad wyraz sumiennie, łącząc z własnej kieszeni na związane z nią usługi pocztowe.

Piszą nie tylko młodzi, ale i dorośli, chwyląc konsekwentny wizerunek pisma i jego kształt artystyczny, wolny od kolportowania kolorowych plotek i uwodzicielskiej łatwizny.

Sen z powiek spędza mi jednak kondycja finansowa pisma i brak stabilności pod tym względem. Podziwiam redaktorów „Akantu”,



Jolantę Baziak i Stefana Pastuszewskiego, którzy wspierają pismo, za co im niniejszym serdecznie dziękuję. Podziękowania należą się także przyjaciółom z bliskich i odległych krańców Polski: Juliuszowi Wątrobie, Małgorzacie Brzezińskiej, Ryszardowi Komackiemu i Katarzynie Cisek oraz wszystkim innym utrzymującym mnie w wierze, że przedsięwzięcie ma sens i przyszłość. Oby ich dobre życzenia okazały się prorocze, a zjawisko, jakim są „Cudne Manowce”, zostało także docenione przez tych, którzy rozdzielają w naszym kraju środki na kulturę! ✎



ich stosunku do wartości słowa i języka.

Na początku tej przygody starałam się, by na twórczość młodych otworzył się teatr, by wiersze ich mogły stać się szkieletem konstrukcji spektakli – i tak powstały trzy przedstawienia Teatru „ALE”, działającego w Miejskim Centrum Kultury w Aleksandrowie Kujawskim: „Idąc”, „Dokąd?”, „Są tylko przejścia”, które zyskały uznanie młodych widzów i przysporzyły teatrowi przyjaciół.

W teatrze znalazła schronienie jednak tylko niewielka grupa utalentowanych, a zapotrzebowanie na dzielenie się własną twórczością rychło okazało się większe. Z myślą o szerszym obiegu młodzieńczej poezji powołałam do życia w 1997 r. Konkurs Poetycki dla Dzieci i Młodzieży „Otwórzmy okna”, a rok później z myślą o najmłodszych twórcach – Konkurs na baśń „Pewnego dnia...”. Obydwa konkursy mają obecnie ogólnopolski zasięg, są traktowane przychylnie przez zarządzających miastem, mają solidne oparcie organizacyjne w alek-

świadczeń w pracy z nimi, z doświadczeń mego przyjaciela Arkadiusza Irka, który przed laty opiekował się międzyszkolną gazetą, z przychylności redaktorów „Akantu”.

„Akant” z racji ogólnopolskiego oddziaływania wydał się miejscem idealnym do zakotwiczenia przy nim Pisma Literackiego Młodych „Cudne Manowce”.

Pismo to powstaje w moim domu, przy współpracy stałych korespondentów, którymi są Michalina Pruszyńska, Paulina Kuźba, Antonina Lisiecka, Aleksandra Z. Nowak, Monika A. Frąckiewicz, Aleksandra Liszka, Alicja Wątroba i Marlena Augustyniuk. Technicznie i artystycznie wspierają pismo Paweł Lisiecki, Ryszard Wojtkiewicz, Adam Radosz i Arkadiusz Irek. Czynią to wszystko honorowo, za co niechaj będą im dzięki. Pismo ukazuje się od kwietnia 2002 r., liczy osiem stron, posiada stałe rubryki: „Parę słów na dobry początek”, „Ars Poetica – młodzi o swojej twórczości”, „W stronę prozy”, „Okno Michaliny”, „Do Złotej Rybki”, „Debiuty”, „Półka z książkami”, „Konkursy. Wydarzenia. Spotkania” oraz ukazujące się co jakiś czas – „Inspiracje”, „Portret zbiorowy”, „Wielogłos”. Na łamach pisma toczyła się dyskusja o konkursach literackich oraz wadach i zaletach Internetu. W każdym numerze publikowane są utwory ok. 30 autorów. Ich sylwetki scharakteryzowane są zawsze w „Notach o autorach”, publikowanych na ostatniej stronie pisma. Z not tych jasno wynika, że pismo ma zasięg ogólnopolski, a także działa ponad podziałami tery-

## HOTEL DLA LITERATÓW!

Hotel „Centralny” w Bydgoszczy posiada ciepły klimat pensjonatu. Opiekuje się swoimi gośćmi, urządza dla nich wyjazdy w atrakcyjne miejsca, jest w stanie zorganizować różne imprezy, w tym sympozja i spotkania autorskie.

Nocowali u nas:

Zofia Nałkowska, Ernest Bryll,  
Adriana Szymańska, Teresa Kowalska,  
Kazimierz Braun, Tadeusz Lira-Słiwa,  
Krzysztof Bilica, Janusz Mrzygod

Ceny od 108 zł (pokój jednoosobowy),  
od 165 zł (pokój dwuosobowy),  
od 260 zł (apartament) za osobę.

Przedsiębiorstwo Hotel „Centralny”  
ul. Dworcowa 85, 85-010 Bydgoszcz  
tel. (052) 322 88 77, 322 88 76,  
fax 322 88 70



Przy hotelu kawiarnia dla niepalących z najlepszymi ciastkami w grodzie nad Brdą!

Raz na miesiąc, w trzeci wtorek, w godz. 18.00-20.00 spotkanie Klubu Polskiej Książki.

Organizator: Michał Krzemkowski  
tel. 052/363 07 76



Aneta Jaworska, Natalia Slesińska

## Zapiski z Jubileuszu



21 listopada A.D. 2002, o godz. 18.00, w Kawiarni Artystycznej „Węgliszek”, odbyła się niezwykle uroczystość – Jubileusz 5-lecia „Akantu”. Zebrani goście byli niezwykle liczni, elegancy i ciekawi, co też za niespodzianki przygotowali im „gospodarze wieczoru”. Pierwszą z nich okazał się wstęp do uroczystości – był on nie słowny, lecz muzyczny (Gustaw Holst, *Brook Green Suite*). Wykonali go soliści *Orkiestry XXI Wieku* pod batutą Vadima Perevoznikowa: Magdalena Koronka (I skrzypce), Helena Piniuta (II skrzypce), Mateusz Bocheński (altówka), Adam Szurka (wiolonczela) i Viola Łukaszewska (fortepian; gościnnie). Następnie uroczystość przemówił dyrektor Miejskiego Ośrodka Kultury i przyjaciel „Akantu”, Marek Stankiewicz. Powitał wszystkich zgromadzonych „siarczyście i sżniście”, wręczył list gratulacyjny, po czym oddał głos kluczowym osobom na sali – Jolancie Baziak (redaktor naczelnej „Akantu”) i Stefanowi Pastuszewskiemu (sekretarzowi „Akantu”); ci zaś tryskali radością, a jednocześnie byli niezwykle wzruszeni. Głosy jednak przeszły im przez gardła: dziękowali wszystkim za przybycie, a z inicjatywy J. Baziak zebrani uczcili minutą ciszy zmarłych w ostatnim okresie: kreatora bydgoskiej kultury Andrzeja Szwalbego oraz pisarzy: Jerzego Sulimę-Kamińskiego i Kazimierza Julgę (co, być może, jest pewnym odstępstwem od obowiązującej podczas takiej uroczystości etykiety, lecz dzięki temu niezujący artyści byli jakby obecni na Jubileuszu... a cieszyliby się oni z niego na pewno!).

Po owym uroczystym wstępie nadszedł czas na podziękowania i dołączone do nich dyplomy, które otrzymali m.in.: prezydent Bydgoszczy – Konstanty Dombrowicz, wice-

prezydent Bydgoszczy – Maciej Obremski, dyrektor Wydziału Kultury i Nauki UM – Ireneusz Frelichowski, który wręczył list gratulacyjny od Urzędu Miasta, radni – Michał



Ufundowany przez MOK jubileuszowy tort autorstwa cukierni Adama Sowy  
Jubileuszowe tableau prezentują Jolanta Baziak i Stefan Pastuszewski  
Ufundowany przez MOK jubileuszowy tort autorstwa cukierni Adama Sowy  
Jubileuszowe tableau prezentują Jolanta Baziak i Stefan Pastuszewski

Krzemkowski i Bogdan Dzekanowski, a także liczni przyjaciele i autorzy. Nie obyło się, oczywiście, bez życzeń i kwiatów dla głównych „filarów” „Akantu”; miłą niespodzianką sprawiła gospodarzom Krystyna Potrubacz, która przybyła nie tylko ze „złożonymi w rymy” życzeniami, ale i z dwoma aniołkami, którym powierzyła czuwanie nad redakcją. Wierszem gratulowali i dziękowali za istnienie pisma także i inni goście (m.in. ks. H. Stępień). Nastąpiło również tradycyjne wręczenie „Kolumny »Akantu«” szczególnie zasłużonemu artyście (bądź też po prostu „artyście życia”). Tym razem otrzymał ją Grzegorz Misiewicz. W trakcie tych „owianych emocjami” zdarzeń nieustraszone kelnerki wniosły ogromny tort, który swym pięknem wszystkich oczarował, a zatem godny jest – mimo swego obecnego „niebytu” – zachowania w pamięci potomnych: widniała na nim „Akantowa” stronica z dwiema kolumnami i słodkim, czekoladowym kwiecikiem...

Nadszedł czas toastu. Połał się szampan, goście śpiewali „Sto lat niech żyje nam... »Akant!«,” po czym przechylili puchary za dalszą pomyślność i szczęśliwe ukazywanie się (w tych trudnych dla pism literackich czasach) miesięcznika. Rozbawiony Stefan Pastuszewski obrazowo mówił o funkcjach użytkowych „Akantu” („Akanti” jako podkładka pod buty, tacka na jedzenie, nie wyrwywająca z objęć Morfeusza lektura, która bezszelestnie wypada ze znużonych palców miłośników literatury).

Wyjątkową atrakcją wieczoru okazała się loteria, w której nagrodami były głównie książki; prawie żaden z rozgorączkowanych „hazardzistów” nie wylosował tej, o której marzył, toteż trwała „śródstolikowa” wymiana fantów.

Dodatkowymi nagrodami były także kalkulatory ufundowane przez sklep „Biznesmen”. Baczynym okiem karykaturzysty obserwował gości Marek Rona, szkicując ich fizjonomie i wręczając modelom, co sprawiło im ogromną, często niespodziewaną radość. Dla uszu zebranych prezentem był zaś ponowny, tym razem dłuższy, koncert *Orkiestry XXI Wieku*, grającej: *Kwartet na smyczki nr IV D-dur (I i II cz.)* Dymitra Szostakowicza; *Oblivion*, *Śmierć anioła*, *Liber-*

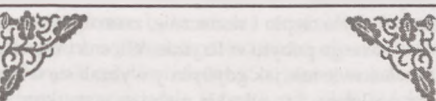
tango Astora Piazzolla; *Małą suitę* Arthura Honeggera. Zasluchali się zebrani goście, rozmazali...

Podczas tego szczególnego wieczoru nie zabrakło również miejsca na wystąpienia krytyczno-literackie. Ariana Nagórska dokonała charakterystyki „Akantu” na tle innych czasopism (należy on do tzw. „elity” pism, obecnych na polskim rynku), zaś dla wielbicieli Chin i twórczości Han Suyin nie lada gratką okazało się wystąpienie jej tłumaczki, Teresy Kowalskiej, omawiającej powieść „Kalekie drzewo”.

Jednakże goście nie chcieli być jedynie biernymi słuchaczami. Wielu z nich skorzystało z szansy wypowiedzenia się, jaką dali im gospodarze ogłaszając „wolny mikrofon”. Padły słowa pochwały, uznania, osobiste spostrzeżenia dotyczące „Akantu” i związanego z nim kręgu osób. Przewodniczący Rady Redakcyjnej „Akantu” – Marek Pietrzak uraczył zebranych krótkim, fortepianowym wykonaniem słynnego kujawiaka „Czerwone jabłuszko”, za co dostał owacje na stojąco.

Po tych jakże licznych niespodziankach i emocjach nadszedł czas na „symfonię dla zmysłów”: obdzielanie wszystkich zgromadzonych jubileuszowym tortem, przy którym nagle – o cudzie! – pojawił się mały torcik ze sztucznymi ogniami. Rozkosze podniebienia były tak wielkie, że każdy – popijając szampana – skupił się na wzmrożonej konsumpcji.

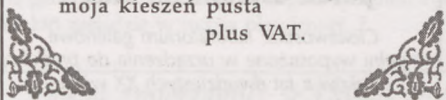
Jubileusz powoli dobiegł końca. Gospodarze serdecznie podziękowali gościom za przybycie i długie „trwanie na straży” przy „Akancie” – wszak to już pięć lat minęło... Oby miesięcznik utrzymał się na rynku przez wiele, wiele lat, czego życzymy sobie i naszym wiernym Czytelnikom. ■



Mieczysław Wojtasik

TOAST  
Z AKCENTEM KOMERCYJNYM

AKANT to wolności przestrzeń,  
to droga jasna i prosta.  
Głupotę migiem w proch zetrze,  
a nikczemnika wychłosta.  
AKANT to bydlę rozkoszne:  
wzdycha,  
prycha,  
filozofuje,  
dowcipkuje sprośnie,  
poezji rzekę rozlewa szeroką  
i wzbija się – na nieziemską wysokość.  
I stroi się, choć na damski gust  
jest to szary zwykły drapichryst...  
wabiący pieniemi słownika!  
Obyś przemógł każdego s.....byka!  
Niech ci się żyje, AKANCIE, sto lat!  
Życzę ci ja,  
moja kieszeń pusta  
plus VAT.





## Ruth Sorel-Choromańska

## Spotkanie na całe życie (15)

Mimo, że Michał znał Wieniawę jeszcze z „Ziemianiskiej”, czekaliśmy cierpliwie w swojej kolejce. Podniesiony głos jakiegoś pana zwrócił naszą uwagę. Domagał się on natychmiastowej audiencji u ambasadora. Kiedy powiedziano mu, że musi trochę poczekać zawołał:

– Siedziałem w obozie koncentracyjnym i żądam, żeby ambasador zaraz mnie przyjął!

Działo się to wczesną wiosną 1940 roku i słowo „obóz koncentracyjny” nie miało jeszcze wtedy swojej tragicznej i straszliwej wagi. Wszyscy byli zażenowani nie tym, że cierpiał ale tym, że nie potrafił się opanować.

Jakaś młoda panienska stała na drugim końcu sali. Akurat drzwi się otworzyły i wyszedł z nich ambasador, więc panienska zaczęła błagać go o przyjęcie jej. Powiedział jej, żeby zaczekała, bo teraz nie ma czasu, wtedy rozplakała się, a Wieniawa, jak to Wieniawa, nie mogąc patrzeć na lzy dziewczęce, zaraz ją przyjął. Jeszcze wtedy kobieta płacząc mogła osiągnąć zamierzony cel. Ja sama później w Bordeaux miałam identyczną przygodę.

Jeden z urzędników przyjął nas w końcu i umówił się z nami w małej restauracji nieopodal ambasady. Po jakiejś pół godzinie przyszedł, przeproszając za spóźnienie. Zdziwił się, że nic nie zamówiliśmy.

– Jesteśmy zupełnie bez grosza – wytłumaczył Michał.

– Ach, dlaczego państwo nic nie powiedzieliście, zaraz po obiedzie wrócimy do ambasady, załatwimy dla was pieniądze i mieszkanie.

W ambasadzie dano nam tysiąc lirów i adres naszego nowego zamieszkania.

Był to pensjonat państwa Baldonich przy Placu Adriana 15. Nasze okna wychodziły na Tyber i Castel San Angelo, gdzie tyle lat siedział uwięziony Cagliostro skazany przez Inkwizycję na dożywocie. Działo się to w roku 1791. Niedoszły lekarz był chyba nie tylko wielkim czarnoksiężnikiem, awanturnikiem czy oszustem, jak kto chce, ale też niebywałym sportowcem, bo ucieczka z takiej wysokości była nie lada wyczynem, a jednak dokonał tego. Co prawda zamek wtedy był obłożony różowym marmurem i ozdobiony fryzami, ale mimo to potrzeba było niezwykłej odwagi i zręczności, żeby się ważyć na takie przedsięwzięcie.

Oglądaliśmy później tę okrągłą fortecę. Sze-roka droga wewnątrz tego giganta prowadziła ślimakiem aż na sam szczyt. Dziwiłam się, dlaczego droga jest taka długa, bez schodów, i po co w ścianach wykuto dziury.

– Żeby w czasie wojny i zdobywania zamku żołnierze i wozy posuwali się wolno i jak najpóźniej dotrzeć mogli na samą górę – tłumaczył Michał – W otworach w ścianach fortecy trzymano zaś przykutych więźniów.

Nie chciałam uwierzyć, że więziono ludzi jak psy, przykutych łańcuchem, gdzie trudno było o siedzące miejsce dla jednej osoby, co i bez potrzebnego urządzenia higienicznego. Odór był chyba nie do zniesienia... Ale tak było.

Na samej górze, pod dachem, gdzie trzymałno Giuseppe Balsamo alias Cagliostro pomieszczenia były wcale, wcale. W jednym pokoju z wielkimi oknami była nawet bieżąca woda.

Michał spojrział na kran i powiedział, że kiedyś męczono więźniów w ten sposób, że nie całkiem zamykano kran i woda bezustannie noc i dzień kapłała regularnie. Ten pergidny sposób wyprowadzał więźnia z równowagi.

Osobowość Cagliostro była jeszcze jak gdyby obecna tutaj. Michał to wszystko chłonał i z zacięciem rozglądał się wokół. Był przy tym skupiony, poważny i zamyślony.

– Co tam w Polsce się teraz dzieje? – powie-

dział. – Kto z moich bliskich i znajomych jest teraz więziony i torturowany?

W kraju została jego siostra Lidia, która wyszła po raz drugi za mąż. Przed samą wojną urodziła synka. Dzwoniła potem szczęśliwa do Michała i pytała go, jakie ma mu nadać imię.

– Powinien mieć imię twarde i twardego charakteru. Najlepiej – Piotr – odpowiedział Michał.

Mąż Lidii – architekt Lucjan Rzepecki poszedł na wojnę, wiadomo było że dostał się do niewoli. Tyle tylko wiedzieliśmy wtedy o rodzinie Michała. Oczywiście o nawiązaniu jakiegokolwiek kontaktu nie mogło być wówczas mowy.

Z pomieszczeń zajmowanych przez Cagliostro drzwi prowadziły przez krótki korytarz na szeroki dach, a właściwie taras z zielenią, gdzie więźniowie odbywali spacer. Widok stamtąd na Rzym był piękny i imponujący i jestem pewna, że Cagliostro marzył o skrzydłach, dzięki którym mógłby się stamtąd wydostać.

Raz już, przed szesnastu laty odwiedziłam to miejsce. Byłam wtedy w trupie tanecznej słynnej Mary Wigman i tournée nasze wiodło przez Rzym, Florencję i Turyn. To właśnie Florencja i leżące niedaleko Fiesole miały wpływ na cały mój dalszy rozwój artystyczny. W czasie naszego siedmiodniowego pobytu zwiedziłam muzeum Uffizi przy Ponte Vecchio. Godzinami tam wystawałam przed obrazami Batticello, Martiniego, Leonarda da Vinci czy Perugina podziwiając kompozycję, kolory, a także światło i cień, układy ciała, perspektywę i technikę malarską.

„Nad tym dziełem Leonardo pracował dwadzieścia lat!” – myślałam. I od tego czasu zawsze mi się wydawało, że za mało pracuję nad kompozycją i wykonaniem każdego utworu i że mógł być on lepiej wykonany i wyrażony. Widziane w tym okresie mojego życia arcydzieła w dużym stopniu zaważyły na formowaniu się mojego stylu, oczywiście odmienione i przetworzone. Natomiast tacy twórcy jak Kathe Kollwitz i George Grosz oraz rzeźbiarze Barlach i Rodin wpłynęli na kształt tematów realistycznych mojej sztuki tanecznej.

W pensjonacie państwa Baldonich zatrzymało się jeszcze jedno małżeństwo. On był Amerykaninem polskiego pochodzenia, ona zaś Polką. Ciągle jęczała:

– Dlaczego zabrałeś mnie od rodziny i teraz chcesz mnie pozostawić samą?...

Była bowiem mowa o tym, że gdy nie uda im się wspólny wyjazd – on wyjedzie pierwszy i potem ją do siebie sprowadzi. Przy stole siedzieliśmy wspólnie z rodziną Baldonich – z panią Baldoni będącą już w starszym wieku, jej córką ładną i miłą panią i z jej dwoma synami, z których starszy był malarzem i zajmował się konserwacją zabytków w kościołach rzymskich.

Makaron! Ileż oni mogą zjeść makaronu! Od tego czasu trochę mi ta potrawa obrzydła, bo jak można dzień po dniu podawać na obiad makaron...

Czas spędzaliśmy najczęściej oglądając zabytki Rzymu, przy tym mieliśmy szczęście, bo sam hrabia Skrzyński, świetny znawca Wiecznego Miasta poświęcał nam swój czas. Spotykaliśmy się prawie codziennie w parku Villa Borghese. Droga prowadziła przez Via Vittorio Veneto, aleją kwitnących akacji aż do samego szczytu. Mąż, zachwycony akcją, nie mógł znaleźć słów dla wyrażenia ich niezwykłego uroku. Wszędzie tam, gdzie był jeszcze stary Rzym przywoływałyśmy postaci z dawnych epok. Jak by tu powiedzieć – czuło się jeszcze ich obecność. Niestety, wille zamienione na muzea, skutkiem wojny były zamknięte i nie mogliśmy ich zwiedzić.

A propos hrabiego S. – mąż opowiedział mi na jego temat zabawną historię, którą zresztą opisał

później w Polsce w powieści „Różowe krowy i szare skandale”. Hrabia pracował w MSZ i wiązał się z tym obowiązkiem przyjmowania gości z innych krajów. Pewnego razu witając jakiegoś dyplomatę wyraził swoją sympatię w sposób dosyć niecodzienny. Mianowicie, obejmując go serdecznie posunął się trochę za daleko, ugryzł bowiem gościa w nos!... Od tego czasu skończyła się kariera dyplomatyczna hrabiego S. Nie wiadomo, co przyszło mu do głowy, bo był to człowiek jak najbardziej zrównoważony, opanowany i spokojny.

Chodziliśmy wszędzie tam, gdzie można było oglądać najciekawsze pozostałości dawnej kultury. Przez Forum Romanum szliśmy na jeden z siedmiu pagórków Rzymu – na przepięknie położony Kapitol i jego część – Palatyn. Tu była kołyska Rzymu i tu Romulus ustanawiał granice przyszłego miasta.

Najznacznějšíe rodziny patrycjuszy i królowie wybrali to miejsce na swoje rezydencje. Dom Liwii, dom Romulusa, przed nimi drzewa pama-rańcowe, które już szesnaście lat temu podziwiałam, bo nie widziałam dotąd pomarańczy rosnących na drzewie. Wiele razy wędrowaliśmy tamtędy myśląc o dawnych mieszkańcach. Było to ulubione miejsce spotkań Michała ze znajomymi, w tych niezwykłych miejscach czuło się harmonię i spokój.

Przeciwieństwem było Koloseum, gdzie nigdy nie mogłam przebywać dłużej bez dreszczy. Wpadałam od razu w głębokie zamyślenie i ogarniał mnie smutek. Siadałam na kamiennej ławce i wyobraźnia moja zaczynała pracować. Tutaj krzyżowano ludzi za wiarę chrześcijańską, i tutaj w podziemiach trzymano dzikie bestie, które rozrywały ciało ludzkie na strzępy. Na arenie usta wykrzykiwały śmiertelny strach a przez ściśnięte gardła wydobywały się rozpaczliwe krzyki. Orgie krwi i bestialstwo na arenie witane były przez patrycjuszy jak i przez tłum z radością. Kciuki najczęściej skierowane były w dół. Zbrodni uważano za męstwo i dobrą zabawę. Lepiej to miejsce opuścić, bo cięży na nim przekleństwo umęczonych w dawnych czasach.

Gdziekolwiek byliśmy – Michał zawsze odnajdywał drogę do bibliotek. W Rzymie w złotej księdze polskiej biblioteki znalazł panieńskie nazwisko matki – Rogaska i bardzo się z tego ucieszył.

Hrabia zaprowadził nas do pięknie położonej w ogrodzie Palazzo Farnese. Usłyszeliśmy od niego historię właścicieli tego miejsca, a otaczająca nas przyroda i łaskawa aura wprawiła nas w doskonały nastrój, było ciepło i słonecznie, zresztą przez cały czas naszego pobytu w Rzymie. Wiosna i Włochy – to właściwie tak, jak gdybyśmy wybrali się w podróż poślubną. I to włoskie niebo ze wszystkimi odmianami koloru niebieskiego od blue ciel, d’azur, lavande i turquoise, aż po ultramarinę.

cdn.

<sup>1)</sup> Cagliostro istotnie był skazany przez sąd inkwizycyjny na dożywocie, ale w Zamku Aniola przesiedział tylko 16 miesięcy. Obawiano się, że odbić go mogą masoni. Dlatego był pilnowany przez całą gromadę dozorców, a ponadto sam Zamek był pilnie strzeżony z zewnątrz. Ucieczka z niego była praktycznie niemożliwa, to też Cagliostro nawet jej nie próbował. Przeniesiono go do więzienia w San Leo, gdzie dokonał żywota. Historia ucieczki z więzienia dotyczy innego awanturnika tego okresu – Casanovy, który zbiegł z więzienia Inkwizycji w roku 1756, ale było to w Wenecji. O studiach medycznych Cagliostro nie wiadomo. Studiował tylko krótko aptekarstwo.

Trzecia w historii Bydgoszczy  
apтека (r. z. 1853)

„Pod Łabędziem”

85-005 Bydgoszcz, ul. Gdańska 6  
tel. (052) 322 01 87  
godziny otwarcia: 8.00-20.00

**pełen asortyment leków**

Ciekawostka: laboratorium galenowe  
w pełni wyposażone w urządzenia do produkcji  
leków z lat dwudziestych XX wieku



Miroslaw Tryczyk

## Wolność sztuki, wolność w sztuce

Pytanie o związek sztuki z *sacrum* było pytaniem stawianym bardzo często w minionym już XX wieku. Wynikało to zapewne zarówno z kryzysu religii, jak i z głębokiego kryzysu w sztuce. Głównie jednak z najgroźniejszej choroby XX wieku, jaką bez wątpienia był kryzys tożsamości. Jednak byłoby pozbawione sensu przeprowadzenie czysto teoretycznych rozważań dotyczących kultury, sztuki i religii minionego wieku. Mogę jedynie podjąć próbę odpowiedzi z perspektywy własnego doświadczenia – pisząc ją z pozycji osoby zmagającej się z różnego rodzaju pytaniami i odpowiedziami dotyczącymi obu tych sfer.

Krótką historią: w ramach cywilizowania tubylczych plemion w Australii, w latach 1880-1960 w programie przymusowej asymilacji rdzennych mieszkańców kontynentu do „nowoczesnego” świata, rząd australijski przeprowadził długofalową akcję polegającą na odbieraniu opornym aborygenom małych dzieci i wysyłaniu ich do szkół i do pracy. Aby odciąć im możliwość powrotu, posyłano je w inne rejony kraju i zmieniano imiona na angielskie. Większość z nich jednak nie potrafiła zostać prawdziwymi Anglikami; jako dorośli ludzie, pozbawieni tożsamości, trafiali na margines społeczeństwa.

Edukowani i resocjalizowani aborygeni nie umieli być obywatelami świata. Nie wiedzieli, kim naprawdę są. Dokumenty dotyczące ich tożsamości i pochodzenia zostały zniszczone lub zaginęły i nie został ślad po tej „australijskiej akcji »Wista«”. Problem stał się na tyle poważny i powszechny, że rady płamienne aborygenów zwróciły się w ubiegłym roku o pomoc do Indian Ameryki Północnej. Przylecieli oni ze swoich rezerwatów i na specjalnych seansach z przedstawicielami wszystkich tubylczych plemion wprowadzali takiego pogubionego, pozbawionego tożsamości aborygena w trans za pomocą środków halucynogennych. Z ekstatycznej paplaniny człowieka, którego jedynym językiem była mowa angielska, starzy aborygeni wyławiali pojedyncze słowa, które zachowała podświadomość z jego prawdziwej mowy, na podstawie których określali, z jakiego plemienia, a nawet z jakiej rodziny, został on zabrany jako małe dziecko. Pozwalało mu to tam wrócić...

Na początku naszego wieku kolonizatorzy odkryli także, że plemiona przenoszone z jednego miejsca w inne, po kilku latach całkowicie wymierają. Przypisywano to bardzo niskiej odporności biologicznej tubylców lub jakiejś tajemniczej chorobie. Dzisiaj wiemy, że oderwani od swojej ziemi, w której mieli pochowanych przodków, tracili oni możliwość kontaktowania się z nimi, co oznaczało dla nich duchową śmierć, gdyż w rozmowach z przodkami w snach i wizjach ustalali porządek i sens świata. Śmierć duchowa pociągała szybko śmierć biologiczną – gdyż nie funkcjonował u nich jeszcze podział na duszę i ciało.

Można powtórzyć za Tomaszem Rodowiczem pytanie, czy nie jesteśmy obecnie jednocześnie kolonizatorami i Aborygenami Nowego Wspaniałego Świata?<sup>1)</sup>

Czy rolę sztuki w okresie powszechnie wieszczanego kryzysu kulturowego nie jest stawianie pytań o naszą zagubioną słowiańską i prawosławną genezę i tożsamość. Artysta jako Indianin. Tylko kto zasiądzie w radzie plemiennej...?

Paul Evdokimov w swojej książce „Sztuka ikony – teologia piękna” postawił tezę, że od kiedy podstawą „poznania” przestała być postawa adoracyjna, człowiek zrezygnował z pogłębienia wewnętrzności, prowadzącej go do spotkania z Transcendencją, a w Niej – z każdą pulsującą życiem rzeczywistością, na rzecz postawy „wiedzieć, by móc” i zwiększenia tej mocy i władzy nad rzeczami tego świata. Wówczas to człowiek stracił swoją zasadniczą istotę, stracił swoje niebieskie korzenie, wynaturzył się, zdesakralizował, a jego świadomość odkryła Heideggerowskie „Dasein”, bycie tutaj tylko po to, by objawić „bycie dla śmierci” w nicości.

Wówczas zniszczona została również rzeczywistość, rozdzielona na elementy powodujące brak ciągłości nie do pokonania. Człowiekowi pozostała tylko duchowość całkowicie akosmiczna albo materializm woli. Filozofia esencjonalistyczna ze swoimi zamkniętymi substancjami, podporządkowanymi zasadzie przyczynowości i myśl egzystencjalna ze swoimi transcendencjami bez głębi ontologicznej pozbawione zostały bowiem mocy otworzenia się na energetyczny dynamizm podobieństw i przeobstwiającego uczestnictwa.

Zdesakralizowana sztuka współczesna zaczęła żyć pod naciskiem „dominant” materialnego świata i jego mądrości. Artysta, bardziej niż kiedykolwiek, skazany został na samotność, poszukując współcześnie swoistego „nad-przedmiotu”, „nad-rzeczywistości”, gdyż według niego zwyczajna rzeczywistość przestała być już bezpośrednio wyrażalna. Bohatersko, lecz rozpaczliwie, usiłuje on odnaleźć ową tajemną, w przeszłości odepchniętą, stronę tego świata.

Chcąc poznać przedmiot ześwieczony, zatracił przy tym jego tajemnicę; natomiast powodowane rozpaczą poszukiwanie samej tylko tajemnicy spowodowało zagubienie rzeczy i doprowadziło sztukę do abstrakcji, do gry cieni pozbawionych ciał.

Dla współczesnej „błyskotliwej” świadomości przedmiot nie istnieje w swojej jedynej formie, lecz przybiera różnorakie aspekty. W sztuce współczesnej wszystko jest rozłożone na kawałki, rozczłonkowane na atomy. Rzeczywistość tak postrzegana odzwierciedla świadomość rozdarta i nasiąka nią.

Człowiek przedstawiony w sztuce współczesnej przestaje panować nad archaicznymi skłonnościami natury. Można powiedzieć: niegdyś to rzeczy zadawały pytania jakby w oczekiwaniu, zaś artysta odpowiadał im powołując je, by żyły pełnią życia pod jego twórczym spojrzeniem, przywracając im ich dziewiczą niewinność, pozwalając, by „wróciły do siebie”, ku własnej naiwności i prostocie.

Powszechnie wyrównywanie rzeczy w sztuce współczesnej wyjawiało ideę i *sacrum*, zastępując je magią przesuniętego wirującego wokół siebie ruchu. Przeszto przedstawiać wieczność, którą grzech podzielił wymiarem czasu. Czyż piekło nie miało być subiektywnym fragmentem czasu, rozciągniętym i zastępnym na wieczność, snem bez śniącego, ostatecznym schronieniem tego, co nieistniejące?

Egzystencjalne, ultranowoczesne istnienie nie zna ani wstępowania, ani wzrostu bytu, ani następstwa wydarzeń, lecz odkrywa współistnienie rozdarć, załamania, które wzajemnie się

na siebie nakładają, bez jakiegokolwiek więzi czy uporządkowanej kolejności. Ukierunkowane trwanie ustępuje miejsca równoczesności, chwilości, futurystom i ogranicza swój wymiar do pseudoeschatologii, powrotu do elementarności.

Na podobieństwo trupa sztuka współczesna nie porusza się, a tylko pozostaje rozciągnięta. Niepokojące są te wszystkie formy „egzystencjalizmu artystycznego”. Wyobraźnia upojona swoimi nieograniczonymi możliwościami, wyprowadzona z halucynacji i delirium, mści się zwodząc ludzką naturę, doprowadza do „mistycznych koszmarów” Hernandesa, do zwierzęcości Kopaca, do „chimerycznych budowniczych” Girauda, do absolutnego prymitywizmu.

Przypominają się tu słowa Andre Gidé’a: „sztuka rodzi się ze skrepowania i przymusu, a umiera z wolności”. Przemoc seksualna prześladowuje takich malarzy, jak Goetz i Ossorio, takich rzeźbiarzy, jak Pevsner, Arp, Stahly, Etienne Martin. Obok „collage’ów” i pisma automatycznego nielogiczność Maxa Ernsta czy Salvadora Dali łączy fotograficzną dokładność przedmiotów za zmianą ich funkcji: na przykład „płynny zegar”.

U Polloka i całej amerykańskiej szkoły *Action Painting* automatyzm prędkości ma za cel wykluczyć świadomość. Kolory rzucane są na płótno tak, że malarz nawet go nie dotyka, by uniknąć wszelkiej ingerencji, choćby nieświadomej.

Georges Mathieu malował swego czasu stojąc na estradzie, w transie, przy dźwiękach atonalnej muzyki. Olbrzymie płótno – 10 m – zostało pokryte w przeciągu godziny. Tubki farb były rozprute, kolory wytryskiwały z nich i jakby same przenoszone były na płótno, w magicznej atmosferze transu. Pod koniec artysta znajdował się w stanie skrajnego wyczerpania.

Impulsywna spontaniczność wnętrza graniczyła w tej sytuacji z nieświadomym chaosem kiczu igrzysk. Wielkie płótna Bernarda Buffeta, jak się zdaje, przez zamierzoną profanację, stały się dla sztuki współczesnej symptomatyczne. Ich jedyny temat ukazuje monstrualne ptaki o trupio nieruchomym spojrzeniu, depczące nagie, rozkładające się ciała. Wobec tych płócien, ich specyficznie gnilnego odoru przypomina się fragment *Drabiny świętego Jana Klimaka*: „*pewien święty ujrzawszy piękno kobiety płakał z radości i wielbił Stwórcę... Taki człowiek jest już wskrzeszony z martwych, jeszcze przed Zmartwychwstaniem wszystkich*”.

Prawosławni ikonografowie podkreślają zawsze, że strona idealna, nadmysłowa istnieje tylko po to, by ustanowić i zjednoczyć świat widzialny. Dla nich ideał poza swoją „biosferą wcielenia” nie miał ani sensu i celu, ani racji bytu. Właśnie sztuka była systemem form wyrazu, szczególnym językiem, którego elementy odnosiły się do *Sophia* i wyrażały ją tak samo, jak słowa wyrażają myśl. W przeciwieństwie do znaków konwencjonalnych, formy wyrazu artystycznego niosły swoją treść niczym jedyne i tajemne przesłanie.

Na granicy, która już ociera się o ikonę, zbliżały się one do symboli religijnych, będących miejscem, w którym to, co symbolizowane, zawsze jest obecne. W języku greckim słowa określające diabła i symbol mają ten sam rdzeń, tyle tylko, że diabeł rozdziela to, co symbol łączy. Symbol to most łączący dwa brzegi: widzialne i niewidzialne, ziemskie i niebieskie, empiryczne i idealne, i wzajemnie je przenoszący jedno w drugie.

Ikonokłasci<sup>2)</sup> bardzo poprawnie wierzyli w symbole, lecz ze względu na swoją „portre-

Dokończenie na str. 8



Dokończenie ze str. 7

ową" koncepcję sztuki (naśladownictwo, kopia) odmawiali ikonie charakteru symbolicznego, a w związku z tym nie wierzyli w tajemniczą obecność Modelu w obrazie.

Nie byli w stanie pojąć, że obok widzialnego przedstawiania widzialnej rzeczywistości (kopia, portret), istnieje całkiem inna sztuka, w której obraz przedstawia „widzialność niewidzialnego” i w ten sposób objawia się jako prawdziwy symbol.

Chętniej przyjęliby sztukę abstrakcyjną w jej geometrycznej figuratywności, na przykład krzyż bez ukrzyżowanego. Otóż podobieństwo w ikonie zdecydowanie przeciwstawia się wszystkiemu, co jest portretem, i odnosi się tylko do hipostazy (osoby) oraz jego ciała niebieskiego. Dlatego to ikona człowieka żyjącego nie jest możliwa i wszelkie poszukiwanie podobieństwa cielesnego, ziemskiego, jest wykluczone. W ikonografii hipostaza „hipostazuje”, przywłaszcza sobie nie tylko substancję (drewnianą deskę, barwę), ale i podobieństwa jako takie, niebieską postać hipostazy przyjmującej przemienione ciało, które przedstawia ikona.

Współczesna egzystencjalna czy abstrakcyjna sztuka „dokonuje się na łączy” wyjętej ze swego kontekstu kosmicznego. Można więc podziwiać jej słoneczne widmo, analizować ją i mnożyć jej barwy, lecz łączy ta nie łączy już nieba z ziemią i nie mówi nic ważnego człowiekowi. A przecież łączy nie jest bynajmniej grą kolorów ani obiektem estetycznym; według Biblii jest ona wielkim symbolem przymierza między Bogiem a człowiekiem. Sztuka abstrakcyjna odcina świetliste wibracje od ich źródła, od liturgicznego Wschodu. Forma zewnętrzna w sztuce współczesnej została zniszczona. Choć jest to proces orzeźwiający po XIX-wiecznej formalnej martwocie, to jednak na tej płaszczyźnie żaden rozwój nie jest możliwy, klucz do tajemnych połączeń zagubiono, rozłam między transcendentnym boskim *sacrum* a immanentnym, ludzkim życiem ma charakter tak radykalny, że już nie można po prostu przejść z jednej płaszczyzny na drugą. Przystęp do formy wewnętrznej i niebiańskiej, kontemplacja przez przejrzystość niewidzialnego w widzialnym – są zagrodzone przez anioła z mieczem ognistym. Współcześni Aborygeni nie znajdują już drogi do domu...

Im bardziej jakaś forma pozbawiona jest sensownej treści, tym bardziej jest nieograniczona w swoich kombinacjach. Nieograniczoność form wyrazu sztuki egzystencjalnej ukazuje groźne zawężenie, gdyż niograniczoność w granicach zamkniętego świata naprawdę niczego nie przekracza. Jest to sztuka *Drzwi zamkniętych*.

Ikonę natomiast w swojej własnej wartości symbolu nie tylko przewyższają taką sztukę, ale także ją wyjaśniają. Bez zastrzeżeń możemy podziwiać dzieła współczesnych mistrzów i uważać je za największe osiągnięcia. Ikona będzie trzymała się nieco z boku, tak jak Biblia znajdzie swoje miejsce ponad powszechną literaturą i poezją. Piękno ikony mieści się w hierarchicznej równowadze skrajnych wymagań. Poniżej pewnej granicy jest to już tylko zwyczajny rysunek, powyżej ikona zaczyna promieniować prawdziwym pięknem odpowiadającym jej tematowi – temu, który, według słów świętego Bazylego, jest „Bogiem malarzy niebios i tego, co jest ponad niebiosami”.

<sup>1)</sup> O dwuznaczności związku sztuki z *sacrum* w notatkach robotnika sztuki, Tomasz Rodowicz, Odra nr 9 – wrzesień 1997 r.

<sup>2)</sup> Ikonokłasci – to nurt intelektualno-społeczny, dominujący w zachodniej sztuce sakralnej, uznawany za hereetyki na gruncie prawosławia.

Stanisław Chyczyński

## Refleksje okołopapieskie

Zawsze przerażające hekatombę, związane czy to z polityką wielkich mocarstw (np. Hiroshima, Nagasaki 1945), czy to z rozwojem naszej cywilizacji technicznej (np. Czernobyl 1986), pobudzały do filozoficznej refleksji, do stawiania fundamentalnych pytań w rodzaju: „dokąd zmierza rodzaj ludzki?”. Nie inaczej było z tragedią 11 września 2001 r., która wstrząsnęła nie tylko Zachodem. Można postrzegać tamten „czarny wtorek” analogicznie do Ariany Nagórskiej czy Stefana Pastuszewskiego (ujmujący realizm spojrzenia), można poświęcać temu smutnemu wydarzeniu kolejne wiersze (za przykładem naszej noblistki), można również pielęgnować w sobie wątłą łodyżkę nadziei... Osobiście uważam, że zburzenie WTC nie było najbardziej spektakularną akcją (czyt. zbrodnią), na jaką będzie stać terrorystów w tym stuleciu. Pesymizm mój dyktuje typowe pytanie o dalszą drogę skłóconej i podzielonej na wrogie obozy ludzkości. Ale międzynarodowy terroryzm nie jest jedynym ważkim problemem, rzutującym na naszą przyszłość.

Dla wielu narodów globalizacja oraz ekspansja masowej kultury zachodniej niesie z sobą istotne zagrożenia, napawające niepokojem o tożsamość narodową czy rodzime wartości społeczne. Dla chrześcijaństwa postępująca laicyzacja życia codziennego stanowi niebagatelne wyzwanie, które za pół wieku może postawić tę religię wobec konieczności powszechnej reewangelizacji. Dla Polski wejście do UE może wreszcie oznaczać początek procesu sukcesywnej i zakamuflowanej utraty suwerenności na rzecz silniejszego sąsiada, z którym nasi pradziadowie i dziadkowie toczyli heroiczne boje (że przypomnę tylko powstanie wielkopolskie i trzy śląskie). Ponieważ w historii Polski religia ściśle wiązała się z poczuciem patriotyzmu, łącząc tutaj aspekt wyznaniowy z kwestiami: kulturową, narodową i społeczną. Zgodnie z porzekadłem „bliźsza koszula ciału” nurtuje mnie szczególnie pytanie: „dokąd zmierza naród polski w pierwszym wieku trzeciego tysiąclecia?”.

Zastanawiałem się właśnie nad tym tuż przed ostatnią pielgrzymką Jan Pawła II do Krakowa i Kalwarii Zebrzydowskiej. Aby się do tego – ważnego dla mnie – wydarzenia odpowiednio przygotować pod względem duchowym, wybrałem się jako pątnik na osławiony sierpniowy odpust kalwaryjski. Tamże zaobserwowałem ciekawe, ambiwalentne zjawisko socjologiczne. Mianowicie – pierwszego dnia uczestnicząc w procesji zaśnięcia NMP, dostrzegłem zmiany w pobożności tzw. prostego człowieka. Otóż wielu ludzi idzie dzisiaj na Dróżki kalwaryjskie niemal jak na piknik: zjeść loda czy ogórka, zapalić papieroska i porozmawiać przez telefon komórkowy nawet w trakcie homilii. Dotyczy to szczególnie młodzieży. Nastolatki wśród tłumu wiernych, w odległości 20-30 metrów od kapłana wygłaszającego kazanie, całują się i ściskają bez cienia wstydu. Bywa, że obok nich stoją trochę starsi rodzice, nie reagując. Czyżby zatem młodzież chciała liturgiczną procesję zamienić w „Paradę Miłości” à la Berlin Zachodni? (Na plakatach z Papieżem czytamy: „Bóg jest Miłością”, ale czy o TO chodzi?...). Jeszcze 10 lat temu wstyd lub przy-

zwoitość powstrzymywały młodych ludzi od podobnych, kuriozalnych zachowań.

Drugiego dnia natomiast odniosłem zgoła odmiennie wrażenie. Łało jak z cebra, chłód przenikał do kości. Po Dróżkach kalwaryjskich przemieszczają się od kaplicy do kaplicy pojedyncze grupki wiernych. W kolorowych płaszczach przeciwdeszczowych i pelerynach, w oparach mgły i strugach deszczu wyglądają jak tajemnicze karawany z „Gwiezdných wojen” lub „Łowcy androidów”. Widać determinację tych ludzi, którzy w chłodzie i błoecie po kolana chwają Boga jak umięją. Oni rzeczywiście przyszli „na Kalwarię” się modlić.

Jan Paweł II „przywołał” do Ojczyzny piękną, słoneczną pogodę, którą „pozostawił” do końca sierpnia. Jego pielgrzymka zapadła mi w pamięć głównie dzięki nieprzespanej nocy z soboty na niedzielę. Zatrzymaliśmy się u rodziny (przy ul. Bronowickiej) w Krakowie, czekając na spotkanie z Papieżem. Tą właśnie ulicą przez całą noc zmierzały na Błonia szeregi pątników, grupy „Ruchu Światło-Życie”, drużyny oazowe – niektórzy nawet ze śpiewem na ustach i z gitarami w rękach. Godła i transparenty z odległych miast: Modlina, Kalisza, Inowrocławia, Pabianic, Radomska, Brzegu, Leszna, Swarzędza, Białogardu, etc. Ciągły ruch, gwar, pieśni uniemożliwiały zaśnięcie. To było niesamowite! Serce rosło, a dusza się weseliła. Tę noc będę pamiętał do końca życia. Na Błoniach prawie dwa miliony pielgrzymów, dużo młodzieży. Nikt się nie całuje, nie ściska, nie gada do komórki. Skwar, żarówka słoneczna, ale młodzi śpiewają i wiwatują na cześć tego, dla którego tutaj przybyli.

Jan Paweł II wie doskonale, że przyszłość świata, chrześcijaństwa, Polski zależy od dzieci i młodzieży. Teraz sieje ziarno wiary, które wyda plon za parę dekad. Przypomina się pamiętne i jakże aktualne zdanie: „Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie” (Zamojski, Staszic). Chcąc zachować narodową odrębność i wyznaniowy kierunek, musimy nauczyć nasze dzieci afirmacji dorobku minionych pokoleń, kulturowych korzeni, wiary przodków. Śmiem twierdzić, że indyferentyzm religijny oraz ateizm jeszcze nikogo nie uszlachetniły, „Bo ludzkość bez boskości sama siebie zdradza” (C.K. Norwid). Wbrew pozorom humanitarne postawy, moralna wrażliwość, wychowanie religijne i polityczne trendy stanowią skomplikowany system naczyń połączonych.

Zapomnieli lub nie chcieli o tym pamiętać najwięksi teoretycy marksizmu-leninizmu, na drodze krwawych rewolucji powołując do istnienia molochy totalitarne na próżno usiłujące zachować „ludzkie oblicza”. Monopolistyczny kapitalizm, ze swoją arogancką strategią „wiecznego” rozwoju, też nie jest bez winy. Tragedia z 11 września 2001 r. to przecież konsekwencja bezrozumných, postneokolonialnych zapędów największego mocarstwa świata. Możemy się krewko oburzać z powodu wszelkich aktów terrorystycznych, ale musimy jednocześnie zdawać sobie sprawę ze źródeł i przyczyn takich niemoralnych rozwiązań. W miejscu zderzenia się diametralnie odmienných kultur oraz konkurencyjnych ideologii wszystko zaczyna się splecać w jeden gigantyczny węzeł gordyjski. I przydałby się wreszcie jakiś biblijny Salomon, który umiałby sobie poradzić z tym problemem (także bez zaawansowanej technologii czy najnowocześniejszych akcesoriów militarných). Jakby na ironię staruszek Thomas S. Eliot podpowiada nam prostą konkluzję: „Niepewny pokój świata, póki nie zachowają ludzie pokoju Boga”. Ba, łatwo powiedzieć...!



Jerzy Katwak

## Czy można wybrać najlepszych?

Zakończone w listopadzie 2002 roku czwarte w III RP wybory samorządowe wykazały, że bezpośrednio wybory spełniają niektóre postulaty demokracji. Bezpośredni wybór wójtów, burmistrzów i prezydentów miast rozbudził emocje wyborców i skłonił ich do aktywnego udziału w drugiej turze wyborów. Były poważne obawy, że frekwencja w drugiej turze będzie kilkakrotnie niższa, niż w pierwszej i w rezultacie „szef” gminy zostanie wyłoniony przez co najwyżej jedną piątą uprawnionych do głosowania.

W większości gmin wiejskich i miejskich w drugiej turze głosowania stanęli naprzeciwko siebie kandydat lewicy (SLD-UP) oraz kandydat prawicy, klasyfikowany w ten sposób bardzo często również wówczas, gdy reprezentował lokalne porozumienie samorządowe; byle tylko nie było związane z lewą stroną sceny albo miało taki program, w którym nad lewicową „wrażliwością społeczną” przeważała skłonność do używania argumentów gospodarczych, rynkowych.

### Samorządność

Odbudowa idei samorządu lokalnego jako prawowitego gospodarza na terenie gminy, hasła radzenia sobie własnymi siłami i własnym sposobem, indywidualna przedsiębiorczość jako sposób na radzenie sobie z bezrobociem i stagnacją dominowały w programach wielu ugrupowań samorządowych. Tych szczególnie, które potraktowały zależność od istniejących podziałów politycznych jako kwestię mniejszej wagi i swoją kampanię oparły na eksploatowaniu patriotyzmu lokalnego, a nawet na poczuciu pewnego wyobcowania społeczności lokalnej z wielkiej struktury organizmu państwowego.

Zapewne należy przyznać rację tym, którzy uważają, że tego rodzaju postawy są skutkiem postępującej – najpierw pod rządami liberalnej lewicy spod znaku AWS-UW, a obecnie postpeerelewskiej lewicy spod znaku SLD-UP-PSL – centralizacji zarządzania państwem. Przykładem koronnym niech będą w tym przypadku pomysły i inicjatywy ministra zdrowia M. Łapińskiego czy upaństwowienie swobody poruszania się obywateli dokonywane przez ministra M. Pola. Poprzednia ekipa sferę obywatelskiej samorządności ograniczyła m.in. poprzez zmianę podziału administracyjnego kraju i dołożenie do czytelnej, gminnej struktury samorządowej powiatów oraz województw samorządowych. Były to kroki, które niby miały nas przygotować strukturalnie do realiów Unii Europejskiej, gdzie polityka regionalna jest podobno dobrem najwyższym, ale w istocie koalicjantem z AWS i UW zależało na stworzeniu wielkiej liczby posad dla własnych wygłodzonych działaczy i częściowe przejęcie kontroli nad strukturami państwa w sytuacji, gdy postkomuniści utrzymywali wciąż znaczące wpływy w administracji.

### Głosują przeciwko rządowi?

Wielka liczba ugrupowań lokalnych, które poszły do tych wyborów bez wyrazistego sztandaru przynależności politycznej, akcentując równocześnie swoje przywiązanie do roli lokalnej samorządności, wskazywać może na pojawienie się milczącego oporu wobec zakusów władzy centralnej (rządu i parlamentu), zmierzającej do ponownego zapanowania nad gminami. Wiele z nich w pierwszych dwu kadencjach samorządu nauczyło się działać samodzielnie i rozsądnie gospodarować własnymi zasobami,

pomimo że z roku na rok władze centralne dokładały gminom obowiązków, nie zwiększając proporcjonalnie puli ich udziałów w podatkach od ludności. Wzrost gospodarczy z pierwszych lat istnienia III RP został skonsumowany przez nadmiernie rozrośnięte „samorządy” powiatowe i wojewódzkie, stając się szybko garbem dla przedsiębiorczości. A od dynamiki rozwojowej indywidualnej przedsiębiorczości w małych społecznościach lokalnych zależy przecież trzy czwarte rynku pracy; jedną czwartą pracy dostarcza sfera budżetowa.

Jednym z najwyrazistszych przykładów na to, jak nieskrepowana samorządność, poparta autentycznym patriotyzmem lokalnym, może sprzyjać rozwojowi gminy, jest mała gmina Powidz w Wielkopolsce. Ta gmina powstała dopiero w połowie lat 90. dzięki uporczywej i samotnej walce grupki tamtejszych działaczy z władzami wojewódzkimi w Koninie i władzami gminnymi w Witkowie. „Komuniści zabrali nam gminę podstępem w latach 70., to w wolnej Polsce trzeba nam ją oddać” – argumentowali popierani, na szczęście, przez niewielką większość mieszkańców. „Nie poradzicie sobie, nie macie szans” – słyszeli zewsząd. W ubiegłym roku gmina Powidz, jedna z najmniejszych w kraju, znalazła się na czele drugiej dziesiątki listy gmin polskich, przodujących w inwestycjach, ogłaszanej co roku przez dziennik „Rzeczpospolita”. W tym roku z inicjatywy tamtejszych samorządowców powołano związek gmin sąsiadujących z Jeziorem Powidzkim i Powidzkim Parkiem Krajobrazowym, aby wspólnie chronić zasoby przyrodnicze i krajobrazowe – największy, jeśli nie jedyny wspólny majątek mieszkańców tego terenu.

Oczywiście, frekwencja wyborcza, przekraczająca nieznacznie tylko 40 procent uprawnionych, nie jest żadnym potwierdzeniem jakiegokolwiek optymistycznej wizji polskiego samorządu. Takim potwierdzeniem jest to, co wydarzyło się w drugiej turze głosowania – nieoczekiwanie wysoka frekwencja. W niektórych przypadkach była ona wyższa, niż w pierwszej turze. Mobilizacja wyborców do udziału w dogrywce doprowadzała częściej do elekcji kandydatów nie związanych z partiami politycznymi, niż wyrażenie opowiadających się po stronie tych partii, które sprawują lub sprawowały władzę. Żelazny elektorat SLD nie wystarczył mu do sukcesu w tych wyborach. Po „Solidarności”, AWS, UW nie ma żadnego śladu.

To może oznaczać, że w wyborach lokalnych 2002 r., po 13 latach od porozumienia okrągłego stołu, staliśmy się świadkami początku pożegnania z PRL-em. Może też oznaczać, że wyborcy, odrzucając w drugiej turze kandydatów kojarzonych z partiami będącymi obecnie u władzy, zagłosowali faktycznie przeciwko polityce rządu w tych jej aspektach, które są wyraźnie widoczne w każdej gminie i każdym domu. Poparcie prezydenta Kwaśniewskiego (jak to w ogóle możliwe!?) dla kandydata na prezydenta Warszawy, premiera dla kandydata na prezydenta Łodzi czy żony prezydenta Polski dla kandydatki na urząd prezydenta Wrocławia nieoczekiwanie zaszkodziło tym kandydatom i przegrali z kretesem. Czyżby wyborcy dawali w ten sposób partiom politycznym do zrozumienia, że w kampanii wyborczej kreującej lokalnych przywódców przesadzać nie należy?

### Teza Macieja Płażyńskiego

Podczas spotkań wyborczych lider Platformy Obywatelskiej namawiał lokalnych działaczy

oraz osoby w tym momencie związane z tym ugrupowaniem, np. poprzez współudział w lokalnej koalicji, do kształtowania i zachowania wyrazistości poglądów. Nie starajmy się – argumentował – na siłę upodobnić do swoich konkurentów ani też na siłę przypodobać wyborcom, co przecież prowadzi do tego samego – zwycięstwa populizmu. Jeśli wszyscy mielibyśmy być tacy sami, to po co nam te wybory, po co ta cała zabawa w demokrację?

Istotnie, w przypadku braku różnic poglądów (swoista wersja Frontu Jedności Narodu) najtańszym wyjściem byłoby dokonywać co jakiś czas losowania wójta, burmistrza czy prezydenta spośród dorosłych mieszkańców, którzy by się na to zgodzili. Wprowadzenie zasady bezpośredniego ich wyboru przez obywateli spowodowało, że lokalne ugrupowania koncentrowały się na wypromowaniu swojego kandydata na „szefa” gminy, mniej uwagi zwracając na „jakość” kandydatów na listach potencjalnych radnych. Ten, kto wystawił kandydata wyrazistszego, nie obciążonego ponadto udziałem w sprawowaniu władzy przed 1990 rokiem i po nim, mającego jednak dorobek zawodowy i społeczny, niezależnego politycznie i finansowo, czyli kogoś, kto nie jest „umocowany” (zanadto?) w dotychczasowych układach politycznych, albo – mówiąc kolokwialnie – nie jest „garbaty”, ten odniósł sukces przynajmniej taki, jak Lech Kaczyński i PO-PiS w Warszawie.

Partie będą musiały zawnoczyć o życiowość takich ludzi, wysłuchiwać ich uwag, dostosowywać się do ich życzeń, aby zrealizować chociażby część swoich zamierzeń i nie stracić całkowicie wpływu na samorządy lokalne. Jeśli nie, to prezydentem czy burmistrzem, a wójtem to już na pewno, może zostać ktoś spoza struktur polityczno-administracyjnych. Ktoś całkowicie „nowy” lub całkowicie „imny”. Wystarczy, że konsekwentnie i mądrze, krok po kroku, będzie przez kolejne cztery lata kadencji samorządu kreował siebie na przyszłego kandydata do fotela „szefa” urzędu lub będzie kreowany. Wyborcy szybko zrozumieli, że samodzielność „szefa” wybieranego bezpośrednio daje mu siłę społecznego poparcia, osłabiając radę, i nie jest aż tak bardzo ważne, kto będzie radnym. Ważne, kto będzie wójtem, burmistrzem, prezydentem.

### Więc wybierajmy lepszego...

Czy to w ogóle możliwe? Po przebiegu tych pierwszych wyborów bezpośrednich wyraźnie widać, że dwunastoletnia zwłoka w zastosowaniu tej metody elekcji była całkowicie zbędna. Przyglądałem się z bliska kampanii lokalnego ugrupowania, które zaistniało na samorządowej scenie na dobre dopiero w lipcu, ogłaszając wyłonienie własnego kandydata na prezydenta miasta. Cała kampania została od tego momentu oparta na osobie i nazwisku kandydata na prezydenta i ten kandydat wygrał wybory. Umożliwił także wprowadzenie do rad miasta i powiatu kilku radnych. Pociągnął ich za sobą. Równocześnie kandydował do rady powiatu i osiągnął jeden z najlepszych wyników, chociaż ani słowem nie wspomniano w kampanii, że jest również kandydatem na radnego. Ten sam zespół ludzi próbował swoich sił pod sztandarami innego ugrupowania lokalnego cztery lata temu i nie osiągnął niczego. Tym razem, dzięki wyborom bezpośrednim, stworzywszy własne ugrupowanie, wywalczyli dla niego stanowisko prezydenta miasta i taką liczbę mandatów radnych (w zmniejszonych liczebnie radach miasta i powiatu), że mogą mówić o sukcesie. Bardzo ważne jest też to, że do pracy przy tych wyborach udało im się zmobilizować sporą grupę osób i tchnąć w nie sporo autentycznego entuzjazmu.

Tym bardziej w wyborach lokalnych, gdzie dobrze wiadomo, skąd kto przychodzi i co zawiera

Dokończenie na str. 10



Dokończenie ze str. 9

jego „czarna teczka”. Instykt samozachowawczy wyborców jest wystarczającym argumentem na to, że bezpośrednia metoda wyłaniania przedstawicieli lokalnych władz (i nie tylko, bo posłów także) spełnia najwięcej postulatów systemu demokratycznego. Gdybyśmy mogli wybierać w ten sposób również radnych i to w jednomandatowych okręgach wyborczych, listy kandydatów nie byłyby tworzone *ad hoc*, w ostatnim niemalże momencie i nie musiałyby liczyć po kilkanaście osób. Inna musiałaby być arytmetyka przeliczania głosów na mandaty – najprostsza:

### кто ma większe poparcie, ten rządzi.

Byłoby też miejsce dla indywidualistów, którym nie po drodze nawet z ponadpartyjnym lokalnym ugrupowaniem. Tym samym rady mogłyby zostać w dużym stopniu uwolnione od dominacji układów politycznych. Bowiem do zarządzania miastem burmistrzowi nie jest wcale potrzebna większość radnych, lecz ich zgoda na jego propozycje.

Spełnienie takiego postulatów staje się niepewne, kiedy radnych wybraliśmy według klucza politycznego, a burmistrzem został ktoś, kogo wyborcy uznali za najlepszego, bo jest np. bezpartyjnym fachowcem lub po prostu uczciwym, doświadczonym i solidnym człowiekiem. W takim układzie zacieńczenie polityczne może doprowadzić do negocjowania nawet najlepszych pomysłów, bo nie są „nasze”. Ustawodawca wrzucił do sali posiedzeń samorządu lokalnego odbezpieczony granat i czeka, co z tego wyniknie.

Miejmy nadzieję, że granat nie wybuchnie i tym samym nie będzie argumentów za ograniczeniem roli

samorządu lokalnego na rzecz centralizacji zarządzania tzw. wspólnym dobrem. Miejmy nadzieję, że posłowie pójdą po rozum do głowy i zechcą poszerzyć zakres bezpośredniego wyboru na wszystkie publiczne funkcje obieralne; nawet w odniesieniu do komendanta policji.

Można by o to zapytać wyborców przy okazji referendum unijnego, dokładając jedną kartkę z pytaniem: czy chcesz, aby radni miejscy, powiatowi, wojewódzcy, wójtowie, burmistrzowie i prezydenci miast oraz gminni, miejscy i powiatowi komendanci policji byli wybierani bezpośrednio w okręgach jednomandatowych? TAK – NIE.

Jeżeli nawet nie uda się wybrać samych najlepszych, to wybrani będą mieli poczucie, że zostali uznani za najlepszych z tych, których wyborcy mieli do wyboru.■

## Tulipan „Akantu”

Kwartalne podsumowanie plebiscytu Czytelników przyznających Tulipan „Akantu” najciekawszym utworom jednoznacznie wykazało zwycięstwo wiersza Henryka Liszkiewicza „O naturze ludzkiej” (nr 5, s. 2). Na drugim i trzecim miejscu uplasowały się utwory Władysława Klepki „Nagle objawiona tęcza” (nr 4, s. 14) oraz z „Petersa Kantora” (nr 5, s. 23). W pierwszej siódemce znalazły się również: Jana Stanisława Smalewskiego „Poeta i dziewczyna” (nr 5, s. 3), Stefana Pastuszewskiego „Życie i śmierć” (nr 11, s. 26), Władysława Klepki „W Tatrach” (nr 4, s. 14) oraz Katarzyny Pilarczyk „Nie patrz tak na mnie” (nr 11, s. 6).

Czytelnicy zauważyli też poezję: Jarosława Wiśniewskiego, Jacka Tabisza, Ariany Nagórskiej, Janusza Kobierskiego.

Chcemy, by Czytelnicy „Akantu” mogli uczestniczyć w kreowaniu zewnętrznego wyrazu współczesnej literatury poprzez ocenianie utworów drukowanych w miesięczniku.

Redakcja prosi wskazujących na najlepszy utwór w każdym gatunku literackim o wypełnianie i nadsyłanie kuponów (jeśli ktoś kolekcjonuje „Akant”, a jest takich osób coraz więcej, to można kupon ten skserować, nawet wielokrotnie). Typowanie może dotyczyć utworów z całego 5-lecia „Akantu”.



## Tulipan „Akantu”

### KUPON PLEBISCYTOWY

AUTOR

TYTUŁ UTWORU

ROK I MIESIĄC DRUKU

IMIĘ I NAZWISKO TYTUJĄCEGO

ADRES

## Stanisław Truchan

### Ciemno jak u Murzyna

Odpowiedzi na pytanie: „Dokąd zmierzamy?” poszukuje już tylu ludzi, że naprawdę trudno zrobić pół kroku, by kogoś z pytających nie potracić. Poruszane bywają przy okazji najróżniejsze tego „zmierniania” aspekty: kulturowe, obyczajowe, ekonomiczne, socjologiczne, a nawet międzynarodowe. Padają też pytania bardziej szczegółowe, a odpowiedzi na nie bywają w ogóle nie na temat. No cóż – kto pyta, nie błądzi; gorzej z odpowiadającymi.

Tygodnik „Wprost”, a w ślad za nim Program III Polskiego Radia (25 listopada 2002), wpadły na pomysł, by zapytać, czy Polacy chcieliby, by prezydentem RP został cudzoziemiec. Między godziną 12<sup>00</sup> a 13<sup>00</sup> 62% słuchających „Trójki” internautów odpowiedziało „Nie”. Tego zresztą należało się spodziewać: kto zdrowy na umyśle zechce szefa państwa, który niekoniecznie czuje się jednym z nas? Ale Polska A.D. 2002 nie byłaby tym, czym jest, gdyby przy okazji nie wygłoszono paru idiotyzmów. Ktoś tam oświadczył: „Może być obcy, byle biały”. Ktoś inny zaś od razu zaczął głądzić o rasizmach i ksenofobiach. Na zakończenie wreszcie zabrał głos specjalista od „image” Piotr Tymochowicz – człowiek, który wykreował Leppera na męża stanu. No i uformował nam taki image, że gdybym miał dłuższe ręce, to chyba jego własnego dostojnego image nic by

nie uratowało od paru sińców po obu stronach nosa. Dowiedziałem się, że jesteśmy rasistami, że ci, którzy byli „za”, to uwolniona od przesądów młodzież i że starsze pokolenie musi wytrzeć, byśmy wreszcie zmadździeli i się ucywilizowali. A potem radio wypikało trzynastą, co jeszcze kilkanaście lat temu byłoby sygnałem do szturmowania sklepów monopolowych – i na tym program się skończył.

Jednym słowem, było jak w starym przysłowiu z okolic Tarnowa: „Gołała d... z panem: łon »Dzień dobry«, łona »Na wieki wieków, amen«”. Problem silniejszych lub słabszych związków kandydata na prezydenta z krajem i jego mieszkańcami stał się ni w pięć ni w dziewięć problemem koloru skóry. No bo przecież bez paplania o polskiej ksenofobii ani rusz. Imć Tymochowicza nie przekonały nawet zachwyty mieszkańców Grodziska Wielkopolskiego nad nowo wybranym radnym Mouniamą, bodaj „made in Congo”. Rasizm i już; tylko nowocześnie myśląca młodzież wyłamuje się ze schematu. Jeśli kilka lat temu pobito w Szczecinie czarnoskórego koszykarza – to zapewne (trzymając się linii rozumowania pana T.) popełnili ten ohydny czyn emeryci, bezlitośnie tłukący dwumetrowego dryblasza dziurawymi kapciami... A może siedemdziesięcioletnie słuchaczki „Radia Maryja” różańcami go zmaltrętowały?

Bo przecież nie światła i wolna od rasowych przesądów szczecińska młodzież, używająca głonów i kijów bejsbolowych zapewne do głaskaania pluszowych misiów...

A tymczasem rasizm, proszę państwa, jest w Polsce pseudoideologią z importu. Na nieszczęście czasami wcielana w czyn przez różnych półgłówków, którymi trochę bardziej stanowczo powinien zająć się wymiar sprawiedliwości. Rodzime bywają tylko przejawy głupoty – tej samej, która temu i owemu każe kpić (nieraz naprawdę wrednie) z łysych, garbatych lub nadmiernie inteligentnych. Głupotę – owszem – trzeba tępić, ale wygadywanie bredni raczej tylko dodaje jej wigoru i jest typowym przykładem wypędzania diabła Belzebubem. Kobięcina, która na widok mojej szkolnej koleżanki, mocno kędzierzawej, stwierdziła ze zdumieniem: „U Murzyna takie włosy widziałam, ale u człowieka jesce nie”, była taką samą rasistką, jak ja synem Ramzesa II i Marylin Monroe. Podobnie jak inna pobożna niewiasta, która w 1979 r. w Makowie Podhalańskim upewniała się, czy msza odprawiona przez duchownego z Afryki jest „ważna”, czy też nie. Tylko idiota skojarzy podobne – niestety, dość częste – przykłady swoistego kalectwa z apartheidem i Ku-Klux-Klanem. Nie mówiąc już o traktowaniu zjawiska jako powszechnego.

Już ten jeden przykład wystarczy, by twierdzić, że o kierunku, w którym zmierzamy, najgłośniejszą mówią ci, którzy powinni siedzieć cicho. Choćby dlatego, że ich karki dźwięgają tylko wyszczerzony w błogim samozadowoleniu image.■

Dokąd zmierzamy? ♦ Dokąd zmierzamy? ♦ Dokąd zmierzamy? ♦ Dokąd zmierzamy? ♦ Dokąd zmierzamy?



Jerzy Kałwak

## Edi wybiera się do Europy

W naszych codziennych rozmowach, w telewizyjnych i radiowych dyskusjach, w publikacjach na łamach gazet kwestia przystąpienia Polski do Unii Europejskiej przybiera barwę czarno-białą. Metafora, która najwyraźniej rysuje tę dwoistość postaw, zawarta jest w haśle „Europa czy Białoruś?”, ewentualnie „Unia Europejska czy Wspólnota Niepodległych Państw?” lub jeszcze dosadniej i bardziej złowieszczo: „UE albo ZBiR?”. Jak przez mgłę słychać także nieśmiało pytanie: „Unia czy NAF-TA?”.

Na samym wstępie muszę zaznaczyć, że nie zgadzam się na dyskusję z perspektywy czarno-białego wzorca, narzucanego nam przez polityków zaliczanych i zaliczających siebie do (pozornie) przeciwstawnych obozów. Podział na „Europę” – euroentuzjastów oraz „Białoruś” – eurosceptyków jest nieprawdziwy, bowiem trudno obecnie znaleźć w Polsce znaczące cokolwiek środowiska, które przeciwstawiałyby sobie takie dwa punkty widzenia. Dyskusja, jakiej jesteśmy świadkami, dotyczy co najwyżej warunków naszego przystąpienia do UE. Jeśli ktoś kwestionuje potrzebę integracji, to zazwyczaj kierują nim obawy o to, że jakaś grupa polskich obywateli na przystąpieniu do UE więcej straci niż zyska. Wydaje się, iż argumentów na rzecz takiego właśnie sposobu postrzegania skutków naszej akcesji jest przynajmniej tyle samo, co argumentów tych, którzy uważają, iż na integracji można więcej zyskać, niż stracić.

Głosów tych środowisk, które uważają, że możemy wyłącznie stracić albo wyłącznie zyskać, postanowiłem w tym tekście w ogóle nie brać pod uwagę, bowiem już w pierwszym zdaniu musiałbym napisać, że jestem zdecydowanie „za” albo zdecydowanie „przeciw”. Tymczasem prawda na temat mojej osobistej postawy w tej kwestii jest inna: widzę dobre i złe strony wstępowania Polski do UE. Jak sądzę, tak myśli większość z nas. Dlatego już za kilka miesięcy, w unijnym referendum owa większość stanie przed rozwiązaniem tego dylematu, tak nieprzeżyty i niefortunnie ubieranego w dycho-tomiczną formułę „albo-albo”, sformułowaną na użytek prounijnej propagandy, i zapewne dojdzie do wniosku, że „nie ma wyjścia z naszego młyna”, czyli że jest tylko jedno wyjście: zapisać się do UE. Taki wynik unijnego referendum będzie tylko w niewielkim stopniu skutkiem oddziaływania propagandy strachu przed Wschodem oraz propagandy obiecańek zachodniego Raju. W obydwu tych przypadkach próby manipulowania świadomością i postawami naszych obywateli są aż nadto widoczne, a nasza zdolność do rozróżniania między propagandą a mówieniem prawdy jest dość powszechnie znana.

Zatem można się spodziewać zarówno licznego (stosunkowo) udziału w referendum, jak i przewagi głosów za przystąpieniem do struktur zachodnioeuropejskich.

Niezwykle ważne jest natomiast, kto tak naprawdę przystąpi do UE. Albo – inaczej mówiąc – kto na tym przystąpieniu skorzysta. Unia jest mieszanką biurokratyzmu i centralnego sterowania możliwie wszystkimi dziedzinami życia obywateli państw unijnych oraz – co brzmi paradoksalnie – ostoją liberalnej, kapitalistycznej wolności w sferze gospodarczej i kulturalnej na kontynencie europejskim.

Narody Europy środkowej, w tym Polacy, ciężko doświadczane dyktaturą komunistycznego ciemniactwa, które odbierało ludziom prawo do decydo-

wania o ich prywatnym losie i przekazywało to prawo spiętrzonemu strukturalnemu biurokracji, mogą spoglądać z obawą na brukselskie centrum dowodzenia zmierzające do utworzenia ponadpaństwowego rządu z armią, systemem sądowniczym oraz – co chyba najgroźniejsze – kwotowym udziałem poszczególnych państw w podejmowaniu decyzji. Zasada jednomyslności decyzji w sprawach wspólnych dla wszystkich państw będących członkami UE traktowana jest wprawdzie jako istotne ograniczenie dla realizacji narodowych interesów największych i najsilniejszych nacji, ale równocześnie metodą, stosowaną już bez zahamowań w kreowaniu wspólnej polityki, jest poszukiwanie popleczników dla kształtowania jej na własną modłę, zwane eufemistycznie lobbiami. Przypomina to bardzo reguły polskiej demokracji szlacheckiej w jej schyłkowej fazie. Nie wiadomo, czy konstruktorzy unijnego porządku uświadamiają sobie, do czego to doprowadziło akurat Polskę i jakie miało skutki dla całej Europy?

O ile eurobiurokracja z głębokim odcieniem socjalizmu może nas zniechęcać do Unii, o tyle kapitalistyczno-protestanckie reguły gry rynkowej co rozsądniejszych i samodzielniejszych mieszkańców Europy centralnej powinny do niej zachęcać. Ale nie wszyscy o tym wiedzą, a z reklamówek rządowych płynie wyłącznie miód z cukrem na temat, życia jak w Madrycie po przystąpieniu, które wreszcie w Unii czeka nas po latach biedy i wyrzeczności.

Obejrzawszy niedawno film „Edi” Piotra Trzaskalskiego ostatecznie straciłem złudzenia co do kreowanego przez autora sensacji XX wieku obrazu korzyści rozlewających się szeroką rzeką po wsiach, miastach i przedmieściach całej Polski. Trzaskalski stawia przynajmniej dwa ważne pytania tym środowiskom, którym do UE raczej spieszą i po drodze. Co niezwykle ważne, pytania te odarte są całkowicie z kontekstu politycznego i historycznego.

„Edi” oglądany w trakcie negocjacji przed akcesją do Unii, podobnie jak filmowy Jureczek, stawia proste pytania. Ważna jest odpowiedź na pytanie, ilu jest w Polsce takich Edich i Jureczków i co z nimi będzie. Czy starczy dla nich dworców centralnych, stacji metra, schronisk dla bezdomnych, które zbudujemy za unijne pieniądze? Bo przecież w kulturalnej i estetycznej europejskiej wspólnotce dobrobytu nie będzie już miejsca dla Kierownika i jego skupu złomu. Skup nie spełni unijnych standardów technicznych i sanitarnych, nie dostanie ISO czy CE, zrefnujemy polskie hutnictwo zmniejszając wielkość produkcji stali do poziomu wyznaczonego przez wspólny, europejski rząd i być może Kierownik będzie musiał przejść na państwową posadę albo dołączyć do Edich, jeżeli nie odłożył trochę grosza na czarną godzinę.

Srogi europejski sanepid nie dopuści do dalszego funkcjonowania baru dla prywaciarzy-złomiarzy i Szefera przejdzie na groszową emeryturę albo po prostu będzie zmuszona założyć melinę, przejść do gospodarczego podziemia, i tam w końcu sprzedawać słynne truskawkowe czy wiśniowe wino. To wino, które tymczasem dzięki polskim negocjatorom uzyskało rangę euroregionalnego specjału gastronomicznego i zostało wpisane na specjalną listę na podobieństwo francuskiego cydru. Negocjatorzy zadali o Ediego i jego wilczych przyjaciół, żeby w razie jakichś życiowych niepowodzeń mogli się napić czegoś taniego z europejskim certyfikatem. I taka będzie ostatecznie ich korzyść z tej naszej integracji.

Nikt nie policzył, ilu jest Edich i Jureczków oraz egzemplarzy tego samego gatunku, którym powodzi się nieznacznie lepiej, przez co mogą jeszcze udawać przed światem paniska i raczyć się przemycaną gorzałą, jak Bracia. Wypijmy dzisiaj, ile się zmieści, bo jutro może nie być nawet i tego! Taka wydaje się filozofia życiowa Braci, a ich ambicja wyprowadzenia Księżniczki na ludzi przy pomocy matury jest wydarzeniem na skalę Kosmosu. Ta jej matura umożliwi im zalegalizowanie wódczanego interesu w jakiejś knajpie na Pradze albo pod Przasnyszem lub Miławą. Nie dla nich bowiem legalizacja przy pomocy ustaw abolicyjnych ministra Kołodki; oni musieliby wyjaśnić tej Europie, która wchodzi w ich życie już dwie ulice dalej, kilka innych spraw, w tym pewne kwestie nie ujęte w wizjach realnych Grzegorza Kołodki. Tak więc na drodze do Unii Europejskiej pojawia się także problem Braci i Księżniczki, problem z Cyganem, który kursuje pod ruską granicę i dzięki temu ma dostawczaka, komórę i marzenia o życiu z piękną i ukochaną kobietą. Co stanie się z Cyganem, kiedy ruska granica stanie się ostatecznie silnie strzeżoną granicą Unii? Co mają zrobić Cygan i Księżniczka, żeby wychować synka i – zapewne – kilkoro następców?

Odpowiedzi na takie pytania nie ma ani na tych dziesiątkach tysięcy stron dokumentów, jakie już zostały podpisane i jeszcze zostaną podpisane przez polskich i unijnych negocjatorów. Nie ma tam także odpowiedzi na pytanie, czy ten wiejski raj, który tak zachwylił Jureczka, to jest siła nasza czy słabość. Ale – co ważne – jest takie pytanie. Gospodarstwo krewniaków Ediego może komuś wydać się zaniedbaną i podupadłą ruiną, ale Edi podziwia brata, że dba o nie i parę rzeczy poprawił. Bratu Ediego i jego żonie niczego nie brak oprócz szczęścia, jakie dają zwykłym ludziom dzieci. Edi i Jureczek nie potrzebują niczego oprócz prostych zajęć, paru złotych na wino i jakiegoś schronienia. Tym na wsi nie potrzeba już nic więcej. Bo przecież żyją w Raju, gdzie nie ma Braci, wszystko samo rośnie, świeci słońce, płynie rzeka, można usiąść przy stole przed domem, zjeść coś i porozmawiać z równymi sobie.

Zwolennicy przystąpienia Polski do UE skłonni są twierdzić raczej, że taki Raj to nie jest żaden raj. Wieś musi się zmieniać, zrestrukturizować (coż za pojemne znaczeniowo słowo!), dostosować do norm i standardów europejskich, aby móc konkurować z rozwiniętym rolnictwem zachodnim oraz zasłużyć na dopłaty i dofinansowania z funduszy unijnych. Tak, to prawda: polskie rolnictwo musiałoby się zmienić, żeby konkurować z rolnictwem państw UE żyjącym z dopłat do tego, czego nie wyprodukuje. Ale czy brat Ediego naprawdę tego chce, czy on w ogóle o tym myśli? Zapewne myśli o tym, że trzeba wydoić krowy, nakarmić świnię, oprawić królika, wyprawić chrzciny. Ale dlaczego ma konkurować z kimś znad Sekwany? – o tym nie myśli, bo w telewizji ogląda co najwyżej dziennik, a na pewno jakąś „Plebanię”, w której bohaterowie mają problemy trochę uboższych, ale zawsze, Carringtonów.

No, to spróbujmy policzyć tych, do których wiatrowe pogwizdywania na kierdel owiec i baranów, wiedziony ku europejskiemu pastwisku, w ogóle nie dotrą? Jeżeli do środowiska Ediego dołożymy trwających w błogim półśnie mieszkańców filmowego Raju znad Narwii, Biebrzy, Pilicy, Sanu czy Warty, a do nich dopiszemy jeszcze tych wszystkich, którzy pijają arizonę w pegeerowskim blokowisku, następnie dopiszemy do tej listy tych Janów bez ziemi, których w miejskich blokowiskach trzyma przy życiu renta babci, zasiłek z opieki społecznej czy zasiłek z działości, do nich zaś dodamy

Dokończenie na str. 12



Dokończenie ze str. 11

niezliczone rzesze tych, którzy pracują za pensję miesięczną z ledwością pokrywającą koszt jednego obiadu polskiego negocjatora w Brukseli, a do tego jeszcze studentów jedzących byle co raz dziennie, wyspiających się w pociągu, byle tylko zostać tym specem od marketingu i czekać na cud – to może się nagle okazać, że zabraknie kworum w referendum!

Kworum w referendum to zbyt poważna sprawa, żeby oddawać ją w ręce takich Edich, Jureczków, Książniczek, Cyganów, Braci, a nawet w ręce takich Adasiów Miauczynskich z innego filmowego hitu ostatnich miesięcy – „Dnia świra”. W tej sytuacji i tak zadecydować musi parlament, twierdzi prezydent. W tej sytuacji do Europy wejdzie parlament, rząd, negocjatorzy etc., a razem z nim cała ta nikomu niepotrzebna, żyjąca z dnia na dzień i na marginesie halastra, zaludniająca nasze przedmieścia, miasteczka, ursynowy, radomie, ożarowy, białogardy, czy tego chce czy nie chce.

Jeśli to przystąpienie nie za bardzo ich dotyczy i równie niewiele interesuje, to kto pójdzie zagłosować w tym referendum, które – jak napisałem wyżej – będzie na pewno „za”? Nooo... ci sami, których to nie dotyczy i na naszym przystąpieniu osobiście stracą oraz ci, którzy kalkulują, że to im się opłaca: rząd, parlament, urzędnicy, klientela rozmaitych partii, pracownicy firm, które żyją z tego, że tak nam spieszo do tej Unii Europejskiej. Pójdą zagłosować na „tak” pomimo strat osobistych i w związku z osobistymi korzyściami. Zapiszą się do tej Unii, jak niedawno zapisywali się do „Solidarności”, partyjni i bezpartyjni, katolicy i żydzi, marksiści i endecy, akowcy i enkawudowcy. Pójdą jak w 1920 roku starzy i młodzi, bo ojczyzna wzywa. Bo tak uważają Papież, Prymas z biskupem Pieronkiem i Muszyńskim oraz ksiądz proboszcz w świecie bywały i rادیu naszemu, najlepszemu nieposłuszny.

Jeśli tak musi się stać, to proszę pamiętać, że przestrzegalem przed nadmiarem optymizmu i ostrzegalem przed nadmiarem pracy, jaką trzeba będzie wykonać w bardzo krótkim czasie. Kto będzie tylko czekał na te gruszki na wierzbie, które wyrastają premierowi Millerowi kiedy już kończy, ten może pozostać albo stać się Edim.★

Jerzy Katwak

## KSIĘGARNIA Bidgostia

85-009 Bydgoszcz, ul. Dworcowa 51B/4  
tel. (052) 321-33-71, fax (052) 371-40-90

Dysponuje najbogatszą ofertą bidgostianów,  
w tym dzieł miejscowych twórców.  
Podręczniki z różnych wydawnictw.

Ceny – bez narzutu,  
zachęcamy głównie młodzież i studentów.

Polecamy książki wartościowe!

Pełna oferta IW „Świadectwo”

### Nowości:

- Stanisława Deluga „Staccato”
- Henrich Heine „Wiersze”
- David C. Karten  
„Świat po kapitalizmie”
- Krzysztof Hilkamp „Arcadia 1701”

## Klub Polskiej Książki w Miliczu

Klub Polskiej Książki w Miliczu – muszę się przyznać – jest nieco zaniedbany, ale wiem (bo sam sprawdzałem), iż szyld oraz półka z książkami nadal istnieją w milickim Klubie Nauczyciela. Pozycje książkowe są już jednak przejrane przez starych bywalców Klubu i pewnie przydałby się świeży „rzuć” – ale to tylko nieśmiała sugestia.

Cezary Tajer

## Na Łotwie

16 listopada 2002 roku nastąpiło uroczyste otwarcie Klubu Polskiej Książki w Małcie na Łotwie. Z inicjatywą wystąpiła Jadwiga Okuniewicz. Wójt gminy wraz z dyrekcją Średniej Szkoły nr 2 (z rosyjskim językiem wykładowym) wyremontowali piękną salę w budynku szkolnym. Podczas otwarcia, połączonego z akademią z okazji wspólnej rocznicy odzyskania niepodległości przez Łotwę i Polskę (11 i 18 listopada), ze wzruszeniem pokazywano pierwszą książkę – dar, którą na apel „Akantu” przesłał Lucjan Zuzia z Krakowa. Doprawdy, ale w KPK-ach każda książka jest czytana i omawiana, więc apelujemy do Pisarzy i Czytelników o przesłanie książek. Dzielimy się dobrym i mądrym słowem. Powstaje też KPK w Wielonach (Vilani).

Oto jego adres:

Felicja Leščinska  
LV 4650 Vilani  
Nakotnes iela 2/3  
tel. 1-4662598  
Łotwa - Latvija

Andrzej Orylski

## W Bydgoszczy

Klub – Matka w Hotelu „Centralnym” w Bydgoszczy, zwanym już powszechnie „Hotelem dla literatów” (bardzo blisko dworca, a literaci często nie mają pieniędzy na tramwaj, nie mówiąc już o taksówce), dopracował się wreszcie modelowych spotkań. Po prostu ideałem jest **biesiada wszystkich zgromadzonych**, podczas której każdy dzieli się wrażeniem z aktualnych lektur (zachęca i zniechęca, czyta fragmenty), dywaguje na temat kondycji literatury polskiej, zastanawia się nad rozwojem czytelnictwa. Tego typu spotkania (przy świecach, a jakże!) odbyły się w listopadzie (temat: *śmierć, przemijanie, odeszli twórcy*) i w grudniu (temat: *Boże Narodzenie, śnieg, zima*) 2002 roku. Spotkania z właściwym sobie wdziękiem, przy mniej lub bardziej uzasadnionych przewidywaniach właściciela hotelu – **Miłosza Heliasza** (to ten, który już 5 lat bez przerwy sponsoruje kulturę zakupem reklamy w „Akancie”), prowadził **Michał Krzemkowski**.

Aż nie chciało się iść do domu!

Grzegorz Misiewicz

Pani doktor  
Urszuli Hoffman dziękujemy  
za wspaniałe książki  
przekazane  
Klubom Polskiej Książki  
na Litwie i Łotwie.

Kapituła KPK



Fot. Włodzisław Zieliński

Na zdjęciu: Modlitwę poświęcenia podczas otwarcia KPK w Małcie na Łotwie prowadzi ks. Tadeusz Kielczewski



Wszystkim pisarzom i bibliotekarzom, którzy chcieliby podarować swoje dzieła Klubom Polskiej Książki podajemy adresy tych placówek zapewniamy, że tam wszystkie książki czyta się i analizuje:

- KPK, Hotel „Centralny”, ul. Dworcowa 85, 85-010 Bydgoszcz, tel. (052) 322 88 77
- KPK, Pub „Żubr”, ul. Magdzińskiego 6, 85-005 Bydgoszcz
- KPK, Klub Nauczyciela, ul. Wojska Polskiego 3, 56-306 Milicz, woj. dolnośląskie

- KPK Podbrodzie, Pabrades Internatienia Mokykla, 4710 Pabrade, Mokyklos gatve 5, Litwa – Lietuva
- KPK Rzeżyca, Rezeknes polu vidusskola, Lubanas iela 49, LV – 4600 Rezekne, Łotwa – Latvija
- KPK, Wacław Ratyński, Kuźnica Czeszycka 29, 50-320 Krośnice, woj. dolnośląskie
- KPK, Pub „Parnasik”, Bydgoszcz, ul. Parkowa 2
- KPK, Klub Nauczyciela, ul. J. Słowackiego 58/60, 60-521 Poznań, tel. (061) 852 10 85
- KPK, Felicja Leszczyńska, LV 4550 Vilani, Nakotnes iela 2/3, tel. 14662598, Łotwa – Latvija
- KPK Malta, Jadwiga Okuniewicz, Malta, Rezeknes rajon, Jaunatnes iela 11, tel. 41921, Łotwa – Latvija



Renata Krupa

## Antysemityzm a XXI wiek

Problemy antysemityzmu, stosunków polsko-żydowskich są wciąż tematami otwartymi, podejmowanymi przez historyków, pisarzy, poetów, reżyserów. Pytania: *Czy wszyscy Polacy byli „odwróceniami”?*, *Co mogli jeszcze zrobić?*, *Jakie będą relacje między Polakami i Żydami w przyszłości?* są nadal pytaniami, które nie straciły nic ze swej aktualności i ważności.

Antysemityzm (termin stworzony w 1879 roku) towarzyszył Polakom przez cały XX wiek. Głęboko zakorzeniony w świadomości ludzi stał się przyczyną holocaustu, a także przyzwoleniem na zagładę, w końcu zaś doprowadził również do tego, iż Polacy uznawani są przez Żydów za współwinnych kryzysu, które doznał.

Anna Landau-Czajka w książce *„W jednym stali domu... Koncepcja rozwiązania kwestii żydowskiej w publicystyce polskiej lat 1933-1939”* przypomina, iż w przekonaniu ludności pierwszej połowy XX wieku rozwiązaniem, które mogło położyć kres kwestii żydowskiej w Polsce, miało być usunięcie Izraelitów z naszego kraju. Wielu antysemitów uparcie powtarzało, że pobyt Żydów w Polsce jest tak szkodliwy, że należy się ich pozbyć w taki sposób, w jaki pozbywa się robactwa z mieszkania.

Olaf Bergman w rozprawie *„Narodowa Demokracja wobec problematyki żydowskiej w latach 1918-1929”* przypomina również przewodnie idee narodowców, dla których dobry katolik powinien być jednocześnie antysemitą. Żyd wyróżniał się dla nich cechami niebezpiecznymi dla otoczenia, był chciwy, sprytny i przebiegły.

Paweł Szapiro w artykule o prowokującym tytule *„Nie trzeba było Hitlera”*<sup>3</sup> porusza kwestię obojętności Polaków na los Żydów podczas okupacji. Jednak zauważa też, że przed wojną los Żydów nie był tak obojętny, ponieważ najchętniej widziano by ich poza granicami naszego kraju. Autor czyni tu aluzję m.in. do głoszonej przez prawnicę w latach trzydziestych idei przymusowej emigracji Żydów z Polski<sup>4</sup>.

Postawa antyżydowska pojawiła się również w polskim folklorze i w mentalności polskiego ludu. Wiedza ludu na temat kultury żydowskiej opierała się jedynie na własnych wrywkowych obserwacjach. Stereotyp religii i kultury żydowskiej wyznawany przez polskiego chłopca wykazuje wiele archaizmów, opiera się na minionej już przeszłości. Książka Aliny Całej *„Wizerunek Żyda w polskiej kulturze ludowej”* (1987) jest udokumentowaniem pracy autorki, polegającej na badaniach ankietowych przeprowadzonych w latach: 1975, 1976 i 1984 na obszarze południowo-wschodniej i wschodniej Polski<sup>5</sup>. Badaczka pokazuje, iż obraz Żyda w świadomości ludzi nie zmienił się od wielu lat, a kontakty między tymi grupami od kilkudziesięciu lat właściwie nie istnieją. Dla tych Polaków Żyd był zawsze podstępny, myślał tylko o własnym zysku, chciał oszukać i przechrzcić chrześcijanina. Taki sam obraz innowiercy kreśli Aleksander Hertz w publikacji *„Żydzi w kulturze polskiej”*<sup>6</sup>. Natomiast Piotr Kowalski w książce *„Zwierozczłokoupiory, wampiry i inne bestie. Krwiozercze potwory i erozja symbolicznej interpretacji”*<sup>7</sup> mówi o diabolizacji, która dotknęła Żydów łączących chrześcijańską krew.

Folklor również nie odnosi się zyczliwie do Żydów. Nie zawsze wprawdzie ma to charakter jawnej wrogości. Częściej przybiera postać kpiny. Obok śmieszności, jaką budzi tu niezgodność zachowania się obcego z akceptowanymi normami postępowania, działały dążenia kompensacyjne. Wymieniając Żydów, utwierdzano się w poczuciu własnego znaczenia. Świadczą też o tym przysłowia: *„Kiwa się jak Żyd nad Talmudem”*, *„Boi się wody jak Żyd”*. Ośmieszane są żydowskie obyczaje, religia, codzienne zajęcia. Liczne styczności Polaków z Żydami dotyczyły działalności gospodarczej. W związku

ku z pełnieniem tych funkcji przez Żydów powstało również mnóstwo przysłów, m.in.: *„Kiedy bida, to do Żyda”*, *„Twardy jak Żyd do interesu”*, *„Każdy Żyd swój towar chwali”*, *„Sprawiedliwy jak żydowska waga”*. Żyd z racji swych funkcji gospodarczych oceniany był nieżyczliwie i określany wieloma nieprzychylnymi epitetami: *„krętacz”*, *„pijawa”*, *„żydek”*, ale jednocześnie stał się autorytetem i dawano wyraz swojego uznania dla jego rozumu, oszczędności i przedsiębiorczości.

Cień na stosunki polsko-żydowskie okresu dwudziestolecia międzywojennego kładzie wydarzenie w Przytyku z 9 marca 1936 roku. Ostatecznie zginął wówczas jeden Polak i dwóch Żydów, a wszystko odbyło się w atmosferze wzajemnej nienawiści, wzajemnych oskarżeń. Wojna zawiesiła ten problem. Dopiero Piotr Gontarczyk podjął się trudu zebrania zachowanej dokumentacji dotyczącej owego wydarzenia i opublikował ją w tomie pod znaczącym tytułem *„Pogrom? Zajścia polsko-żydowskie w Przytyku 9 marca 1936 r. Mity. Fakty. Dokumenty”*<sup>8</sup>. Druzgocące jest przede wszystkim to, że wszystko, co się wydarzyło w tym miasteczku, miało podobny przebieg w innych miejscowościach, w których skutecznie działały rzucane przez miejscowych działaczy Stronnictwa Narodowego hasła: *„Nie kupuj u Żyda”*, *„Żyd wyżyłkiewicz”*, *„Żyd krwiopijca”* i inne im podobne.

Antysemityzm doprowadził w końcu do holocaustu – zagłady, która – zdaniem Henryka Grynburga – dotyczy jedynie Żydów. Ks. Stanisław Musiał, mówiąc o holocauście, twierdzi, że nie był to tylko mord i grabież. Naziści chcieli przede wszystkim narzucić światu swoją definicję człowieka. Hitler przecież podkreślał, że wolą jego narodu jest stworzenie nowego człowieka. Natomiast przeszko- dę na tej drodze stanowili Żydzi, którzy – w mniemaniu agresorów – wnieśli w kulturę świata wiele zła<sup>9</sup>. Według Norberta Elias<sup>10</sup> decyzja wymordowania wszystkich Żydów oraz próba jej wykonania wynikały bezpośrednio z doktryny narodowo-socjalistycznej i z głęboko zakorzenionej wiary w czystość rasową.

Nie czas oceniać innych, czas ocenić samych siebie. Jednak oceniać, to nie usprawiedliwiać. Ważne jest więc poznanie i zrozumienie tego, co robili nasi przodkowie, a także tego, co robiliśmy my sami. Nikt przecież nie uważa, że nasi ojcowie i dziadkowie mieli obowiązek udzielać pomocy, która narażała na śmierć ich samych i całą rodzinę. Pomoc zbrojna natomiast była symboliczna nie dlatego, że Polacy więcej nie chcieli dać, ale dlatego, że tylko taka była możliwa. Militarna bezsilność nie usprawiedliwia jednak moralnego otepienia, owej pełnej ludzi, kręczącej się przy murze warszawskiego getta karuzeli, niedaleko której mordowano Żydów<sup>11</sup>.

Podczas zagłady Polacy nie byli chętni, by okazywać pomoc czy nawet współczucie mordowanemu współobywatelom; często również uczestniczyli w procesie zagłady. Chawka Falman-Raban podczas okupacji była łączniczką gett i niejednokrotnie słyszała, jak ludzie mówili: *„Jedną rzecz Hitler robi dobrze, że wykańcza Żydów”*<sup>12</sup>. O wrogich relacjach między Polakami i Żydami podczas II wojny światowej mówi również Izrael Gutman w rozmowie z Pawłem Szapiro, opublikowanej na łamach *„Gazety Wyborczej”* w 1993 roku<sup>13</sup>. Autor rozumie trudną sytuację, w jakiej znaleźli się Polacy, bo przecież tylko w Polsce za udzielenie Żydom pomocy groziła kara śmierci. Przyznaje, że wielu tę cenę zapłaciło. Ale przypomina także opinie Polaków, które głosiły, iż to, co dzieje się za murami getta, jest zapewne straszne, ale Polaków nie dotyczy. Przyznaje, że to właśnie w okresie okupacji zmienił się jego stosunek do Polaków, którzy wyróżniali się swoją obojętnością i biernością. Byli również tacy, którzy po cichu cieszyli się, że Hitler załatwia pro-

blem żydowski, a jednocześnie pomaga rozwiązać wiele trudnych spraw<sup>14</sup>.

Jakże, w tej sytuacji, prawdziwe wydają się poglądy Jana Tomasza Grossa, iż *„ta postawa polskiego społeczeństwa ma w sobie skazę i to nie smugę cienia bynajmniej, ale raczej coś na podobieństwo jądra ciemności”*<sup>15</sup>.

Potwornym dla Polaków zrzędzeniem losu było to, iż przywódcy nazistowskich Niemiec postanowili, że mord narodu żydowskiego odbędzie się właśnie na terenie naszego kraju. Polacy nie mieli żadnego wpływu na tę decyzję i nie są za nią odpowiedzialni. Szkoda tylko, że większość Polaków stała obok holocaustu, przyjmując postawę biernego widza; szkoda, że tak niewielu zdobyło się na przyjazne gesty opisane przez Emanuela Ringelbluma w *„Notatkach z getta”*. Praca ta zawiera materiały archiwum, tworzonych w getcie przez tajną grupę Oneg Szabat, dowodzące tego, iż byli Polacy, którzy nie wahali się pomagać Żydom. Ringelblum zalicza do nich m.in. księży, którzy chętnie wydawali metryki, aby ulżyć doli ludzi pragnących uchodzić za Aryjczyków. W owych materiałach został zapisany również fakt, iż w Limanowej w 1940 roku franciszkanie dali mieszkanie i pożywienie uchodźcom żydowskim.

Nawet najmniejszy gest pomocy mógł uratować życie Żydowi, mógł pomóc przetrwać mu jeszcze jeden dzień, a nawet całą wojnę. Ludwik Hirszfild, wspominając rok 1941, przypomina sobie księdza Godlewskiego, który przed wojną był zagorzałym antysemitą, a gdy los zetknął go z okrucieństwem okupanta, odrzucił swe wrogie nastawienie do Żydów i pomagał im wszystkimi możliwymi sposobami. Hirszfild otrzymał od niego mieszkanie na plebanii kościoła Wszystkich Świętych na Placu Grzybowskich<sup>16</sup>.

Co robić teraz, na początku XXI wieku, kiedy wydarzenia wojenne stają się coraz bardziej odległe, ale obraz Polaka-antysemity nie zaciera się? Wiadomym jest, że dobry człowiek mógł uratować jednego lub kilku Żydów, a jeden zły miał możliwość zniszczyć dziesiątki. Jak należy się więc zachować, by przyszłe pokolenia Polaków i Żydów nie miały zniekształconej wizji całości? Jaką wybrać drogę postępowania, aby problem wiecznego antysemityzmu, o którym mówi współczesny polityk – Daniel Pipes<sup>17</sup>, stał się wreszcie nieaktualny?

Należy przede wszystkim przerwać złą historię milczenia. Będzie to trudne tym bardziej, że Polacy nie chcą, ale i nie umieją, rozmawiać o łączących ich przez pokolenia stosunkach. Pretekstem do rozpoczęcia dialogu polsko-żydowskiego niech będzie książka Jana Tomasza Grossa *„Sąsiedzi”*, która – mimo wszystko – nie powinna stać się sztandarowym przykładem polskiego antysemityzmu. Ważne wydaje się również to, aby poznać bliżej religię, zwyczaje, mentalność Żydów, a nie kierować się stereotypami zakorzenionymi w nas od wieków. A może nawet warto zauroczyć się tym innym narodem, który – jak twierdzi Alfred Doblin<sup>18</sup> – nosi w sobie świątynię?

Lucjan Doroszyński stawia zadanie przed polską inteligencją, aby podejmowała tematy bolesne zarówno dla Żydów, jak i dla Polaków, i aby robiła to w imię rzetelności historycznej, a także w imię głębokiej refleksji nad etyką życia zbiorowego. Jako przykład stawia Doroszyński takich twórców, jak: Kazimierz Wyka, Czesław Miłosz, Jan Błoński, Jerzy Andrzejewski<sup>19</sup>.

Trzeba również rozpocząć od atakowania wszelkich przejawów antysemityzmu. Wydarzenia w Łodzi w marcu 2000 roku pokazują, że pierwszy krok już uczyniliśmy. Podczas mszy św. w kościele św. Katarzyny w Betlejem, kardynał Józef Glemp zaapelował o przeciwstawienie się antyżydowskiemu napisom na polskich ulicach. W Łodzi mieszkańcy miasta zmobilizowani przez *„Gazetę Wyborczą”* usunęli je z murów. Dzień później ktoś napisał *„Jude raus”* na ścianie domu Marka Edelmana. Czy czyn



Beata Pokorska

## Wisława Szymborska po hiszpańsku!

21 listopada 2002 r. Instytut Cervantesa i ambasada Hiszpanii w Warszawie zaprezentowały wybór hiszpańskich tłumaczeń poezji naszej poetki (wydawnictwo: *Fondo de Cultura Económica*, Meksyk 2002).

Antologia, trzeba przyznać, znakomita. Zarówno pod względem objętości, jak i staranności translacyjnej, do której, jak powszechnie wiadomo, noblistka przywiązuje niesłychaną, wręcz legendarną wagę. W żadnym języku nie istnieje tak obszerny przekrojowo przekład, obejmuje on bowiem wiersze najwcześniejsze - sprzed roku 1957 oraz szeroki wybór ze zbiorów: „*Wołanie do Yeti*” (1957), „*Sól*” (1962), „*Sto pociech*” (1967), „*Wszelki wypadek*” (1972), „*Wielka liczba*” (1976), „*Luźnie na moście*” (1986) i „*Koniec i początek*” (1993). Gratką dla koneserów będzie umieszczenie w zbiorze kilku nie wydanych jeszcze wierszy poetki.

Tłumaczeniem zajęli się wybitni hiszpańscy: Gerardo Beltran (poeta i tłumacz meksykański, wykładawca poezji latinoamerykańskiej i przekładu literackiego w Instytucie Studiów Iberyjskich i Iberoamerykańskich na Uniwersytecie Warszawskim, translator poezji Zbigniewa Herberta, Czesława Miłosza i Adama Zagajewskiego) oraz Abel A. Murcia Soriano (filolog i tłumacz, dyrektor ds. nauczania Instytutu Cervantesa, autor dwóch słowników hiszpańsko-polskich i polsko-hiszpańskich, słownika idiomów, terminów sportowych, tłumacz poezji Miłosza, autor licznych publikacji o Polsce, w tym znanej pracy: „*Hiszpanie i Polacy na dworze Karola V: listy ambasadora Jana Dantyszka*”).

Spotkanie miało charakter nie tylko promocyjny. Dwujęzyczne odczytanie licznych (bo aż dwudziestu pięciu) wierszy, w tym w wymienionej polskiej recytacji Darii Trafankowskiej, oraz fachowy komentarz obu autorów przekładu do każdej translacji posłużyły zapewne jako znakomita lekcja filologiczna dla rzeszy przybyłych studentów, nie tylko iberystyk. Beltran i Soriano dokładnie zaprezentowali tajniki przekładu, przygody (i pułapki), których doświadczali w trakcie pracy translacyjnej. Wskazali na różnice kontekstu kulturowego obu języków, np. na zwyczajowo „*wysoki*” język poezji hiszpańskiej, na który trudno było przetransformować kunsztownie „*prostą*” językowo poezję Szymborskiej, czy też kłopoty z użyciem znanych większości Polaków tropów poetyckich, funkcjonujących w świadomości czytelniczej, a nawet w języku potocznym za sprawą wierszy Jana Brzechwy, Juliana Tuwima czy Wandy Chotomskiej, zupełnie zaś nie istniejących w tradycji języka hiszpańskiego, który w wydaniu poetyckim - niestety - nie jest kierowany do młodego czytelnika. Autorzy znaleźli, wydaje się, trafny *modus vivendi* dla tego przekładu, posłużyli się bowiem zasadą dalekiego raczej niż bliskiego językowego przełożenia, wykorzystując podobieństwo kontekstowe, a nie literalne (np. wierszowi „*Sto pociech*” z tomu o tym samym tytule nadali nowy tytuł: „*Un encanto*” - czyli: „*Wyjątkowo czarujący*”, zachowując przy tym nazwę tomu bez zmian).

Podniosła atmosfera wieczoru, jak i entuzjastyczna reakcja licznie przybyłej publiki dowodzą

wielkiej (i nie „*wypełnionej*”) potrzeby czytelniczej Polaków. Szkoda tylko, że nie można było - ze względu na nie dochodowy charakter Instytutu Cervantesa - nabyć egzemplarzy publikacji. Pozostaje więc nam poczekać na efekt dystrybucji i udać się do pobliskiej księgarni. Ja już się szykuję!\*

Rama też jest dziełem sztuki  
PRACOWNIA PLASTYCZNA  
„DEKORA”

Bydgoszcz, ul. Gdańska 9,  
tel. 322 19 88

Służy artystom i miłośnikom sztuki  
od 1945 roku.

Oprócz artystycznej oprawy obrazów  
prowadzi sklep z artykułami malarskimi.  
Najnowsze techniki i technologie.  
Najlepsi fachowcy, artyści bez mała

Zapraszamy w godz.  
10.00-17.00



Dokończenie ze str. 13

ten spotkał się z powszechnym potępieniem? Do Edelmana napisali między innymi prezydent i premier, a mieszkańcy domu i przechodnie poczuli się znieważeni, choć nie do nich odnosiły się te napisy. Doświadczenia XX wieku i posoborowe otwarcie się Kościoła katolickiego na kwestię żydowską, pragnienie pojednania i wybaczenia zadawanych krzywd i wydawania fałszywych sądów pozwala mieć nadzieję prawdziwego zanikania dotychczasowego antysemityzmu. Ważny jest fakt, że pierwsze wyciągnięcie ręki ze strony Kościoła zostało dokonane<sup>20</sup>. Bolesna przeszłość powoli odchodzi i należy sądzić, że stanie się zamkniętym rozdziałem na rzecz nadziei jutra.

Osobą, która uczy nas, jak pokochać odrzucony narod, jest Jan Paweł II. Odwiedzając Palestynę i Jerozolimę, spotykając się z rabinami Izraela i modląc przy Ścianie Placzu, Papież przekazał narodowi, iż nadszedł czas ostatecznego pojednania i przebaczenia. Słowa Ojca Świętego wypowiedziane w Instytucie Pamięci Yad Vasshem: „*Nie ma słów dostatecznie mocnych, aby oplakiwać straszliwą tragedię Shohah. Jako biskup Rzymu i następcą apostoła Piotra zapewniam naród żydowski, że Kościół katolicki, kierując się ewangelicznym prawem prawdy i miłości [...] jest głęboko zasmucony z powodu nienawiści, aktów prześladowania i okazywania antysemityzmu skierowanego przeciw Żydom przez chrześcijan w jakimkolwiek czasie i miejscu*”<sup>21</sup> powinny jak najszybciej znaleźć odzwierciedlenie w myślach i czynach. \*

## Przypisy:

- 1 Pozycja ta została wydana w Warszawie w 1998 roku.
- 2 Zob.: O. Bergman, *Narodowa Demokracja wobec problematyki żydowskiej w latach 1918-1929*, Poznań 1998.
- 3 P. Szapiro, *Nie trzeba było Hitlera*, [w:] „*Międzasy*” 1999, nr 5.
- 4 Stosunki polsko-żydowskie przed II wojną światową zostały omówione m.in. w: J. Wróbel, *Katolickie pań-*

*stwo narodu polskiego*, Warszawa 1994; J. Orlicki, *Z dziejów stosunków polsko-żydowskich 1918-1949*, Szczecin 1983; A. Sandauer, *O sytuacji pisarza polskiego pochodzenia żydowskiego w XX wieku*, Warszawa 1982.

- 5 Zob.: A. Cała, *Wizerunek Żyda w polskiej kulturze ludowej*, Warszawa 1992.
- 6 A. Hertz, *Żydzi w kulturze polskiej*, Kraków 1987.
- 7 Pozycja ta została wydana w Krakowie w 2000 roku.
- 8 P. Gontarczyk, *Pogrom? Zajścia polsko-żydowskie...*, Warszawa 2000.
- 9 Zob.: St. Musiał, *Wojna o definicję człowieka*, „*Tygodnik Powszechny*”, 15 IX 1999.
- 10 Zob.: N. Elias, *Rozważania o Niemczech*, Poznań 1996.
- 11 Motyw kręcący się karuzeli obok muru Getta Warszawskiego występuje w następujących utworach poetyckich i prozatorskich: Cz. Miłosz, *Campo di Fiori*, *Biedny chrześcijanin patrzy na getto*; J. Andrzejewski, *Wielki Tydzień*; A. Rudnicki, *Wielkanoc*; A. Szczypiński, *Początek*; J. Zagórski, *Psalm*.
- 12 Zob.: „*Gazeta Wyborcza*”, *Wysokie obcasy*, 16 IX 2000.
- 13 P. Szapiro, *Trudno było o solidarność*, [w:] „*Gazeta Wyborcza*” 1993, nr 94.
- 14 Problem ten poruszony zostaje również w książce Jana Błońskiego, pt. *Biedni Polacy patrzy na getto*, Kraków 1996.
- 15 J.T. Gross, *Upiorna dekada. Trzy eseje na temat Żydów, Polaków, Niemców i Komunistów 1939-1948*, Kraków 1998, s. 117.
- 16 L. Hirszfild, *Historia jednego życia*, Warszawa 2000.
- 17 Mowa tu o pozycji: D. Pipes, *Potęga spisku. Wpływ paranoicznego myślenia na dzieje ludzkości*, Warszawa 1998.
- 18 Zob.: A. Doblin, *Podróż po Polsce*. Podróż tę autor odbył w 1924 r., a pierwsze wydanie książki ukazało się w 2000 roku.
- 19 L. Dobroszycki, *Kronika Getta*, Warszawa 1998, s. 118-119.
- 20 Wydarzenie mające ogromny wpływ na pojednanie między Polakami i Żydami to również nabożeństwo w synagodze na ul. Twardej w Warszawie w 50. rocznicę powstania w Getcie Warszawskim, podczas którego po raz pierwszy w historii stosunków chrześcijańsko-żydowskich biskup katolicki i rabin wspólnie modlili się w synagodze.
- 21 Cyt. wg: „*Tygodnik Powszechny*” 2000, nr 14.

XVII Ogólnopolski  
Konkurs Poetycki  
„O HERB GRODU CHRZANOWA”

W konkursie mogą wziąć udział poeci nie zrzeszeni oraz poeci będący członkami związków twórczych.

Konkurs organizowany jest w dwóch kategoriach tematycznych:

I kategoria - wiersze o tematyce związanej z Chrzanowem i Ziemią Chrzanowską;

II kategoria - wiersze o tematyce dowolnej.

Warunkiem uczestnictwa w konkursie jest nadesłanie na adres organizatorów 1 do 3 utworów poetyckich, nigdzie wcześniej nie publikowanych i nie nagrodzonych w innych konkursach, w 4 egzemplarzach maszynopisu. Wiersze należy podpisać godłem. Do utworów należy dołączyć zaklejoną kopertę, opatrzoną tym samym co utwory godłem oraz numer kategorii tematycznej, zawierającą kartkę z imieniem, nazwiskiem, dokładnym adresem autora, ewentualnie numerem telefonu.

Każdy z autorów może uczestniczyć w dwóch kategoriach, lecz w jednym zestawie wierszy. Nieprzestrzeganie zasad regulaminu i przesłanie więcej niż jednego zestawu z danej kategorii przez tego samego autora, podpisującego wiersze różnymi godłami, dyskwalifikuje z udziału w konkursie.

Do udziału w konkursie organizatorzy zapraszają również dzieci i młodzież do lat 17. Dlatego też uczestnicy konkursu poniżej 17 roku życia winni na dołączonej kopercie (z godłem i numerem kategorii tematycznej) napisać również swój wiek. Jury przyjmie oddzielne kryteria oceny wierszy najmłodszych twórców.

Termin nadsyłania utworów mija 30 marca 2003 r. Prace należy nadsyłać na adres:

MIEJSKI OŚRODEK KULTURY,  
SPORTU I REKREACJI  
Grupa Twórcza „Cumulus”  
ul. Broniewskiego 4, 32-500 Chrzanów  
z dopiskiem „Herb Grodu”



Peter Halliday

## Przygoda wydawcy

W kilka tygodni po tym, jak jesienią 1967 roku zamieszkałem na stałe w Hong Kongu, ktoś z moich nowych wówczas przyjaciół zaprosił mnie do kina. Film, który wspólnie obejrzelśmy owego sobotniego popołudnia – pamiętam szczegóły tego wydarzenia z niczym do dziś nie zmałą jasnością – nosił tytuł „*Love is a Many Splendored Thing*” (w polskiej telewizji był emitowany pod tytułem *Miłość jest wspaniała*; przyp. tłumaczkii), a główne role grały w nim dwie znakomite gwiazdy światowego ekranu, William Holden i Jennifer Jones. Film zrobił na mnie ogromne wrażenie i muszę wyznać, że kiedy opuszczaliśmy już salę, ja wcale nie kryłem swoich lez.

To było mniej więcej w 1972 roku, kiedy przez godzinę z rozkoszą oddawałem się nieróbstwu, czyli przeglądałem półki w księgarni (co wciąż jest moją ulubioną rozrywką). Nagle wpadła mi w ręce książka napisana przez Han Suyin, zatytułowana „*A Many Splendored Thing*”. Natychmiast powróciło wspomnienie kilka lat wcześniej obejrzanego filmu. Czyżby to książka dała asumpt do jego nakręcenia? Nie można wcale wykluczyć, że wydarzyło się akurat na odwrót.

Książkę naturalnie kupiłem, lecz później upłynęło jeszcze wiele lat, zanim ostatecznie (w istocie całkiem niedawno) zabrałem się na serio do jej czytania. Mam to już wreszcie za sobą i odkryłem, iż nie jest to powieść, którą można potraktować lekko. Przeciwnie, powinno się ją czytać powoli i dokładnie, bardzo starannie smakując, gdyż inaczej umknie nam wiele z jej głębi i lektura nie przyniesie takiej satysfakcji, jaką mogłaby przynieść. Książka jest dokładnie taka, jak napisano o niej niedługo w gazecie „*Daily Express*”, jest mianowicie „*historią prawdziwą zniewalającej urody*”. Trawestując powiedzenie Eda Murrowa o Winstonie Churchill, Han Suyin „*zmobilizowała język angielski i wysłała go na bitwę*”.

Chociaż „*Daily Express*” przedstawił powieść Han Suyin jako historię prawdziwą, ja początkowo z jakichś dziwnych względów miałem odczucie, że jest tylko fikcją. Jednak pod wpływem zbiegu różnych okoliczności w ubiegłym roku odkryłem wreszcie ponad wszelką wątpliwość, że historia przedstawiona w książce jest ze wszelkich miar prawdziwa (a odkryłbym tę prostą prawdę znacznie wcześniej, gdybym w porę przeczytał inną książkę Han Suyin, mianowicie „*My House Has Two Doors*”,



Peter Halliday

co, niestety, uczyniłem całkiem niedawno). A więc „*A Many Splendored Thing*” jest prawdziwą historią romansu samej Han Suyin z Ianem Morrisonem, korespondentem dziennika „*The Times*” of London. Spotkali się w Hong Kongu w czerwcu 1949 roku, a już wkrótce, bo 12 sierpnia 1950 roku, wydarzyła się wielka tragedia, Ian zginął bowiem podczas wojny koreańskiej, jadąc jako frontowy reporter jeepem rozzerwanym na przeciwpiechotnej minie.

Wzmiankowane odkrycie w swoisty sposób mnie urzekło, postanowiłem więc napisać o nim artykuł dla „*The Journal of the Hong Kong Branch of the Royal Asiatic Society*”, rocznika ukazującego się w Hong Kongu, którego mam przyjemność być honorowym redaktorem. Artykuł ten ukazał się w ubiegłym roku<sup>1</sup>.

Zbierając materiały do artykułu rozejrzałem się w pierw po Internecie i tam znalazłem założoną na serwerze Uniwersytetu Minnesoty stronę poświęconą Han Suyin, którą opracowała i którą nadal administruje profesor Teresa Kowalska z Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Nie mając nadziei na uzyskanie jakiegokolwiek odpowiedzi, wysłałem do Teresy e-maile, a jej reakcja okazała się błyskawiczna. Tak rozpoczęła się nasza wymiana korespondencji, która trwa nadal. Na początku nasze maile dotyczyły wyłącznie Han Suyin, lecz z czasem zaczęły ogarniać przeróżne tematy, praktycznie wszystko, o czym tylko człowiek może pomyśleć. Odkryłem, że Teresa jest nie tylko zasłużonym pracownikiem nauki, lecz także osobą inspirowaną innych do działania i to odkrycie znacznie wzbogaciło moje życie.

Teresa od wielu już lat jest wielką admiratorką twórczości Han Suyin, z którą spotkała się dotychczas trzykrotnie<sup>2</sup>. Poświęciła jej też sporo artykułów, a na początku tego roku napisała mi o swoim *opus magnum*, mianowicie o przekładzie na język polski książki Han Suyin zatytułowanej „*The Crippled Tree*”. Niestety, znalezienie dla tego dzieła wydawcy w Polsce okazało się praktycznie niemożliwe, ponieważ na przeszkodzie realizacji tego przedsięwzięcia stanął koszt druku.

Na tym etapie ja też zdążyłem już wzbudzić w sobie głęboki podziw dla Han Suyin oraz dla kampanii przeciwko rasizmowi i nienawiści rasowej, jaką toczyła poprzez całą swoją twórczość. Ni gdy wcześniej żadna z jej książek nie została jeszcze opublikowana po polsku i dlatego niemal koniecznością wydało się odmienić ten stan rzeczy, wprowadzając polskiego czytelnika w świat tej potężnej i wielce przenikliwej prozy. Teraz zaczęliśmy więc zdawać sprawę ze współpracy, jaka wywiązała się między polską profesorką chemii a komisarzem policji z Hong Kongu (*nota bene* zawiadującym wydziałem technologii informacji), ostatecznie owocując publikacją „*Kalekiego drzewa!*”

Na wstępie pogadałem z własnym wydawcą w Hong Kongu, a ten zgodził się na bardzo skromną zapłatę, lecz mimo to nie byliśmy obaj pewni, czy rzeczywiście potrafimy wydać książkę po polsku, w języku, którego żaden z nas nie znał. Jednak zaryzykowałem i poprosiłem Teresę o przesłanie mi drogą elektroniczną pliku zawierającego tłumaczenie. Następnie przekazałem ten plik mojemu wydawcy i poprosiłem go o sporządzenie pierwszej korekty. Dziś nie pamiętam już szczegółów, lecz wydaje mi się, że wypadła ona całkiem nie po polsku, zaś Teresa – co zrozumiałe – popadła w rozpacz, widząc, czym stał się jej epicki przekład. Jednak ani mój wydawca Henry, ani ja nie skapitulowaliśmy i w końcu udało nam się zaimponować Teresie rezultatem naszego drugiego podejścia. Tym razem dokładnie odtworzyliśmy oryginał, uwzględniając przy tym polskie znaki diakrytyczne.

Teraz nastąpił etap produkcji tomu. Najpierw Teresa wykonała korektę na wydruku, jaki jej przesłaliśmy, a następnie zwróciła ją do Hong Kongu, i to dosłownie na jeden dzień przed Wigilią 2001. Czuliśmy się mile zaskoczony faktem, iż *Microsoft Word* posiada wszystkie znaki diakrytyczne języka polskiego i na moim biurowym komputerze zacząłem nanosić poprawki na elektroniczną wersję powieści.

Wyobraźnię czytelników pozostawiam obraz oficera policji z Hong Kongu, siedzącego w swoim gabinecie i wprowadzającego korektę do pięćsetstronicowej książki, całej napisanej po polsku. Wyszukiwanie tych miejsc w książce, które wymagały korekty było, szczerze mówiąc, benedyktyńską robotą, ale w końcu odezwała się duma, że przecież jednak się udało. Pocztą elektroniczną przesłałem ostateczną wersję Teresie, którą wiele zaskoczyła moja świeżo odkryta znajomość polskiego!

To tyle, jeśli idzie o sam tekst. Nasza kolejna dyskusja wirtualna dotyczyła obwolucy dla książki. Bardzo mi zależało na tej obwolucy, gdyż mogła przydać tomikowi kolorytu. „*Kalekie drzewo*” to książka autobiograficzna, ukazująca dzieciństwo Han Suyin, spędzone w Chinach. Stąd wpadliśmy na pomysł, że na obwolucie powinno znaleźć się drzewo albo las, czy jeszcze coś innego w podobnym stylu. Ale to już był autorski pomysł Teresy, że potrzebną nam ilustrację powinno narysować jakieś dziecko.

I tak się koniec końców stało. Pewnego wieczora posadziłem mojego siedmioletniego synka Aleksandra nad arkuszem papieru, dałem mu do ręki kredki i poprosiłem, aby przysłużył się historii literatury (!) rysując drzewko. Naturalnie, nie obyło się bez kilku powtórzeń, aż wreszcie obaj poczuliśmy, że mamy to, czego od samego początku chcieliśmy. Teraz Aleksander odczuwa zasłużoną dumę z faktu, że jego małe dziełko ozdabia półki polskich księgarń i instytucji. Na dodatek jego nazwisko widnieje w książce jako nazwisko autora projektu okładki.

Na końcu trzeba było jeszcze napisać kilka zdań o Han Suyin i o samej książce, po czym cała rzecz została skierowana do druku. Nastąpił czas obgryzania paznokci, gdyż doskonale wiem z doświadczenia, że na etapie druku nawet najbardziej nieskazitelny tekst może czasem ulec niechcianej deformacji. Jednak drukarz Henry dołożył starań i wyprodukował „*zadanie 1*”, które ja natychmiast przesłałem Teresie. Przez kilka dni panowała cisza, aż wreszcie nadeszła poczta elektroniczna od Teresy z wiadomością, że książka prezentuje się wspaniale. Tego samego dnia wspólnie świętowaliśmy w Katowicach i w Hong Kongu. Natychmiast też wyprodukowaliśmy dalszych 999 egzemplarzy, które drogą morską zostały wysłane do Teresy<sup>3</sup>, a teraz są już w Polsce szeroko rozprowadzane.

Przyznaję, że moja dotychczasowa egzystencja była na wielu odcinkach ogromnie spełniona, lecz chyba nie muszę nikogo zapewniać, że nigdy wcześniej na liście moich życiowych priorytetów nie figurowało publikowanie książki razem z panią profesorką chemii z Polski. Oto, jaki dziwny jest ten świat. ■

Z angielskiego przełożyła Teresa Kowalska

<sup>1</sup> Tom 40.

<sup>2</sup> Suyin razem ze swym mężem Vincentem zamieszkała na starość w Lozannie (Szwajcaria).

<sup>3</sup> Jako *post scriptum* można jeszcze dodać, że Teresa Kowalska i autor niniejszego szkicu spotkali się w końcu 14 listopada 2002 roku w Katowicach.



Alexander Halliday



Eugeniusz Kupper

## Epidaurus festival

Jak zwykle co roku Teatr Miejski im. Witolda Gombrowicza w Gdyni organizuje w marcu swoje „imieniny”.

Podobnie było i w tym roku, kiedy to wszyscy miłośnicy teatru spotykali się przy tablicy poświęconej Witoldowi Gombrowiczowi na Nabrzeżu Francuskim, aby potem odbyć krótki „Rejs do Argentyny”. Z tego właśnie miejsca w sierpniu 1939 roku wypływał do Argentyny na transatlantyku „Chrobry” Witold Gombrowicz.

Oto, co pisał o tym sam Witold Gombrowicz w wydanej ostatnio przez Wydawnictwo Literackie książce „Autobiografia pośmiertna”: „Jak mi się wydała ta Argentyna? Czystry przypadek (przypadek?). Spotykam się w kawiarni »Zodiak« w Warszawie z pisarzem w moim wieku, Czesławem Straszewiczem. Mówi: – Jadę do Ameryki Południowej. – Jak to? – Za miesiąc wypływa do Buenos Aires nowy transatlantyk polski, »Chrobry«, to jego pierwsza podróż. Zaproszono mnie, jako literata, żebym coś o tym napisał do gazet. – Co pan mówi, to może i mnie by zaprosili? – Niech pan spróbuje, proponuję im, może się uda. We dwóch będzie przyjemniej. Udało się. Zdarza mi się czasem czytać w prasie, że „uciekłem” przed wojną do Argentyny. Nic podobnego. Tak beztrudno przygotowywałem się do tej podróży, iż tylko przypadkowi (przypadkowi?) zawiadzczam, że nie zostałem w Polsce. Dobiliśmy do Buenos Aires 22 (dwójka to moja cyfra) sierpnia 1939 (suma cyfr 22), po trzytygodniowej, lekkomyślnej podróży”.

Dyrektor Teatru Miejskiego w Gdyni, noszącego imię tego wielkiego Polaka, p. Julia Wernio, zawsze dbała o prawdziwe, albo chociaż zbliżone do prawdziwych emocje – dlatego ten rejs... Widziałem, jak wspaniała Rita Gombrowicz żywo konwersuje z prezydentem Gdyni, p. Wojciechem Szczurkiem. Zresztą ten rejs stanowił szczególną okazję do zawierania znajomości na różnych szczeblach i poziomach.

Jak na pierwszy „dzień imieninowy” przystało, już po rejsie ma miejsce artystyczna niespodzianka przed teatrem – „Peryhelium, czyli kolejna metamorfoza Teatru im. Witolda Gombrowicza” według projektu Robwerta Sochackiego i wieniący tę część happening „Krzęsta”, także Roberta Sochackiego.

W tym dniu najważniejszym (10 III 2002) nastąpił premierowy pokaz sztuki Williama Szekspira „Romeo i Julia”, którą wyreżyserowała Julia Wernio, scenograficznie zrealizowała Elżbieta Wernio, muzykę przygotował Mikołaj Trzaska, a choreografię Krzysztof Leon Dziemaszkiewicz.

To „Romeo i Julia” zarażeni tańcem, utopieni wręcz w karnawale weneckim, odbierający nam złudzenia, którymi się dotychczas karmiliśmy przy podobnych realizacjach. Tutaj miłość jest obecna wszędzie. Jak o niej myśleć i żyć nią w świecie ogarniętym przez chęć posiadania za wszelką cenę? Co w takiej sytuacji potrafi nasza miłość? Może jej krucho struktura to tylko chwila wesela. Tak naprawdę w tym świecie niemożliwa jest miłość tych dwojga, ale w każdej rzeczywistości znajdzie się choćby mały skrawek optymizmu. Tak jest w spektaklu Julii

Wernio, bo w nim prawie do końca ta miłość jest obecna. Jakże trudno stworzyć przesłanki dla takiej miłości, udało się to całemu zespołowi, a głównie wykonawcom tytułowych ról (Julia – Karolina Adamczyk, Romeo – Andrzej Pieńko).

„Torty Imieninowe” w Teatrze Miejskim im. Gombrowicza należą zawsze do najświetniejszych. Tak było i tym razem...

Całość imprezy późno w nocy ukoronował koncertem „Snu potrójna przesłona” zespół w składzie: Mikołaj Trzaska, Piotr Pawlak, Olo Walicki.

Następnego dnia, jakby na podsumowanie, odbyła się „Herbatka u Gombrowicza”, podczas której wykład „Czy Szekspir był autorem swoich dramatów?” wygłosił dr Mirosław Kocur z Uniwersytetu Wrocławskiego. O „Gombrowiczu w świecie” mówiła żona pisarza, Rita Gombrowicz, z którą rozmowę prowadziła Joanna Chojka z Uniwersytetu Gdańskiego.

Zamknięciem „imienin” była kolejna odsłona „Romeo i Julii” Szekspira. Fenomenem Teatru Miejskiego im. Witolda Gombrowicza w Gdyni jest jego Scena Letnia usytuowana na plaży w Orłowie. Ten, kto kiedykolwiek tam zawędrował, będzie zapewne zawsze chciał tam wracać. Uroki grania w bezpośredniej bliskości morskich fal to specjalna aura odbioru sztuki słowa, jak i siła przekazu tego słowa poprzez rytmicznie falującą wodę, która jest wtedy nie tylko muzyką, ale także dodatkowym aktorem.

Na tegoroczny sezon lipcowo-sierpniowy wybrano specjalny repertuar, złożony ze sztuk, które na plaży miały wcześniej swoje premiery.

„Anioł zstąpił do Babilonu” F. Dürrenmatta to spektakl, który reżyser Julia Wernio znakomicie wtopiła w aurę morską. Idąca w ślad za nią Elżbieta Wernio wspaniale połączyła wodę z przestrzenią, a do tego „dołączyli” Mikołaj Trzaska (muzyka) i Leszek Bzdyl (ruch sceniczny). Wiele pytań stawia nam i wybór tego tekstu, i jego realizacja. Można śmiało powiedzieć, że jest to spektakl o ludzkiej wolności, grzechu, pysze, pragnieniu prawdy i całym otoczeniu ludzkiego porządku społeczno-politycznego.

To jedna z ważniejszych realizacji tej sceny i brawa należą się całemu zespołowi\*.

„Mewa” Antoniego Czechowa to premiera, którą szczególnie przeżyłem w tym teatrze natury i prawdy (reżyseria Julia Wernio, scenografia Elżbieta Wernio). Ktoś natychmiast by zapytał, jak to możliwe, że „Mewa” Czechowa obroniła się w tej specyficznej, plażowej atmosferze. Przecież nie o to chodziło ani realizatorom, ani mistrzowi, bo jest to sztuka o tęsknotach ludzkich, marzeniach o sławie i niespełnionej miłości, sztuka o nas samych, błędzących w zakamarkach ludzkich emocji i tajemniczych marzeń; o pomyłkach, o błędzeniu, czyli o wszystkim, co dotyczy bogatego we wrażliwość człowieka, ale także tego, kto chce tę wrażliwość zniszczyć.

Orłowską premierę nazwałbym jedną z najlepszych w sezonie 2001. Niech jak najdłużej gości ta „Mewa” na piasku orłowskiej plaży zamienionej w scenę Teatru Miejskiego im. Witolda Gombrowicza w Gdyni\*\*.

W roku 2002 orłowską scenę otworzyła premiera „Niespodziewanego końca lata” na podstawie Kabaretu Starszych Panów Jeremiego Przybory i Jerzego Wasowskiego. Ten rozśpiewany spektakl wyreżyserował Waldemar Śmigasiewicz, nastrojową scenografię zrealizował Maciej Preyer, a opracował muzycznie Piotr Salaber.

Zacytujmy samego reżysera, który takimi słowami opowiada o tej znakomitej premierze: „Piosenka liryczna i żartobliwa – delikatna i ulotna materia wpleciona w przyrodę i żywioł morza. Bez użycia min i grymasów opowiadamy o niespodziewanym końcu lata, »Tanich draniach«, »Kuszelasie« i jego znajomych, o paradoksie miłości, o »Wdówce«, »Jesiennej Dziewczynce«, »Niedużym i Sporym«, »Ślusarzu i Trucielu« i – w końcu – o »Strasznych Panach«.”

KSIĘGARNIE LITERACKIE  
na których można polegać

Nie handlują książkami, tylko je sprzedają i upowszechniają. Współpracują z autorami i wydawcami (spotkania autorskie, promocje). W tych księgarniach książki czekają na Czytelników aż do skutku.

- ☐ Księgarnia „Bidgostia”, 85-009 Bydgoszcz, ul. Dworcowa 51B/4, tel. (052) 321 33 71
- ☐ Księgarnia „Silva Rerum”, 80-831 Gdańsk, ul. Piwna 60
- ☐ Księgarnia „Kultura”, 44-100 Gliwice, ul. Zwycięstwa 17
- ☐ Księgarnia „Nowela”, 60-842 Poznań, ul. Dąbrowskiego 35/37
- ☐ Księgarnia „Arsenal”, 61-772 Poznań, Stary Rynek 3, tel. (061) 27 08 09; Hurtownia „Arsenal”, Poznań, ul. Dombrowskiego 7, tel. (061) 848 04 25
- ☐ Księgarnia „Kapitałka”, 61-874 Poznań, Aleja Niepodległości 4, tel. (061) 856 01 40; ul. Mielżyńskiego 27/29, tel. (061) 851 93 20
- ☐ Księgarnia „Wena”, 01-562 Warszawa-Żoliborz, ul. Mickiewicza 27, tel. (022) 839 40 02
- ☐ Księgarnia „Arkona”, 02-785 Warszawa, ul. Wiolinowa 14, tel. (022) 641 29 43
- ☐ Księgarnia „Edukacja”, 80-244 Gdańsk-Wrzeszcz, ul. Grunwaldzka 128, tel. (058) 341 51 19
- ☐ Księgarnia „Elephas”, 2007 Wilno (Wilnius), Olandu gatve; tel. (003702) 25 30 55.

Pisarzy i czytelników prosimy o uzupełnienie tej listy

Oby więcej tak szalonych pomysłów! Może i „Teatr Wittkacy”, z którego przysłała Julia Wernio, zagra gdzieś w górskim plenerze w czasie ulewy?

Należałoby tutaj wyliczyć członków całego zespołu, ale z braku miejsca wymienię Pana A w wykonaniu Sławomira Lewandowskiego, Pana B, w którego znakomicie się przestacza Eugeniusz Kujawski i nieodłącznego Portiera odegranego przez Stefana Iżyłowskiego. Dodatkową atrakcją tej plażowej sceny i spektaklu jest grający na żywo zespół muzyczny pod kierunkiem Piotra Salabera.

\* „Anioł zstąpił do Babilonu” F. Dürrenmatta uznano za najlepsze przedstawienie roku 2000 (Nagroda Teatralna Marszałka Województwa Pomorskiego za najlepszy spektakl, reżyserię i muzykę teatralną).

\*\* Do wyróżniających się aktorów można zaliczyć Urszulę Kowalską w roli Ireny Arkadiny-Aktorki, Beatę Buczek-Żarnećką w roli Maszy, a także Adama Fereny (gościnnie) w roli Borysa Trigorina – beletrysty.

P.S.: Byłoby jakby „okaleczeniem” programu lata Teatru Miejskiego nie ujawnienie tego, co jeszcze działo się na plaży. Przeniósł się tam działający przy teatrze Dyskusyjny Klub Filmowy „Żyrafa”, który w czasie nocnym prezentuje najbardziej wartościowe tytuły filmowe, jak choćby „Amelia” czy „Mulholland drive”. To szczególnie DKF i specjalne kino.

Natomiast Galeria na piasku zaprezentowała instalację Roberta Sochackiego „Dotknięci” i „Oczyszczeni”.

Jak każdy teatr, tak i Teatr Miejski im. Witolda Gombrowicza w Gdyni ma swoich wiernych sponsorów, wymienię tylko przykładowo – Ergo Hestia, Polskie Linie Lotnicze LOT, Ziaja, Drukarnia Druk.®



CENTRUM HANDLOWE  
**DOM i styl**

85-796 Bydgoszcz  
ul. Fordońska 333, tel. 343 22 11  
www.domistyl.com.pl  
e-mail: biuro@domistyl.com.pl

PN.-PT. 10.00-20.00  
SO.-N. 10.00-14.00

Lubie ładne rzeczy

Przedsiębiorstwo Produkcyjno-Usługowo-Handlowe



„ANKAMA”

armatura:

zawory, zasowy, kurki, rury k/o, łuki,  
kołnierze, kolana, zawory bezpieczeństwa

85-738 Bydgoszcz, ul. Karola Szajnoch 19  
tel./fax (052) 345-28-10, tel. (052) 342-06-92  
tel. kom. 0601 808 993, tel. dom. (052) 342-06-15

Pełen asortyment armatury



Beata A. Pokorska

## Podróż z pasożytem

– Niedobrze mi się robi, jak słucham tego, co mówisz! Zaczniij żyć na własny rachunek! Liczysz ciągle na innych!

– Ależ ja żyję na własny rachunek...

– Bzdura! Ssiesz wokół... jesteś jak pirania, co...!

– dłoń uderza w kolano, potem skręca się w wymowny gest wyciskania cytryny. – Twój rodzice, moi, wszyscy na każde twoje zawołanie! Jak ci nie wstyd! Mała...! – mimika zdradza treść zduszonego prze-kleństwa.

Ostrza niedokończonych zdań szarpia jak tępy wyszczerbiony nóż. Wielki, agresywny krzyk, od którego kurczy się, staje się małą karconą złodziejką. Podstępny, pnąc się po cudzych korytarzach samczym robakiem.

Miejsce obok kierowcy nagle stało się pobojo-wiskiem. Terenem nie podjętej, a już przegranej wojny. Wojny radości z honorową obowiązkowo-ścią, której podobno nie umiała podjąć. Zmuszona, choćby kątem oka, widzieć zarys twarzy o nieprzy-jemnym, aroganckim podbródku, szczerzo wnikli-wych zrenicach i słuchać krzykliwego dyszkanu, staje się rozpływającym naczyńcem. Znika kształt, który dotychczas służył jej osobowości, a wszystko to, co o sobie myślała, nagle mutuje w potworną hybrydę zakłamania i małości. Dokąd ulatują z niej klarowność celów i czystość intencji, którym zwykle ufala? I dlaczego staje się to zawsze tak nagle, ciągle jakby z zaskoczenia, odbierając czas na obronę? Atak z za węgla? Słabość woli, która nie potrafi powie-dzieć mu: znikaj!

Gdyby mogła chociaż siedzieć z tyłu! Zdo-byc się na nieuprzejmość (lub uprzejmość wzglę-dem siebie) i zasnąć na tylnych siedzeniach, jak to bywało poprzednio. Poprosił ją jednak, by usiadła z przodu. Co kierowało go w jej stronę, skoro tak go drażniła? I dlaczego atak był tak frontalny, całkowity i wszechogarniający?

Siedzi obok kierowcy. Właściwie zamiast niej widnieje tam wyprostowana sztywna sylwetka z ma-ską zamiast twarzy. Nieruchome usta, bezwładne bryły rąk. Kamienna figura urazy skrywająca dzie-cięce zdziwienie i pierwotny ból. Wargi coraz bar-dziej ciężkie, niezdolne nawet do kontrolnego gry-masu, do odruchowej obrony. Trzepoczące serce, zimno w podbrzuszu i narastająca ciężka furia.

– Aż tak mnie nienawidzisz? Zazdrość czy kompleksy?

– Żadna zazdrość! To sprawa honoru, dorosły człowiek powinien sam sobie radzić i...

– I niczego od nikogo nie brać – wchodzi mu bezceremonialnie w słowo. – Nie brać i nie dawać. Zupełnie jak Ty.

– Moje życie to moja sprawa! Wara ode mnie! Zrezygnowana milczy. Co można przekazać komuś negocjującemu także prawa logiki? Wzrok kie-ruje coraz bardziej w prawo. Ponad jej siły jest patrzeć prosto, teraz już na pewno nie! Musi, z całej siły musi, i ma to związek z napływającymi mdłościami, znaleźć się daleko od trasy jego spojrzeń. Milczący bunt i obrzydzenie. Głównie obrzydzenie.

Kąt patrzenia bokiem w stronę okna zwięk-sza się. Świat zawęży się do migającego obrazu wypełniającego po chwili jej oczy. Powoli nowy obraz konstituuje się w jej umyśle.

...Błękit chmur, czyste niebo, błyski posre-brzanych igieł. Niespodziewane, wzrastające oca-zarowanie. Znane i nieznane piękno zimowych pej-zaży. Czarowny chłód. Odwieczne zachwycenie. Burzliwa rzeka, płynąca w niej od stóp do serca, dławiąca w gardle, przenikająca do mózgu. Pory-wające istnienie.

Lekki, formalny opór woli. Przecież zranio-na, zbołała, ugodzona w sam środek jaźni, niezdol-na do zapomnienia, nie potrafi oderwać się od ra-zów, które otrzymała. Opór szybko poległy pod

naporem wrażeń. Walka radości z rozpaczą. I przy-zwolenie.

Wreszcie wypełnia ją cała. Spokój, ożywcze zimno, pewne i majestatyczne. To ona, z władzą nad każdą częścią swego ciała, ręce, nogi, usta po-słuszne. Oczy napełnione błękitem mogą zataczać dowolne kręgi, a każdy przekazany obraz stanowi zrozumiałą całość.

Ze zdziwieniem dostrzega jego postać. Już może na niego patrzeć. Pojmuje w zdziwieniu: stał się nieważny. Z lekkim żałowaniem wspomina swój ból i bezradność. Cóż ją może obchodzić jego brzydota, głupota i podłość? Minał nawet wstręt do jego głosu. To tak się staje głuchym?

Zamyka oczy i pograża się w upajającej sobie. Milczy.

Spogląda na nią kątem oka. Widzi przymknięte oczy i dłonie w kieszeniach. Ciekawe, czy zaciśnięte w pięść. Dobrze, że nie histeryzuje, chociaż po tej małej przybłędzie prędzej można się spodziewać awantur niż szlochów. Obrażona? O prawdę? Znowu wszystko będzie na niego. Trzeba rzecz ułagodzić.

– Obrażona?

Dziwnie dalekie, nieprzytomne spojrzenie. O czym to myśli? Znowu w obłokach!

– Zejźdź do żywych. Tu, tu! – szarpie ją rękaw. Wzruszenie ramion, brak odpowiedzi. Albo mnie lekceważy, albo ma pretensje albo mnie ignoruje. Kiedy się ucywilizuje!? Wzrasta w nim gniew, ręce zaciskają się na kierownicy. Znowu mnie zdener-wowała! Znowu! Spokojnie, spokojnie, przecież kie-ruję samochodem.

– Odłóżmy tę rozmowę na potem. Muszę się skupić na prowadzeniu, nie widzisz? – rzuca jej z pretensją.

– Ja nic nie mówię...

– Nic, nic, a potem pyk w drzewo i ja będę winny!

Ona na powrót zamyka oczy, rozpręża wi-docznie ciało i... Znowu śpi, za nic ma jego osobę! Ach, ta...! – próbował artykułować bezgłośnie.

– Mówiłeś coś?

– Do siebie, nie podsłuchuj cudzych rozmów!

Jej pogardliwe spojrzenie. Kim tak gardzi? Patrzcie, znowu zamknięte oczy i pozory bezruchu. Wyprana z emocji i uczuć! Bezwzględna, zimna żmija! Boże, co mój brat w niej widzi! Ani ładna, ani uprzejma, maniery z przedmieścia, za to ambicje na wyrost! Czuję się bardzo nieszczęśliwy.

Milczenie. Ciekawe, jak długo tak potrafi. To nie-typowe u bab. On jednak weźmie się w garść i pokaże jej, że i jemu nie zależy na durnej rozmowie. Więcej, zachowa się jakby nic nie zaszło. Pokaże jej, co znaczy wspaniałomyślność.

Włącza radio. Do końca drogi milczenie.

To był sposób pewny i bezbolesny. Skazała go na niebyt i poczuła się wolna. Od upadającej krytyki, słusznych i niesłusznych zarzutów, cham-stwa i obraźliwych rad.

Nie cierpiała. Frunęła w stronę własnych przeżyć, upajała się nimi i pozwalała im rozwijać się w ich nieprzewidywalnej dramaturgii. Nad wszystko lżejsze, izolowała ją od żądań nieosiągal-nych i abstrakcyjnych wymagań, niewypowiedzia-nych i wykrzyżanych pretensji, wyzwalała od cy-klu konfrontacji, winy, przyjmowanych i przekazy-wanych przeprosin. Eliminacja nastąpiła na jego wy-raźne życzenie. Ta myśl rozbawiła ją, zachichotała cichutko, a świat jeszcze bardziej stał się błyszczący.

Rzeczywiście zaczęła życie na własny rachu-nek.

On czuł się wykorzystany. Nie bardziej i nie mniej niż zwykle. Tylko rozdrażnienie wzrastało

z roku na rok. Kiedy to pierwszy raz objaśniła mu się pełnie i wyraźnie? Oczywiście, niechęć, jak zawsze. Stwierdziła bez żenady, że Piotr (jego brat) pójdzie na studia, bo jest za młody (tak!), by pracować. Powinien uczyć się i bawić. Oczywiście razem z nią! Dopięła swego. Młody dureń rzucił dobrze zapowiadającą się pracę i zaczęli włóczyć się po aka-demikach, balować, jeździć po świecie w podejrzanym towarzystwie. Potem pobrali się, bo nie mogli bez siebie żyć! Tak powiedzieli! A reszta się nie liczy! Coraz bardziej beztroscy. Oczywiście, zjeżdżali na obiady i bez skrupułów brali od rodziców wszystko, co się tylko dało wziąć. Ona chytra sztuka, a on bez kręgosłupa. Razem bez zasad. Bez honoru i litości.

Musiał to znosić. Słuchać dumnych opowiadań. Jak to im dobrze się bawić (on w tym czasie ciężko pracował), i jak to im w przyszłości ułoży się, bo musi! Nie mieli gdzie mieszkać – państwo musi im dać mieszkanie, bo będą nauczycielami (on w tym czasie zarabiał na kawalerkę). Musi, i już! Wszyscy musza, tylko nie oni!

Nienawidził jej, dla brata miał uczucie litości wymieszane z niedowierzaniem.

Postanowił nie poddać się i bronić swych pozycji. Wychować ich, a przynajmniej nie pozwolić na marnowanie życia rodzicom i mu. Ma jasno spre-cyzowane poglądy i nikomu nie pozwoli się z nich zepchnąć. Postara się zrobić z niego prawdziwego mężczyznę, odpowiedzialnego i trzeźwo patrzącego na świat. W tym na nią. Dlatego też sprawował nad nimi dyskretną kontrolę.

Dojeżdżają. Wykonał część pracy, za którą płaciła mu marnie. Wyświadczał jej przysługę, bo żał mu było złe prowadzonego interesu. Nienawidził partactwa, a oni nie mieli pojęcia o biznesie. Dawali się oszukiwać i jak dzieci cieszyli się z tego co osiągnęli. – Wspaniale nam idzie – mówili.

– Marnujecie siły, czas i pieniądze. Do niczego nie dojdziecie – uczył ich. Nie słuchali. Jak zwykłe bawili się pracą.

Pakował towar. Nosił za nią kartony. Starał się być zorganizowany. Gdyby nie on, siedziałaby tu wiekami.

– Pospiesz się, czas, czas!

– Muszę się zastanowić, daj mi wybrać – ona zwleka, jak może.

Widzi jej zadowolenie, gdy bierze towar do ręki. Ogląda, wącha. Co za dziecinne zachowanie! Pewnie wybierze dla siebie, a nie dla klienta! I jak grucha z obsługą! Banały wyskakują z jej ust równie łatwo, jak żądania. Przysłuchuje się:

– Co za cacka! U was zawsze znajdę coś pięknego. Biorę większą ilość. Owszem, owszem, dla siebie też – widzi, jak z porozumiewawczym uśmiechem mruga do przystojniaczka z obsługi, a ten gapi się na nią, jakby było na kogo! Pewnie, interes idzie źle, bo jak ma iść, kiedy połowę towaru defrauduje się! Litości!

– Spiesz się, jeśli łaska!

– *Festina lente!* – śmieje się do rozpuku, a ten głupek razem z nią. Gdzie ona wynajduje takie egzemplarze! Swój do swego!

– Rozchmur się, słońce świeci – łaskocze go po zębach. Prostaczka! Głupek z obsługi drecze za nią potulnie skamłając: – Dla pani wszystko, już pakuję towar w ładną paczuszkę – za co dostaje promienny uśmiech małej dziewczynki.

Nerwy mu puszczaają, nie będzie tak, jak ona chce! Zobaczmy, kto się dobrze zabawi.

– Patrz, pamiętasz?! – puka zdecydowanie pal-cem w jej obrączkę: – Taki jest twój gust? – ruch głowy w kierunku głupka, potem markowany gest wycierania nosa i smarkania na głowę. Widzi, jak mieni się na twarzy i jak ten głupawy uśmiechek rozpuszcza się w nowym, już nie tak zadowolonym, grymasie. Oho, puściła, zaraz wyfrunie z sie-bie – z zadowoleniem patrzy jej w twarz, która na przemian błędnie i czerwienieje. Uderzy mnie, czy tylko wrzaśnie – z kliniczną ciekawością obserwuje jej ręce i usta. Jak się zachowa przy obcym?

Dokończenie na str. 18



Dokończenie ze str. 17

Ona nachyla się ku niemu i nieoczekiwanie spokojnie szepcze mu do ucha:

– Nie jest całkiem w moim typie. Piotr jest lepszy w łóżku, sprawdziłam. – Brakuje mu słów i ta chwila wahania wytrąca mu oręż z ręki. Ona jest już po drugiej stronie hali.

Mój Boże, co ja mówię! Czy dosięgam dna przebywając z nim? Muszę się jednak bronić. A to najlepsza metoda. Niech się głowi, czy to prawda, czy kpina. Przypomina sobie: niebo, krajobraz, świat bez niego. Już lepiej. Nie uniosłam się, jestem w stanie żartować, umiem nawet przemówić jej językiem. Mam przewagę.

Jeden zero dla niej. Pogramy dalej w tę grę, on decyduje się na przygrywkę. Podchodzi do niej i podobnym gestem nachyla się ku niej:

– W której hurtowni są najlepsze ogiery?  
– Na oko wszyscy są lepsi od ciebie.  
– Po czy to poznajesz?  
– Głównie po inteligencji.  
– Ciekawe kryterium. Co na to mój brat?  
– Też twierdzi, że zna lepszych chłopców do łóżka.

– Niż ja? – rozmowa sięga granic absurdu.  
– Ciebie by nie tknął – udaje dreszcz obrzydzenia. – Niż on – głową wskazuje w kierunku pakującego książki chłopca, obdarzając go promiennym uśmiechem. – Ciekawość zaspokojona?

– Nie, niczego nowego się o tobie nie dowiedziałem – usiłuje ją zirytować, jednak na próżno. Ta mała, opanowana suka patrzy na niego nieuwważnie i odchodzi do następnego regału rzucając od niechcenia:

– Bo nie miałeś – po czym grzebie w stosach zakurzonego paskudztwa i już nie odzywa się.

Gra, czy rzeczywiście ma tak silne nerwy? Usiłuje podejrzeć wyraz jej twarzy, dostrzec spojrzenie, obserwuje ręce. I co widzi? Opanowanie lalki. Spokój bezwietrznego morza, słoneczne wybrzeże i łagodne wydmy spojrzenia. Co u licha?

– Natychmiast wynosimy się stąd – warczy do niej i agresywnym gestem wyrwa jej paczkę z rąk.  
– Zostaw to, pakuję dla twojej żony – cedząc słowa, wyjaśnia z paskudnym uśmiechem.

Jeszcze czego. Jego żona! W łapach tej wstrętnej małpy! Ile już klótni przetoczyło się przez jego dom, ilekroć wrócili od nich. I za co lubi swoją niewydarzoną szwagierkę! Bo że lubi, nie ulega wątpliwości, przynajmniej przed sobą niechętnie. Do żywego ranią go obrazy, kiedy to obie leżą na wygodnym łóżu, zawsze obłożone jej książkami, ciuchami lub kosmetykami. Roześmiane, czasami przytulone. A na pytanie, o czym rozmawiają, otrzymuje niezmienną odpowiedź: o tobie, oczywiście. Po czym słyszy upokarzający, głośny, skierowany przeciw niemu, śmiech. Przestał już pytać, przestał w ogóle wchodzić do nich, od kiedy usłyszał od własnej żony:  
– A ty tu czego? – Tłumaczenie, że to tylko żart, było wstępem do awantury, a potem kilkudniowego milczenia, które zresztą panowało między nimi po każdym powrocie od nich.

– Ukróćcie wasze konszachty, nie wychodzi to jej na zdrowie.

– Jej czy tobie? – coś ją podkuśliło, by w kpinach posuwać się dalej. – Boisz się, że będzie jej lepiej w łóżku z nami niż z tobą?

Obserwowała jego wściekłość. Bawiła się. Miała go za nic i kpiny z niego przychodziły jej lekko. Nie była jednak zadowolona. Nie mogła nie zadawać sobie pytania: dokąd ją to zaprowadzi? Znalazła się w krainie wulgarności, której nie cierpiała.

Do której próbował ją zawsze wciągnąć i granice której przekroczyła dobrowolnie. Tam właśnie zaprowadziła ją obojętność względem niego. Już nie oburzała się na jego zachowanie, oddawała mu pięknym za nadobne, i... rozmawiała z nim jego językiem. To nie o to chodziło.

Innej drogi jednak nie widziała.

On widział. Jego ręka była szybsza niż słowa. Uderzył na odlew, głowa odskoczyła do tyłu, po czym uderzyła w lusterko, kiedy właśnie poprawiała makijaż. Krew płynęła po pajęczynie szkła i tworzyła na podłodze jaskrawą kałużę.

Szumiało jej w głowie. Jak przez mgłę podziwiała z okna znany już kawałek nieba z jaskrawym słońcem, promienie ogrzewały ją, i trwała w otępiłym zdziwieniu i bezruchu. Szelest opakowań od bandaży, jakieś przekleństwa na przemian z przeprosinami, szybka jazda. Potem wzburzenie męża, płacz dziecka i jej dziwne zadowolenie. Przeczucie ostateczności i dojsca do kresu. Tym razem naprawdę doszła do mety.

Mediacje rodziny zdały się na nic. Rodzice, nie do końca świadomi tego, co się stało, mieli żal do obu stron. Nie było jednak czego wyjaśniać, przynajmniej ona nie widziała w tym żadnego sensu i zupełnie nie była ciekawa jego wersji wydarzeń. U rodziców bywali więc znacznie rzadziej. Tylko ich nastoletni synowie cierpieli i długo spotykali się po kryjomu. Chyba i to jednak ustało, pewności jednak nie ma.

Po długim czasie natknęli się na siebie przypadkiem. Bracia skinęli sobie głowami, one uśmiechnęły się do siebie (każda z nich ogarnął lekki żal) i przeszli dalej. Tylko chłopcy stali razem dalej, gadali jak najęci i pokazywali sobie jakieś plakietki. Wyglądali, jakby nie byli spotkaniem zdziwieni. ■

## Paweł Zawadzki

### Dzikie życie

Pod pretekstem biblijnego hasła: „Czyńcie sobie Ziemię poddaną” bez pardonu eksploatowano zasoby kopalni, wycinano lasy, trzebiono zwierzyinę. Kiedy zatrucie wód, powietrza i ziemi stało się widoczne nawet dla słabo widzących – nastąpiło przebudzenie. Jedną z ozdrowieńczych reakcji było nawet sformułowanie „XI przykazania”: „Ziemia należy do Boga i wszelkie jej bogactwa. Nie będziesz nadużywał darów Ziemi, ani też niszczył życia na niej istniejącego”.

We wrześniu 1986 roku w Asyżu, niejako pod patronatem św. Franciszka, odbył się kongres pięciu największych religii świata. Spotkali się na nim przedstawiciele buddyzmu, chrześcijaństwa, hinduizmu, islamu i judaizmu. W atmosferze harmonii i zrozumienia zadeklarowano, iż ochrona środowiska jest nie tylko problemem technicznym i społecznym – lecz nade wszystko problemem teologicznym o ogromnym znaczeniu.

Zaintersowanych problemem etyki ekologicznej odsyłam do książki Henryka Skolimowskiego: „Nadzieja matką mądrych. Eseje o ekologii”, Wyd. Warszawa 1989 – Łódź 1992.

Profesor Henryk Skolimowski ukończył studia techniczne, muzykologiczne i filozoficzne w Warszawie, następnie doktoryzował się z filozofii w Oxfordzie w 1965 r. Naucał na Uniwersytecie Południowej Kalifornii w Los Angeles w latach 1964-1971; na Uniwersytecie Michigan w Ann Arbor i gościnnie w wielu innych.

W kraju, z inicjatywy profesora powstała przy Politechnice Łódzkiej pierwsza na świecie katedra filozofii ekologicznej (rok ak. 1991/1992) a w Warszawie – Towarzystwo Przyjaciół Filozofii Ekologicznej. Hasłem Towarzystwa jest: „Ziemia jako sanktuarium”, co profesor Skolimowski tak formułuje w swojej książce pt. „Ocalić Ziemię”: „Aby zatrzeć

pokój z Ziemią, musimy zmienić dominującą dziś świadomość – zaborczą, pasożytniczą i materialistyczną – na świadomość rewerencyjną, opiekuńczą, współczującą i współuczestniczącą w misterium życia.”

#### ETYKA EKOLOGICZNA

Czy wobec ograniczoności zasobów surowcowo-energetycznych jest zgodne z etyką chrześcijańską podejmowanie produkcji przedmiotów zbędnych lub przedmiotów jednorazowego użytku, których nie można użyć powtórnie? Nieprzejazdnych środowisku, zatruwających je lub niszczących? Produkcja tych przedmiotów zużywa energię, zatruwa środowisko.

#### ETYKA KONSUMPCJI

W zgodzie z przyrodą żył zmarły niedawno ostatni pustelnik z Kalwarii Paclawskiej. Odżywał się korzonkami, wodą źródlaną, najprostrzymi potrawami. Do życia nie potrzebował samochodu, telewizora, mnóstwa innych przedmiotów, jakie mają ludzie cywilizowani.

Gdzie leży przysłowiowy złoty środek między tym pustelnikiem a pełnymi chciwości nowobogackimi, którzy muszą mieć tak wiele, nakręcając tym samym produkcję i konsumpcję? Z czego powinniśmy zrezygnować świadomie – jako gatunek obdarzony rozumem – w imię ocalenia środowiska, zdrowia i życia naszych dzieci i wnuków?

#### ETYKA WYDAWANIA PIENIĘDZY

„Nikt nie jest samotną wyspą” – stwierdził już dawno Hemingway. Czy rozumny obywatel planety Ziemi ma moralne prawo wydawać swoje własne pieniądze w sposób głupi, pobudzający zbędną konsumpcję, gdy inni głodują i można bez trudu wskazać setki ogólnospołecznie użytecznych celów? Czy ma moralne prawo kupować przedmioty luksusowe, jeśli ich ceną jest zniszczenie środowiska, życia, zasobów Ziemi? Jeśli w rodzinie zdarzy się utracisz – rychło rodzina pozbawi go dostępu do

pieniędzy. Czy fabryki, koncerty, kraje mają prawo niszczyć środowisko, jeśli przyniesie to fatalne skutki dla wszystkich mieszkańców Ziemi? Czy Ziemia należy do nas, czy może to my należymy do Ziemi? Wszak żegnajmy nas słowami: „Prochem byłeś, w proch się obrócisz”...

#### POSTSCRIPTUM:

Od 1994 roku w Bielsku-Białej ukazuje się ciekawy miesięcznik ekologiczny pt. „Dzikie Życie” (43-360 Bystra, ul. Jasna 17), dostępny w prenumeracie, który wydał ostanio bardzo ciekawą książkę pt. „O przyrodzie i człowieku. Rozmowy Dzikiego Życia”. W książce tej znajduje się niezwykle wywiad z katolicką zakonnicą dominikanką, siostrą Miriam Therese MacGillis, która wyklada też na wyższych uczelniach i w ośrodkach katolickich. Z innych rozmówców „Dzikiego Życia” warto wymienić Stanisława Lema, Stefana Chałubińskiego (wnuka Tytusa), Olę Tokarczuk, Simonę Kossak (z rodu słynnych Kossaków) i prof. Andrzeja Strumiłło. Książkę można nabyć za zaliczeniem pocztowym, pisząc na adres redakcji: „Dzikiego Życia”.

Drugim ciekawym pismem ekologicznym, wydawanym od lat, jest krakowski miesięcznik „Zielone Brygady”. Jego redaktor, Andrzej Żwa-wa, współpracował przez wiele lat z franciszkańskimi ruchami ekologicznymi w Krakowie, Lublinie i Wrocławiu. „Zielone Brygady” są dostępne także i w prenumeracie.

Oba pisma redagowane są przez wolontariuszy, nie płacąc autorom i są wydawane po cenie kosztów własnych (ZB – 5 zł, DŻ – 3,50 zł).

Książki prof. Henryka Skolimowskiego można kupić u „Prusa”. A przy okazji – kto jeszcze nie zdecydował się na wybór kierunku studiów, niech sięgnie po ciekawą książkę Edwarda Wilsona „Różnorodność życia”, wydaną aktualnie przez PIW w serii „Plus-Minus” – może zdecyduje się na studia przyrodnicze?... ■



**Lucja Gocek**

\*\*\*

[„Tak więc trwają wiara, nadzieja, miłość – te trzy;  
z nich zaś największa jest miłość” – 1 Kor. 13,13]

Noc. W ciemności każdy ognek  
świeci jaśniej. Tłuką się we mnie ćmy lęku  
i nie dają spać. Szturmują nie wygaszony krzyk  
wczorajszych gazet: Jerozolima, Nepal,  
Gaza, Czersk, Leszno, Gdańsk...!

W ogrodach zakwitają kwiaty na nowe  
cmentarze. W wielu pogodnych twarzach już zawiązki lez  
Nawet tutaj, na mojej ulicy  
pod zielonymi sukienkami drzew coraz wyraźniej  
rysują się krzyże.

Mimo wszystko trzeba będzie wstać do pracy,  
obudzić dzieci, wyprowadzić psa,  
a czarne światła jutrzejszych gazet  
przykryć, zakurzonym już nieco, abażurem miłości.

**Aldona Mika**

(..)

nie patrz

twoje spojrzenie  
zatrzymuje mnie  
i żąda  
rozłożenia na kawałki  
i pokłonu  
w kierunku

razem

**Furtka słońca**

Pod tym hasłem zamieszczać będziemy wiersze, które wnoszą dawkę nadziei, są dobrą nowiną. Co miesiąc kwalifikować będziemy utwory ocalające, po przeczytaniu których – jak zaznaczyła inicjatorka tego cyklu – **Magdalena Witek**, *chce się iść dalej, chce się żyć*. „Czasem wystarczy jedno słowo mające w sobie niezwykły potencjał życia, siłę. Mają to być wiersze – odpowiedzi na wiersze – pytania i prowokacje tych, którzy siedzą w „czarnych dziurach” i wołają o pomoc”.

Mamy świadomość, że wybór nasz może być subiektywny i dlatego też prosimy Czytelników o współudział w redagowaniu „Furtki słońca”.

Redakcja

**Grzegorz Korba****Do takich chwil**

rozciągam wzdłuż miasto  
nie topograficznym skrótem lecz jego rozwinięciem  
do takich chwil zmęczony powracam

odmawiam sobie snu  
piszę  
do takich chwil wracam

i napiszę:

że przejeżdżam obok  
domu obrośniętego winoroślą

że mijam porośnięte  
mchem schody

i napiszę jak najbardziej prosto

że autobus przywiózł mnie  
do wciąż ciepłego domu

**Roberto Juarroz****VIII, 9**

Tengo un pajarito negro  
para que vuele de noche.  
Y para que vuele de día  
tengo un pajarito vacío.

Pero he descubierto  
que ambos se han puesto de acuerdo  
para ocupar el mismo nido,  
la misma soledad.

Poro eso, a veces,  
suelo quitarles ese nido,  
para ver que hacen  
cuando les falta el retorno.

Y así he aprendido  
un increíble dibujo:  
un vuel sin condiciones  
en lo absolutamente abierto.  
(para Laura, todavía)

Mam czarnego ptaka,  
żeby latał w nocy,  
A do latania w dzień  
mam ptaka pustego.

Ale odkryłem,  
że oba się umówiły  
żeby zajmować to samo gniazdo,  
tę samą samotność.

Dlatego, od czasu do czasu,  
zabieram im to gniazdo,  
żeby sprawdzić, co robią  
gdy nie mają dokąd wracać.

I tak się nauczyłem  
rysunku nie do wiary:  
lotu bez ograniczeń  
w przestrzeni otwartej na przestrzał.  
(dla Laury, wciąż)

Z hiszpańskiego przełożyła Marta Cichocka





## Wojciech Banach

### List

„Piosenki pocieszenia”

Jak zwykle  
nie bardzo wiem od czego  
zacząć  
nazbierało się trochę spraw  
które nie dają zasnąć bez  
wspomagania

Najpierw Olga  
odeszła niepostrzeżenie  
tuż przed habilitacją  
jakby wstydziła się  
zostawić nas  
z całym bagażem słowiańskich  
marzeń  
o wielkości i heroizmie  
nieprzetłumaczalnych jeszcze  
na kilka nie zawsze obcych  
języków

Potem Zdzychowi  
na wiosnę skończyło się  
poczucie humoru i potrzeby  
dał sobie  
dwa miesiące urlopu  
i zawisł  
na problemie  
skręconym przez rodzinę oraz firmę  
Przez dwadzieścia lat  
prawie codziennie  
rozmawialiśmy o sprawach poważnych  
i duperelach  
Można by wymienić domyślnie  
wiele powodów decyzji  
i nie znaleźć żadnego  
uzasadnienia  
dla dalszego ciągu pomyłek i niepowodzeń

Tadeusz zrobił to inaczej  
w czasie godzin pracy  
odfrunął  
z siódmego piętra  
technicznie  
był także przygotowany na inny  
wariant  
ale chyba nie chciał  
tracić czasu  
na tłumaczenie i pertraktacje  
przez drzwi  
Ubrał się odświętnie  
pozostawił dobre wrażenie oraz  
list do kolegów  
z przeprosinami za kłopoty  
i zamieszanie

Ja także powinienem  
przeprzeć za koncentrację  
dawki  
ale  
kiedy pisałem ten tekst  
przypomniałem sobie

tak modne w latach siedemdziesiątych  
śluby zbiorcze  
wtedy  
zaangażowanie osób towarzyszących  
dzielilo się  
przez ilość par  
i najczęściej  
wszyscy rozchodzili się  
bez większych emocji

Oczywiście  
nie musisz dalej czytać

-----  
nie znałeś ich Nie  
zachowuj się jak element wstawiony  
w okno Milcząc obserwujący przez firanę  
wesołe miasteczko w znormalizowanym  
formacie Modlący się pod wieżą ciśnieni o rozwiązanie  
problemów ludzi pozornie uwolnionych od czasu  
Zostały trzy nie zagospodarowane biurka chociaż  
z różną zawartością Trzy zegarki  
nawet jeśli szyte na miarę to bezrobotne Pozostaną  
puste miejsca na listach płac Nieuregulowane  
do końca rachunki i charakterystyczne  
sylwetki Podążające drogą ewakuacyjną  
w kierunku nieustalonym Z powodów trudnych  
do zrozumienia Jak pojęcia podstawowe Niebezpiecznie  
rozpisałem się  
muszę już wrócić  
do porządku  
nocnego i dziennego  
nie opieraj się  
na złych przykładach Bądź  
dobrej myśli  
i odpisz  
jeśli stwierdzisz  
że jest to list  
do Ciebie

### Piosenka o literze P.

Nie pisz małą literą nazwy tego Kraju  
nawet maszyna wie i zaraz podkreśli  
choć tu kurewstwo kwitnie i lepiej nie będzie  
choć cię tu okradają i depczą boleśnie

i nie dla polityków ani dla historii  
paragrafów rodziny kobiety czy wiary  
pieszczenia konwenansów zachowania formy  
tylko dla ciebie – zapamiętaj stary

w gabinecie czy w kiblu na ścianie ekranie  
w zakładzie odnowy w hotelu w pudle  
w wierszu – nie pisz małą literą – żebyś się nie poczuł  
sponiewieranym i bezpańskim kundlem.

### Podział

Ogień zakwitnie dla mnie  
kwiat dla ciebie Złem

będziemy się dzielić  
miłość Składać na stertę

kwiat Wypijać powoli  
wódkę chłać do woli

wątpić w inne ołtarze  
i logikę zdarzeń

ty odejdziesz na lewo  
mnie kopną daleko

zdrowie będzie nam gnić  
pieniądze uciekną

ja napiszę piosenkę  
ty podanie do Boga

tobie nikt nie odśpiewa  
a mnie – nie zapisze

nie będziemy się starzeć  
mistrzowie od marzeń

do obrzydzenia piękni  
dla siebie Pęknięci

### Proces

Czy ktoś mi zadaje wiersze czy kaleczy  
język ułożony w organiczny sprzeciw –

Czy ktoś mi rękę miażdży by na chłodno wyśnić  
w okruczym złamaniu – odpryskowe myśli –

Czy implant w mózgu z niewiadomej ręki  
stałe zabrania przed czymkolwiek klęknąć –

– nawet pochylić się przez niebieską kalkę  
żeby nie szukać cienia na asfalcie

w rozwalcowanym trupie gwałconego słowa  
gdy rym jak ogon krzyża wlecze się po schodach

-----  
Między Bogiem a mną ciągle czegoś nie ma –  
Jest tylko Beatrycze – z poradni milczenia

(sen do wyjaśnienia)



**Ares Chadzinikolau****NA AULIDZKIEJ SKALE***Pamięci Konstantinosa Kavafisa*

Bijcie we mnie gromy niebios  
bijcie we mnie harde wiatry.  
Kłęczę tu, na eubejskiej skale,  
jak Agamemnon przed wyprawą trojańską.

Febusie, który napinasz moje mięśnie  
jak cięciwę łuku,  
prowadź strzałą słońca.

Tam, gdzie cumują fenickie statki  
i aleksandryjski brzask się kolebie,  
gdzie kwitną cząbry w spalonych świątyniach,  
a matki mają twarze jak zaszuszone pigwy.

Łódź przetnie wzburzone fale  
i poznam nowe porty  
szkicowane przez wiatr  
i głosy Lestrygonów i Cyklopów,  
co powracają natarczywie w snach.  
Bez nich nie zaznam spokoju.

I choć rozgniewam cudzych bogów,  
nie dla śpiewu Syren i hebanowych kadzidel  
dopłynę  
lecz dla odysowej fali  
która potrafi ominąć śmierć.

Bo dom mój między brzegami,  
a serce rozdarte jak u wędrownego ptaka.

*Aulida, maj 2002***Wojciech Kawiński****Bez porównania**

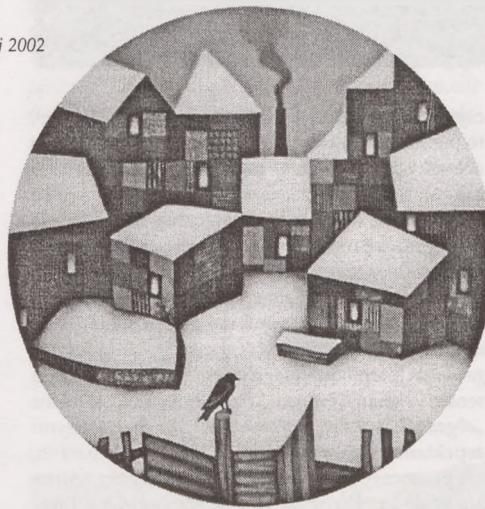
świeci nam  
coraz bledsza gwiazda,  
z włóczki słów  
wysnuta;

rzecz głupia  
(prawie każda)  
powraca jawą znów,  
by pytać

o jasne kręgi piekieł  
tu, między swymi;  
o pewność w niepewności, o  
fałszywą radość dźwięków;

przyszli zakładnicy  
leżą (kwiląc) w murach klinik,  
zielone tło  
już nam świeci (po ciemku);

mróz dotyka lakieru, cegły; szkło  
pęka, niczym droga, po której się szło –

**Agnieszka Wiczorek**

\*\*\*

już za chwilę  
ksiądz im pobłogosławi  
jeszcze tylko spyta  
czy będą ze sobą aż do śmierci  
wchodzi śmierć do kościoła  
i szepcze:  
pozwalam

**Daria Danuta Lisiecka**

\*\*\*

jakąż przeciwwagą dla szalejących  
za oknem żywiołów staną się  
kruche głosy poetów umarłych  
i żywych z płyty *Paris – Warszawa...*  
Barańczak ledwo słyszalny  
w fugach deszczu  
śpiewa Brodski w wichurze  
która z chrzęstem ku ziemi  
topole przygina  
Zagajewski dziwnie odległy  
poprzez blaszany łomot  
obluzowanych parapetów...  
liście  
w zbiorowym samobójstwie  
podeptane wnikają w błoto  
sycą się ziemią  
nicością  
czasem za liśćmi  
wylatuje tu człowiek  
z wysokiego piętra  
wiatr marszczy odbicie  
otwartych okien  
w brudnej kałuży i zaczyna się  
wymazywanie  
z pamięci miejsc wspomnień bliskich  
blaknących fotografii postrzępionych  
listów  
głosy poetów umarłych i żywych  
z ekspresu *Paris – Warszawa*  
dochodzą do mnie z czyścica  
wymazywania  
trwać będą tyle co nośnik  
na którym je utrwalono – rzecz w końcu  
materialna i prawom materii podległa –  
dylemat podróży  
tylko w wierszu po wieczność  
pozostanie nierozstrzygnięty

ogolone konary jarzębiny  
za nimi ożebrowania brzóz  
w wąskich prześwitach  
białe oko nieba

czujne

**Karol Zapata**

\*\*\*

Leżymy nieruchomi Synowie  
bajek i bólu wyrwanych  
mleczaków Czekający  
niespodzianek wesołych iskier  
między opuszkami małych palców  
Tak Lalki mają  
dusze



Ariana Nagórska

## Wykształcona, pobożna, sprawiedliwa – istny balsam na rany ojczyzny!

Od dłuższego czasu świetlane nauki i budujące kazania na łamach „Akantu” głosi ciemnemu społeczeństwu Barbara Witucka. Żarliwa patriotka i antykomunistka, niezłomna zwolenniczka takiej „demokracji”, w której wszyscy powinni myśleć i działać wyłącznie w sposób akceptowany przez naszą kaznodziejkę. Skoro jednak według takiego wzorca nie postępują (głosząc na przykład na postkomunistyczny „beton”), nie mogą się dziwić, że w kraju mamy bezrobocie, przestępczość, narkomanie. Dziwiw się jednak głupio, bo są niewykształceni. „Czym dziś mogą zabłysnąć pokolenia okresu komunistycznego i pokomunistycznego, w tym młodzież przede wszystkim? Analfabetyzmem? Głupotą? („Akant” nr 10, s. 22). Więc wszechstronnie wykształcona (miejmy nadzieję, że nie w komunizmie!) Barbara Witucka tłumaczy cierpliwie rodakom-analfabetom: „Lewicowe rządy zawsze miały zachwianą moralność w szerokim tego słowa znaczeniu (...), a efektem tego jest panoszące się dzisiaj zło. Wystarczy posłuchać mass mediów (morderstwa, napady itp.). Inżynierowie ludzkich sumień zrobili swoje przez te pięćdziesiąt lat (3 pokolenia)”.

Dzięki epokowej transformacji mamy od ponad dziesięć lat kontakt z całym światem, czas więc już chyba najwyższy, byśmy zorientowali się, że tam, gdzie reżim komunistyczny nie sięgał, nie ma ani morderstw, ani napadów. Tylko pokomunistyczne nieuctwo uniemożli-

wia nam dokonanie tej oczywistej obserwacji. Ofiarna dama niesie więc w mroki kaganek oświaty, narażając się na ataki „moralnie obojętnych na sprawy kraju”. Na szczęście równie mądry (bo zapewne też kształcony z dala od komunistycznego szkolnictwa) Zdzisław Antolski zapytał „Kto zajmie się Polską” i przykładem Barbara Witucka będzie mogła trudy występów solo rozłożyć na duet. W „Akancie” czerwcowym (s. 32) walczyła jednak jeszcze w osamotnieniu, z uporem powtarzając, że kto jak kto, ale ona na pewno nie jest człowiekiem z gumy i nie zmienia jak inni poglądów, bo to byłoby niegodne człowieka myślącego. Określenie „człowiek myślący” powtarza się w wypowiedzi co drugie zdanie. W końcu (by analfabeci nie mieli wątpliwości, o jakiego człowieka myślącego chodzi, bo mogliby na przykład w swej durnocie pomyśleć o Szyborskiej lub Kołakowskim), Barbara Witucka wyjaśnia sprawę łopatologicznie: „Ja myślę i właśnie dlatego, że myślę, wiem, co jest dobre a co złe (...)”. Przy takim żelaznym kręgosłupie moralnym popularne narodowe wady nie mają się pancerza cnoty: „To, że (...) nie mogę patrzeć jak do władzy doszli komuniści, nie oznacza wcale, że jestem zazdrosna o »stółkę«, czy też sfrustrowana”. W tym momencie dostarcza wreszcie długo poszukiwanej przeze mnie informacji o swej pozycji społecznej i rodzaju tak natrętnie eksponowanego wykształcenia. „Gwoli ścisłości,

moje wykształcenie (politolog) upoważnia mnie do zatrudnienia się w strukturach, czy to powiatowych (rządowych), czy też pedagogicznych (ale praca w wydawnictwie – zapewniam – podoba mi się). Martwiw mnie jednak te rzesze społeczeństwa (głównie młodych ludzi), których niedostateczne wykształcenie (z powodów niekiedy socjalnych) nie kwalifikuje ich do podjęcia pracy, której dla nich po prostu nie ma”.

Ten fragment wyjaśnił więcej, niż „sprawiedliwa” wyjaśnić chciała. Otóż do pracy w wydawnictwie (która się pani politolog tak bardzo podoba) przygotowują studia edytorskie! Wielu młodych kończy właśnie takie studia, a potem nie może znaleźć pracy. Nic dziwnego, skoro stołki w wydawnictwach częściej obsadzane są po linii polityczno-ideologicznej niż z uwagi na kwalifikacje do zawodu. Nie wygląda na to, by tylko wstrętna lewica miała monopol na tego typu politykę kadrową! Ponieważ B. Witucka ciągle przeciwstawia swą wielką edukację nieuctwu młodzieży, a w notach biograficznych stara się „zapominać” datę urodzenia – wszystkie poszlaki wskazują, że należy do pokolenia, które przedmiot swej dumy (czyli studia) otrzymało od nieczej komuny za darmo. A ponieważ krwawy reżim wszystkim zapewniał pracę, pewnie i stażu wystarczy, by w razie jakichś perturbacji etatowych skorzystał w kapitalizmie z komunistycznego dobrodziejstwa wcześniejszej emeryturki. Z takiej wygodnej pozycji przyjemnie jest głosić odnowę moralną tym wszystkim, których w promiennej demokracji czeka pusta kieszka, europejski wiatr w oczy i ojczyste kółko różańcowe.

Stanisław Truchan

## Zagadanie i obgadanie

Po przeczytaniu polemiki pomiędzy niżej podpisany a Barbarą Witucką Stefan Pastuszewski spłodził finezyjny jak mauretańska arabeska i kapryśny w swym toku rozumowania niczym scherza Paganiniego komentarz do mojego tekstu, pełen tak zaskakujących meandrow i wolt, że naprawdę się dziwiw, iż sam autor się w nim nie pogubił. A już w stan graniczny z osłupieniem wprawia mnie fakt, że cały ten popis wirtuozerii, cała ta misterna plecionka ze słów i myśli, bogactwem odrostów i odgałęzień rywalizująca skutecznie z najbujniejszymi okazami tropikalnej flory, służy wykazaniu(???!), iż mój spór z B. Witucką to po prostu przejaw zakłócenia równowagi pomiędzy yin i yang... Nie osmieliłbym się z tak oryginalnym poglądem polemizować, zwłaszcza że S. Pastuszewski twierdzi, iż „ma doświadczenie w tych sprawach” (nie wątpię, że co najmniej takie, jak Zbigniew Lew-Starowicz?) – gdybym nie był przekonany, że wspomniany spór dotyczył spraw zasadniczo dość odległych od fizjologii i jej psychologiczno-intelektualnych implikacji; była to po prostu wymiana zdań dwojga ludzi – po Gombrowiczowsku rzecz ujmując – „tak szalonych, by coś mniemać, albo i nie mniemać”. Gdyby nie podpis mojej przeciwniczki, gdyby nie niektóre formy gramatyczne, za żadne skarby nie domyśliłbym się, że polemizuję z kobietą. W ogóle nie rozumiem, skąd taki „dwupłciowy” punkt widzenia: nie zauważyłem, bym do wyrażania moich myśli kiedykolwiek używał organów służących innemu zgoła celowi, i myślę, że z B. Witucką jest podobnie. A jeśli – jak czytam w zakończeniu felietonu „Trzy kule w plot,

czyli damski strzelec” – ma być obroną pani Barbary, to pozostaje mi błagać na kolanach, by S. Pastuszewski nigdy mnie w podobny sposób nie brocił.

Ale nie w tym rzecz. Dowiaduję się oto, że nie mam prawa protestować przeciwko „zagadywaniu” problemów, a to ze względu na niewybaczalną skłonność moją do obfitości słów. I tu już mamy do czynienia z poważnym nieporozumieniem semantycznym. S. Pastuszewski myli pojęcia „zagadania” z „obgadaniem”; tego ostatniego słowa używam w takim sensie, w jakim się mówi: „Trzeba to obgadać”. Właśnie „obgadać”, a więc „porozwodzić” się nad różnymi aspektami sprawy, spojrzeć na nią z różnych stron, nie przeoczyć żadnego istotnego szczegółu, jednoznacznie „wyklarować” własne stanowisko... Takie „obgadanie” faktycznie czasem razi nadmierną obfitością słów – ale przecież lepsze to niż powierzchowność wypowiedzianych sądów.

Do „zagadania” zaś – wbrew pozorom – żadna obfitość słów potrzebna nie jest. Zagadać problem – i zagadać prawdę – można z lapidarnością, przy której nawet Spartanin wyszedłby na koszmarnego głędy. Wystarczy parę efektownych sformułowań brzmiących jak prawda pełna i ostateczna, a od prawdy odległych albo deformujących ją, albo też zawierających prawdę niepełną (a pół prawdy to – jak wiadomo – całe kłamstwo). By „zagadać” sprawy istotne, o które się upominam, zbędne są fakty, nie potrzeba argumentów, a głębię myśli można sobie darować. Wystarczy parę frazesów, parę efektownych zdań, parę twierdzeń brzmiących jak nie-

podważalne aksjomaty – a wszystko sformułowane w taki sposób, by odsłonięcie ich pliczyn, odkrycie zawartej w nich deformacji obrazu rzeczywistości, ukazanie ich bałamutności wymagało jak największego wysiłku... i właśnie pewnego pozorowego nadmiaru słów – bo na jedno słowo prowadzące na manowce myśli odpowiadać trzeba całym zdaniem. Bywa więc lapidarne „zagadywanie” prawdy – i drażniące wspomnianym, czasami pozornym, nadmiarem słów teże prawdy „obgadanie”, czyli przywracanie właściwej orientacji przysłowiowej głowie i nogom. A Freudowski sos, którym podlewa całe zagadanie S. Pastuszewski, stanowi w tym wszystkim dodatek równie niezbędny, jak majonez w szarlotce. I nic tu nie ma do rzeczy, co się komu „zwęza” albo „rozszusza”, czy w inny jeszcze sposób gabaryty zmienia – niezależnie od płci.

## Replika

S. Truchan szydzi z „efektownych sformułowań, brzmiących jak prawda pełna i ostateczna”, a sam w ton demagogiczny uderza. „Obgadać” znaczy przecież również „obmówić kogoś”, czyli zło – intencyjnie kogoś „obsmarować”.

Ta „finezyjna” impresja nie dotyczy oczywiście S. Truchana, który zdaje się być człowiekiem dobrodusznym i szlachetnym, choć nieco – niestety – podległym plastelinizacji odmedialnej, zważywszy na jego telewizyjną tylko wiedzę o Białorusi, Estonii, Litwie, Łotwie (por.: S. Truchan, „Szczurodom i wydma paraboliczna”, „Akant” 2002, nr 12, s. 16-19). A szkoda, bo tam alkohole są mocniejsze niż w ukochaną przez Francję (czy wypada gospodarzom tak wymawiać cienkuszę?) No i życie mocniejsze...

Stefan Pastuszewski



Zbigniew Kresowaty

## Literatka i jej „szpilki”

Skończył się rok 2002.

Droga Redakcjo, mówię „Dzień dobry” Tobie, wietrząc, że chyba będzie już koniec Waszego czasopisma. „Akant”, drukując przeróżne imaginacje „literatki” hulajgęby i plujęby oraz baby od pierdaczania i gazowniczi – dokopuje sobie bramki. Wielu już odeszło, chociaż analfabetami nie byli, wielu odejdzie z różnych względów, gdyż jeśli ktoś nie podejmie polemiki (jak na przykład *analfabeta*), to mu z kopa trzeba walić, a rubrykę „Polemiki” przekształcić w targowisko bab, hulajgębów, i analfabetów. Analfabecie nie należy się dziwić, bo on „ni czytaty ni pisaty” – ale innym?! Dajecie dowód na twierdzenie, że „jacy autorzy – takie czasopismo”! Czyż nie tak!? Każdy głupi nawet, gdy nie analfabeta czy bufon, a nawet nie-łot, to potwierdzi. Ostatnio nawet czytam coś od pewnej schizofreniczki, coś od pułkownika, który naciera ze szrapnelami (poeta z wojskowych kół literackich i emeryt). Piszą też inni z pokomunistycznego „Eresteku”. Cóż, mieszanka i „mieszasz”. A Wy, Drodzy chcecie utrzymać czasopismo w dobrej formie? Toż to właśnie widok i kondycja literatury. Wszystkich takich powinniście umieszczać w rubryce „kondycji literackich”...

Wydaje się, że przewodzi u Was owa „literatka” z Gdańska, satyryczna baba. Narzuca swoje populistyczne ego i pierdaczy dyrdymały, nic literackiego, i kluje szpilkami kogo popadnie a – nie daj Bóg – ten się sprzeciwi lub nie zgodzi – to znów szpila poniżej pasa. Targa owa „literatka” później delikwenta „poniżej pasa” i zmusza do stosunku polemicznego. Bravo! Wygrałaś „literatko”! Wielka jesteś – na pewno też jesteś niedowartościowana i ciągle pusta! Pytam tylko, dlaczego wciąż wąpisz w odbiorcę? Dlaczego zmuszasz do komuny, a nie do demokratycznych wolnych wypowiedzi? Dlaczego dokopujesz „literatko” sobie i czasopiśmu bramki, twierdząc, że w nim analfabeci już drukują? Każda baba lubi ploty, niedomówienia, pseudo-sensacyjki urastające do rangi dramatów. Lubi baba donosy, pomówienia – to jej życie straganowe i nic więcej.

Z nadchodzącym rokiem 2003 życzę szczerze wszystkiego lepszemu Redakcji „Akantu”. Życzę mniej analfabetycznego druku, mniej bufonów i leciwych „literatek”, całych w szpilkach. Życzę obecności dobrych literatów. Jedynym jest dobre na przetrwanie.

Trzymajcie się mocno i mądrze!\*

Ariana Nagórska

## Nie boję się...

Ale się Wasz malarz z końcem roku rozszczękał z literacka! Jak tak dalej pójdzie, to i nową wersję „Mein Kampf” napisze. Szkoda tylko, że z dwustronicowego ujadania nobliwa Redakcja wybrała wyłącznie fragmenty „liryczno-refleksyjne”, kalecząc na dodatek piękno kresowatej frazy poprzez usunięcie błędów stylistycznych i ortograficznych. Dlatego wyrażam wdzięczność, że (w przeciwieństwie do innych Czytelników) cały oryginał miałam zaszczyt poznać. Miło mi, iż palanta ugodziłam celnie, o czym świadczyła chociażby objętość epistoły polemicznej, w której z wściekłości obszczękałam również inne osoby. Podobnie jak języka polskiego, nie zna najwidoczniej także przysłowia *psie głosy nie idą pod niebiosy*. Właśnie z tego względu, zgadzam się z redakcją, by jałowej polemiki dalej nie ciągnąć. Pozwolę sobie jednak zauważyć, że może to być wyłącznie moja opinia, gdy tymczasem z analfabeta polemizowali też inni. W stosunku do wielu lepszych od niego autorów (bo gorszym być trudno) nasz „demokrata” zaleca redakcji „dla dobra czasopisma” niedrukowanie ich. Łatwo mi się śmiać, bo gdy za sprawą malarza-bojówkarza nie chciano mnie drukować, byłby to problem Redakcji, a nie mój. Przypuszczam jednak, że mogą być i tacy, którym w identycznej sytuacji nie byłoby do śmiechu. Historia uczy, że lepiej ambitnym miernotom na łapy patrzeć, co też z przjemnością uczyniałam. Gazów bojowych Kresowatego nie ma się co obawiać, ba są lotne jak ich twórca.

Jan Stanisław Smalewski

## Wyrażna przesada

Z zażenowaniem przeczytałem „Na opamiętanie” Z. Kresowatego w październikowym numerze „Akantu” 2002 r. Autorowi nie wystarczyło już, że jak rzep psiego ogona uczepił się mnie, Jana – nie jak pisze – Jerzego Smalewskiego, ale swoje ataki rozszerza na następujące osoby: Ariane Nagórską i Tomasza Kościwickiewicza, używając przy tym, zamiast argumentów, słów podłych i... zaprzeczających gloryfikowanym przez siebie ideałom.

Już tylko z fragmentu: „Ta Pani oburzyła się, bo przypisała też sobie zasługi dla „Akantu” w zdobyciu czytelników i rozgorzało. Idziecie „łeb w łeb” za Panem Jerzym Smalewskim, bo on także dobrze pierdaczy i okazuje głupotę...” można wyciągnąć wnioski o nieskromności, a nawet zaburzeniach osobowościowych jego autora. Słowo „też” sugeruje bowiem, że naruszone zostało jakieś nieznanne mi prawo Z. Kresowatego do wyłączności zasług w „Akancie”. A co do powtarzanego z uporem maniaka „pierdaczania”..., dość przeczytać artykuł jego autorstwa w tymże samym numerze: „Sztuka olśnienia”.

Już na wstępie autor stwierdza, że Marek Ostoja-Ostaszewski „jako malarz doszedł do pewnych konkluzji we własnym działaniu”. Jeśli to ma być ogólny zarys sylwetki artysty, to czego tu brakuje. Bo konkluzja to wynik rozumowania, wniosek. Jeśli zatem wyjść od wniosków, dotyczących twórczości artysty, to należałoby je od razu sprecyzować. Nawet jeśli autor zamierzał użyć słowa „pewnych” jako stanowczych, to zdanie powinno zostać przemieszczane niżej, przed: „Artysta – jak twier-

dzi – jest samotnikiem...” – Od takich popłatani w tekście pana K. aż się roi.

Przytoczmy inny fragment: „W tym malarstwie kolorystyka, jej rozmieszczenie w sposób fochowy (a jaki może być inny sposób u profesjonalisty?) – tak, żeby się poszczególne pola nie gryzły z sobą – daje pewien świat ugody, ale też radość, ból rozkoszy, zapach, czasem nawet dreszcz grozy”.

Co do zarzucanej mi przez Z. Kresowatego głupoty, myślę, że prezentowany przez niego w polemikach nadmiar ambicji dowodzi, że raczej on jest w tym względzie „sprawny inaczej”. Ja to rozumiem, chociaż współczuję.\*

## Od redakcji

Korzystając z dobrego prawa każdej redakcji do decydowania o tym, co znajdzie się w poszczególnych numerach czasopisma, kończymy tę niesmaczną polemikę. Chcemy przypomnieć celne wskazania S. Truchana dotyczące polemik („Noga jako argument”, „Akant” 2002, nr 11, s. 31-32). Nasz redakcyjny autor słusznie neguje te polemiki, w których „dominuje chęć dokuczenia oponentowi, zamiast przekonania go o swoich racjach. Autor „Medalionu z Leliwą” pisze: „Mimo wszystko obiektywizm ocen jest ze wszech miar pożądanym. Powinny mu towarzyszyć pewien umiar w stosowaniu deprecjonujących sformułowań”.

A że tego zabrakło na linii Z. Kresowaty – J. Smalewskiego – M. Skoneczna – A. Nagórska, to „z urzędu” ucinamy tę linię. Przynajmniej na łamach „Akantu”.

Zainteresowanych szczerze przepraszamy.

Redakcja

**DRUKSERVICE** Kompleksowe **DRUKSERVICE**  
zaopatrzenie  
w materiały poligraficzne **IKSERVICE**  
**DRUKSERVICE** **DRUKSERVICE** **KSERVICE**  
Sp. z o.o.  
ul. Bydgoska 29a **KSERVICE**  
86-061 Brzoza k. Bydgoszczy  
tel. centrala (052) 320 18 18  
fax (052) 320 18 19 **IKSERVICE**  
www.drukservice.com.pl  
biuro@drukservice.com.pl **DRUKSERVICE**



Stanisław Franczak

## Kilka słów o Tadeuszu Słowiaku

Z Tadeuszem poznaliśmy się w redakcji „Życia Literackiego”, w której rządził stary portyzant i komunista, pisarz i publicysta – Władysław Machejek. Tadeusz przejął niedysyjską grządkę Wisławy Szymborskiej – pocztę literacką. Zasypywany listami i tekstami z ambicjami literackimi zawsze trafnie wyławiał ciekawe osobowości i zawsze udzielał rad debutantom. Należałem do tych szczęśliwców, którym Tadeusz zaufał, i przy kolejnych spotkaniach stawał coraz wyżej poprzeczkę. Pamiętam, jakim uhonorowaniem było jego stwierdzenie: „No widzisz, napisałeś wiersz lepszy od mojego.” A potem, po paru latach naszej przyjaźni, nie zapomnę, jak wyklócał się ze mną i prawie obrażał, że nie wydrukuję mi tego wiersza, w którym użyłem potocznego zwrotu „kamień spadł mi z serca”. Dlaczego? Bo on to napisał już wcześniej! Ale przyjaźń okazała się silniejsza i przetrwała do samego końca.

Kiedys, a było to w okresie stanu wojennego, zaprosiłem go na wspólnego Sylwestra. Przy zamkniętych drzwiach i spuszczonej zasłonce okiennych bawiło się w wynajętej salce ze dwadzieścia osób. Stół suto zastawiony kartkowymi specjalami, muzyka z magnetofonu. I nagle od stołu zrywa się Tadeusz z filmowym błyskiem w oku, prosząc do tańca moją żonę, która rozmawiała z kimś pod oknem. Rozbrzmiał walc, w którym Tadeusz dokonywał cudów tanecznych, a potem popłynęła spokojnie melodia tanga. Oboje zapełnili się do mojego miejsca przy stole, nic więc dziwnego, że słyszę taki oto dialog: – „Czy pani skończyła jakąś uczelnię artystyczną?” – Moja żona uśmiechnęła się tajemniczo. Tadeusz kontynuował: – „A może szkołę filmową? Bo ja właśnie, wie pani, jestem aktorem...” – Żona wciąż milczała. Zniecierpliwiony Tadeusz wytoczył wtedy armatę, po której każda twierdza musi paść: – „No... chyba że dyplomację.” – Wtedy żona

wybuchnęła śmiechem. – „Ależ wujciu Tadeuszu, nie pamiętasz, jak bawiłeś mnie na kolanach, kiedy z moim ojcem piliście wódkę w klubie literatów? Miałam wtedy osiem, może dziewięć lat.” – Tadeusz stanął w miejscu, poczerwieniał i wybąkał: – „A jak się twój tatuś nazywa?” – „Władysław Bochenek, pisarz i redaktor TV z Katowic.” – „O, Boże...” – jęknął Tadeusz. – „A tu siedzi mój mąż” – powiedziała moja żona i wzięła mnie pod rękę. Tadeusz rozłożył szeroko ramiona i wykrzyknął: – „Dawaj pyska! Popatrz, wychowałem ci dziewczynę, która jest piękna i... beznadziejnie wierna.” – Po czym Tadeusz sięgnął po kieliszek.

Kiedy tuż przed śmiercią siedział z nami w klubie literatów, do którego gnał go instynkt, a nie zawodna pamięć – nie poznawał nas już z imienia i nazwiska. Ale wiedział, że jest wśród swoich i czuł, że jest mu z nami dobrze. Nagle, jakby w jakimś zwidzie, wstał, popatrzył na nas i powiedział:

– „Zaprosili mnie do Lwowa, do rzeźni, ale chyba nie pojedę. No, bywajcie, czeka na mnie mój tramwaj.”

Do dziś te słowa drżą mi w uszach i przeobrażają. Tylko z wysoka, gdzieś z obłoków, ciepło uśmiecha się Tadeusz...

Jerzy Franczak

## Chwila z Poetą...

Tadeusza Słowiaka poznałem najpierw poprzez jego wiersze. Gdy później spotkałem go w siedzibie ZLP na Krupniczej, wydał mi się kimś bardzo bliskim. Było to w tym czasie, kiedy jego choroba czyniła postępy, zagarniając coraz większe obszary pamięci. Widywałem go na Siennej, gdzie spacerował tam i z powrotem, zaglądając w twarze napotkanym ludziom.

Podczas naszej ostatniej rozmowy, latem 1994 roku, gdy siedzieliśmy na ławce pod Wieżą Ratuszową, opowiadał mi o swoim dzieciństwie: z rodzinnego domu pamiętał wielkie

okna. Powtarzał, że nie jest poetą, lecz aktorem. Na „Poemat o miejskiej rzeźni” mówił „to czerwone”. W końcu, poruszony zapewne jakimś bolesnym wspomnieniem, chwycił mnie za ramię i zapytał: – „Czy pan kiedyś pisał, papierosil?” – Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Pan Tadeusz powtórzył pytanie. – „Nie, nigdy” – odrzekłem. – „To dobrze, to bardzo dobrze” – westchnął z wyraźną ulgą i uśmiechnął się. Przypomniał mi się wtedy jeden z jego najpiękniejszych wierszy – o przerażającej bieli kredy, która pełnie ku winnicom, by pić je do suchości.

Odprowadziłem go do „Klubu pod Gruszką”, tam pożegnaliśmy się i zniknął w bramie, machając mi jeszcze ręką ze szczytu schodów. Myślę, że równie pogodny był kilka miesięcy później, gdy wyszedł na swój ostatni spacer pewnego mroźnego, grudniowego poranka.

### Tadeusz Słowiak

(1928-1995)

polski poeta, urodzony we Lwowie; w latach 1945-1947 przebywał w Warszawie i Wrocławiu, od 1948 w Krakowie, gdzie ukończył PWSA i w latach 1953-1956 pracował w Starym Teatrze. Współzałożyciel i redaktor naczelny czasopisma „Zebra”, kierownik literacki Teatru Rozmaitości; w latach 1967-1988 redaktor „Życia Literackiego” oraz (w latach 1975-1982) redaktor naczelny „Magazynu Kulturalnego”. Opublikował liczne zbiory wierszy, a także poematy, m.in.: „Astrolabium z sosnowego drzewa”, „Poemat o Mikołaju Koperniku” (1953), „Poezje wybrane” (1975-1988), wybór „Korń maści muzycznej” (1986), „Słownik wyrazów światowych” (1989). Był także autorem popularnych utworów dla dzieci.

WYDAWNICTWO

„Droga”

zaprasza  
do korzystania z usług:

- wydawniczych
- kolportażu

organizujemy:

- wieczory autorskie
- fachową opiekę nad młodymi talentami

87-800 Włocławek  
ul. Okrzei 54/46  
tel./fax (054) 232 75 70

Rok założenia 1991

PPH **DOMAROLL**®

PRODUCENT STOLARKI Z PCV I ALUMINIUM

#### Nagrody i wyróżnienia na:

Targach GRYF-BUD 99 w Bydgoszczy  
Targach Budownictwa TORBUD 2000 i 2001 w Toruniu  
III i V Pałacowych Targach Rolnych w Żninie  
III Targach 2001 w Mogilnie  
Nagroda Burmistrza Miasta Żnina – 2002

#### Biura handlowe:

Żnin, ul. Szpitalna 74, tel./fax 052/302 80 30  
Toruń, ul. Szosa lubicka 168B, tel. 056/659 91 17  
Bydgoszcz, ul. Czerkaska 32, tel./fax 052/346 15 79  
Bydgoszcz, ul. Moczyńskiego 1, tel./fax 052/328 61 66



#### Okna PCV

w systemie TROCAL posiadającym  
międzynarodowy znak jakości ISO 9001

#### Stolarka ALU

Najwyższa jakość, przystępne ceny





# Jaka jesteś współczesna poezjo?

Natalia Slesińska

## „Jaka jesteś, współczesna poezjo?” – podsumowanie dyskusji

„Panie, zachowaj poetów...” – taką prośbę zawarł w tytule swego artykułu w „Akancie” (nr 7/20, lipiec 1999) A. Grabowski. Prośba owa jest – zwłaszcza w dzisiejszych czasach – ważka i godna spełnienia, bo poeci stają „w szranki o nasze »być«, a nie tylko »mieć«” (A. Grabowski, *ibidem*), zaś ich SŁOWO trafiać może najszybciej i najcelniej tam, gdzie najbardziej go potrzeba; stąd też – jako naturalna kolej rzeczy – wynika potrzeba określenia kształtu „substancji”, sposobów i wymiarów istnienia poezji. Wyrazić ją można w jednym, choć wcale nieprostym pytaniu: „Jaka jesteś, współczesna poezjo?”. Postawił je S. Pastuszewski („Akant”, nr 9/22, 1999) z intencją wywołania dyskusji literackiej. Jednak nie spodziewał się on chyba, iż odpowiedzi popłyną nieprzerwanym strumieniem ze wszystkich stron Polski (od samego początku dyskusja toczyła się na łamach „Akantu” regularnie, co miesiąc), zaś ich ilość i różnorodność posłużyć by mogły za materiał do napisania wielotomowego traktatu o kondycji liryki przełomu XX i XXI wieku.

Wypowiedzi różnych autorów – obok prób zdiagnozowania stanu współczesnej poezji – niejako „złożyły się” na odpowiedź na drugie, nie mniej istotne pytanie: „Czym jest poezja?”. Dopiero w kontekście licznych, odmiennych wypowiedzi staje się jasne, iż definicja poezji posiada „warstwy” budujące jej znaczenia – od dosłowności i technik warsztatowych aż do transcendencji. Według S. Sosny-Sarno poezja jest „organiczną częścią wiedzy i sztuki życia. Wraz ze zmianą poziomu wiedzy zmienia się również wizja całości świata, a z nim – obraz – i prawda o człowieku” („Poezja nie jest...”, „Akant”, nr 3/42, 2001), przy czym może posiadać „aforystyczny charakter, bywa też mini traktatem filozoficznym, w każdym razie jest pełną erudycji i inteligencji wypowiedzią na zadany temat” (A. Sebesta, „Zamiast filozofii”, „Akant”, nr 8/60, 2002); to także „nieustanny proces mozolnego budowania ładu rozumianego jako równowaga. (...) A całość stanowi dość barwną mozaikę” – dopowiada R. Bibersztajn („Konieczność wiersza”, „Akant”, nr 13/52, 2001). Obok wiersza rozumianego jako twór – efekt artystycznych zdolności człowieka – „egzystują” zatem „metawarstwy” znaczeniowe tego pojęcia: poezja jest także filozofia, „jako substytut czasu połączony nimbem bytu (przemijania) i nieśmiertelności (ducha) – jest pięknem samym w sobie” (J. S. Smalewski, „Mea culpa, popełniłem”, „Akant”, nr 5/27, 2002). Wiersz – znak podświadomości – posiada wszelkie cechy symbolu (takiego, o jakim pisał chociażby C. G. Jung czy też M. Eliade), bo „w rzeczywistości to przedstawiony świat wartości, ukryty pod postacią nie zawsze łatwych do rozszyfrowania metafor. (...) Powinien być zaproszeniem do świata doskonałego” – jak pisze w artykule „Zrozumieć siebie” Małgorzata Szweda („Akant”, nr 9/61, 2002).

Poezja może być zatem... ODPOWIEDZIĄ – „jednym z niewielu kluczy, a może nawet najbardziej uniwersalnym kluczem, jakim możemy próbować dotrzeć do samego jądra zagadki naszego, przedziwnie pięknego i tragicznego jednocześnie, bycia »tę i teraz oraz nieustającym pytaniem o »zawsze i wszędzie«” – stwierdza A. Soczyński („Zalew tandety”, „Akant”, nr 8/34, 2000). Jednoczy ona człowieka z Absolutem, bo jest formą uniwersalnej, doskonałej modlitwy – rozmowy jednocześnie „z samym sobą, z drugą osobą, z Bogiem” (S. Krawczyk, „Kilka słów na marginesie dnia”, „Akant” 6/32, 2000).

Z owej „wielowarstwowej” definicji wynika poetycki dekalog. Paweł Kuschczyński („Czas terazniejszy, czas wartościowy”, „Akant” 11/37, 2000) tak tworzy swój „drogowskaz z liryki”: „Poezję pojmuję jako zauważenie świata, czegoś szczególnego, zderzenie zdarzeń (...). (...) nie pojmuję poezji historycznie (...). (...) Dla mnie to przede wszystkim ten dziwny głos – natchnienie. (...) Poezja dla mnie jest przede wszystkim czasem terazniejszym. Staje się. (...) jest suwerennym bytem. (...) to także podziękowanie za dar istnienia, za wszystko, co ono niesie (...). (...) Poezja jest zarazem niepokojem, spokojem, ciszą”. Józef Baran nazywa wprost swoje rozważania: „Mój dekalog poetycki” („Akant”, 1/53, 2002), zaś o poecie pisze: „wczuwa się nie tylko w cudze światy ludzkie, lecz wyczuwa też głosu drzewu, kamieniom, wodzie, chmurze, ptakom. (...) Wiersz niechaj będzie przyobleczony w ciało, niechaj wyrasta z konkretnego, z ziemi, z czasu. Oczywiście potrzebne mu są też skrzydła, duch (jego powietrzem jest przecież rzeczywistość duchowa)”.

Nie mniej istotne jest tu pytanie: „Dlaczego piszemy wiersze?”. Motywacje są różne: prosta, spontaniczna chęć oddania nastroju, zabawy, radości (por.: K. Michałowski, „Król jest nagi”, „Akant”, nr 4/30, 2000). „Jedni (...) piszą dla siebie, do szuflady, inni dla czytelników, jeszcze inni dla nazwiska” – trafnie dokonuje „trójpodziału” R. Lipski („Pytanie już padło”, „Akant”, nr 2/28, 2000), dodając: „najważniejsza jest wewnętrzna potrzeba, siła. Talent to katalizator”.

Piszemy zatem pod wpływem wewnętrzznego imperatywu, chęci przekazania czegoś innym, bądź też dla sławy i zysku (to ostatnie jest zresztą – jak na ironię nie z powodów etycznych, a za sprawą tragicznej sytuacji ekonomicznej Polski – coraz mniej osiągalne). Oprócz tego tworzenie wierszy jest POSZUKIWANIEM – „uczy widzieć i słyszeć to, czego nie widzimy sami. (...) To przede wszystkim głęboko ukryta prawda o człowieku. Aby odnaleźć tę prawdę, a zarazem sens, trzeba się zbuntować. Na kowadło wiersza rozbić świat i na nowo odszukać każdy jego obraz” (M. Szweda, „Zróżnić siebie”, „Akant”, nr 9/61, 2002). Wreszcie – poezja to owa „Kraina zapomnienia” z artykułu M. Szwedę („Akant”, nr 3/55, 2002), ów „niepowtarzalny dar, przy czym dla innych może to być tylko sposób na ubarwienie sobie życia”. Paradoks – ale pisanie wierszy jest w dzisiejszych czasach w tym samym stopniu poszukiwaniem, co... ucieczką „przed współczesnym, zabiegającym światem”, to „pragnienie ocalenia ulotnych wrażeń i przemyśleń” (M. Łuka, „Prośba o łagodność”, „Akant”, nr 11/63, 2002).

Z motywacją wiąże się z kolei zagadnienie samej tematyki wierszy, gdyż na ogół jest ona „odbiciem” osoby poety i czasu, w którym on żyje. Na ten temat wyczerpująco wypowiedział się S. Pastuszewski w artykule „Termometry i barometry” („Akant”, nr 12/64, 2002). Wnioski, jakie wysnuwa, mają solidne, oparte na faktach „fundamenty”: autor wielokrotnie był jurorem w konkursach poetyckich. To właśnie na podstawie poczynionych tam obserwacji pisze: „dojmującym uczuciem wyzieraającym z wierszy młodych jest – obok typowego dla młodości bólu istnienia (...) – tak sugestywnie opisane przez M. Łukę »przerwanie o czwartej nad ranem«, wynikające z zagubienia się w »cielsku molocho« cywilizacji XXI wieku. »Z rąk wymykają się«: tradycja, wartości moralne i poczucie bezpieczeństwa w »małej ojczyźnie“. Stąd też – obok pesymizmu – w wielu wierszach

pojawiają się diagnozy konkretnych zjawisk społecznych, a nawet politycznych; zdarzenia z 11 września 2001 roku wywołały na przykład istny „potop” wierszy dotyczących terroryzmu i kondycji dzisiejszego, pełnego przemocy świata. „Samotność (...), egoizm (...), nienawiść (...), ślepa pogoń za pieniądzem (...), zatarcie się granicy między dobrem a złem – oto główne wyznaczniki współczesności. (...) Wobec tak dezintegrującego ataku zewnętrzności na duszę człowieka jawią się dwie postawy »ucieczki«: w egoizm i iluzję” (S. Pastuszewski, *ibidem*). Stąd też ogromny zalew – na co zwraca uwagę większość uczestników „Akantowej” dyskusji – liryki o tematyce miłosnej, erotycznej, bardzo osobistej i subiektywnej, bądź też wierszy poświęconych Bogu lub ziemskiemu ucieleśnieniu miłosierdzia – matce (czy wręcz – w sensie metaforycznym – Matce-Ziemie; o poezji ekologicznej piszę w dalszej części podsumowania, podobnie jak o liryce religijnej).

Z całą pewnością „odmalowanie” tak pełnego, barwnego i wielowymiarowego obrazu poezji jest wielkim osiągnięciem „Akantowej” dyskusji; natomiast jej podstawowe pytanie: „Jaka jesteś, współczesna poezjo?” – doczekało się zarówno różnorodnych, często sprzecznych odpowiedzi, jak i ich całkowitej... negacji.

Negacja owa pojawia się z dwóch powodów. Pierwszym z nich jest istniejący relatywizm czasowy, za którego sprawą „na bieżąco nie można ustalić ostatecznych kryteriów estetycznych, według których poezję moglibyśmy mierzyć” (S. Stanik, „Mechanizmy, jakie są”, „Akant”, nr 1/40, 2001). P. Szreniawski odpowiada pytaniem na pytanie: „Czemu »współczesna«? Co to znaczy »współczesna«? Równie współczesna jest dla mnie poezja stworzona przez Homera, Nerona palącego Rzym, czy też pisana w wieku 517 następnej ery” („Patrząc na dziś widzę jutro”, „Akant”, nr 7/33, 2000). „Dla mnie poezja jest poezja. I tak już zostanie” – dołącza się do tego „chóru” M. Łuka („Prośba o łagodność”, „Akant”, nr 11/63, 2002). Poezja wcale nie jest współczesna, bo zawsze była i jest wieczna; „Współcześni są tylko ludzie i tacy śmiertelni” (D. Świdorski, „Jest wszędzie...”, „Akant”, nr 13/52, 2001). W istocie liczy się wszak uniwersalność wiersza, który budzi zachwyt swym pięknem i doskonałością warsztatu, nie zaś „wiekiem”: „Czytam pieśni Kochanowskiego i zazdroścę mu umiejętności mówienia” – pisze J. Kałwak („Poezja w stanie kryzysu”, „Akant”, nr 2/54, 2002) – „Zaglądam do Sępa i płakać mi się chce, że można filozofować z tak niewymuszoną swobodą. O Franciszku Villonie nie wspominał”. Okazuje się zatem, że – po prostu – „Poezja jest albo jej nie ma” (T. Olewcyńska, „O poezji nie tylko współczesnej”, „Akant”, nr 12/51, 2001)...

Druga z przyczyn negacji tematu dyskusji posiada również silną „rację bytu”: „o poezji się nie dyskutuje. Poezję się po prostu wyraża, pisząc wiersze” (A. Piskurz, „Bez słów”, „Akant”, nr 4/30, 2000), bo „Jaki jest koń, każdy widzi. Wszelako koń nie poezja. A ona sama najlepiej za siebie mówi” – stwierdza L. M. Jakób („Jaki jesteś, srebrny gwoździu?”, „Akant”, nr 4/30, 2000). Niewykluczone zatem, że „sens mają tylko pytania...” (G. Jakubowska-Fijałkowska, „Pytanie już padło”, „Akant” 2/28, 2000), które należy „mnożyć (...), niżli na nie odpowiadać” (L. M. Jakób, *ibidem*).

Względność i relatywizm z pewnością stanowią jedną z możliwych – na zasadzie paradoksu – form „odpowiedzi” na kluczowe pytanie dyskusji. Nie mniej wartościowe są jednakże próby konkretnego nazywania cech współczesnej poezji i określenia jej kondycji, co czyni większość autorów; z tychże zabiegów wyłania się szereg podziałów, z któ-

Dokończenie na str. 26





Dokończenie ze str. 25

rych najbardziej widoczna jest antynomia *młodzi*: starszy poeci (przy czym określenia te są użyte nie tylko w kontekście kategorii wiekowych, ale i jako swoiste „wyznaczniki” postawy, przyjętej wobec twórczości). Podział ten wzbudził wiele kontrowersji i sporów wśród biorących udział w dyskusji twórców. Obecny kształt liryki spotyka się z druzgocącą krytyką wielu autorów – przedstawicieli i zwolenników klasycznych już dziś wzorców i wartości. T. Agatowski pisze: „Współczesnie poetyka bardziej jest komunikatem prasowym z kolokwialnym językiem (stąd łatwość układania utworów), bardziej jest rejestrem pomysłu na utwór niż utworem. (...) Tak, jak droga od amatorskiego tekstu piosenkarskiego (plaga zespołów) do psalmów” („Przesyt”, „Akant”, nr 4/43, 2001). Oprócz tego zapanowały „pomieszanie informacji z reportażem, dialogu z monologiem, kolokwializmy i wyrazy obce, ogólny brak myśli, brak odkrywczosci, naśladownictwo” (T. Agatowski, „Jesteś słowobójstwem”, „Akant”, nr 5/31, 2000). Owej niemalże nieistnienie, język barwny to nie lakoniczny, harpagonowy, suchy i odprasowany z wyrażania uczuć (...), a kwietyzm to nie kwaciarnia z iznami”. Ci, którzy wychowali się na tradycyjnych wartościach, w poszanowaniu piękna i kultury języka, bez (obecnego dziś) cywilizacyjnego cynizmu, nihilizmu i „zblazowania” – tym mocniej „odczuwają” bolesny fakt rozprzestrzeniającej się epidemii „tekstów brudnych, złych, gorszących, chamskich, które znajdują możnych mecenasów dbających o ich edycję i kolportaż” (M. Hermaszewski, „O poezji i murze”, „Akant”, nr 6/32, 2000). Choć „trzeba mieć odwagę »tworzyć poezję« z wulgaryzmów, mając świadomość, że słowa są odzwierciedleniem duszy człowieka” – przyznaje B. Witucka („Pytania i odpowiedzi”, „Akant”, nr 7/33, 2000) i – choć mogą one czemuś służyć – to dla wielu osób pozostają po prostu rażącym, kaleczącym „tkanki wiersza” nadużyciem. Bezlitosna diagnoza „nowej twórczości” jest zarazem, rzecz jasna, osądem młodego pokolenia, któremu uczestnicy dyskusji nadają opisowe, charakteryzujące je nazwy, „osadzające” w określonym czasie i nurcie: „roczniki siedemdziesiąte” (J. Jakubowski), „pokolenie Jacka Podsiadły” (K. Grzechowiak), „młoda poezja” (K. Michałowski), „pokolenie »Brdionowcy«” (S. Chyczyński, J. Kałwak) lub „brulionowcy” (J. Jakubowski) (to ci „nieco starsi”). Niezwykle często jako przedstawiciel-symbol „młodej” twórczości lirycznej pojawia się M. Świetlicki; ten ostatni zresztą dla wielu autorów stał się synonimem złej poezji, dla której charakterystyczne są: „trywialno-kolokwialno-banalny język” (J. Jakubowski, „Roczniki siedemdziesiąte szukają sposobu”, „Akant”, nr 2/41, 2001), cynizm, szokowanie słowem i specyficzna, „czarno zabarwiona” poetyka przekazu. Najtrafniejszym zaś terminem dla określenia tej „najświeższej”, „najmłodszej liryki” jest chyba „martwa poezja”. Dlaczego? Bo jest „anorektyczna (...), a [młodzi poeci-warsztatowcy – przyp. N. Ś.] zamiast sztukmistrzami stają się amatorami sztuczek – poetyckiej zabawy w słowa” (J. Smalewski, „Mea culpa, popełniłem”, „Akant”, nr 5/57, 2002). „Młodzi opanowali (...) za to trudną sztukę pisania o niczym. Nie mają ideałów, nie buntują się, nie krytykują zastanego świata (...). (...) Ton, w który uderza dzisiejsza poezja, jest stłumiony, a sztuka powinna być przeciwieństwem różnicowana. (...) ogólny teren młodszych pokolenia to krajobraz, gdzie nie wydarzyła się bitwa” (podkr. – N. Ś.) – niezwykle celnie i „syntetycznie” puentuje K. Michałowski w artykule pt. „Dziwna sztuka pisania o niczym” („Akant”, nr 6/32, 2000). P. Skutecki dokonuje prostego, aczkolwiek przewrotnego porównania: „współczesna poezja jest dokładnie taka, jacy są współcześni poeci: niedorośli duchowo, niedookreśleni światopoglądowo, oszołomieni formą i narzędziami, z których nie potrafią jeszcze korzystać”. Autor nadał też swemu artykułowi znamienity tytuł „Kawior i pomije, z prze-

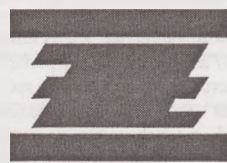
wagą pizzy”, dobitnie oddając swą opinię o poezji młodych („Akant”, nr 3/42, 2001)...

Krytyczna ocena współczesnego „pokolenia Jacka Podsiadły” u K. Grzechowiaka przerodziła się w manifest-oskarżenie. Rachunek, jaki wystawia autor, jest rozliczeniem owego pokolenia z szumnie zapowiadanych przez nie przewartościowań i nowatorskich poczyną: „Zaczęliście od palenia książek (...), nieuznawania hierarchii, lekceważenia tego, co dokonali poprzednicy. Ale bez skrupułów zwracaliście się do wstępów do swoich książek (...) do Starych Mistrzów. (...) Gdy »papier« tego ruchu, R. Tekieli, w telewizyjnym »Pegazie« stwierdził, że nie jest poetą ten, który nie wie, czym jest bit i komputer, to T. Jastrun i P. Matywiecki, siedzący obok, przyjmowali te głupstwa bez mrugnienia okiem (...). (...) Wasz głos był tylko zapowiedzią. Zmiana nie nastąpiła. Nie było żadnego przełomu! (...) Nie kaskaderzy literatury, tylko »średni literatkwie«” („Dekada w trumnie”, „Akant”, nr 12/51, 2001).

Oczywistym jest jednak, że współczesne nurty w poezji i ich przedstawiciele – mają zarówno zagorzałych przeciwników, jak i żarliwych obrońców. Argumenty pierwszej ze stron są bowiem także... obusieczne, czego dowodzi ironiczny tekst J. Uglika („Proszę Pana...”, „Akant”, nr 2/28, 2000), będący bezpośrednią odpowiedzią na osąd S. Chyczyńskiego pt. „Dlaczego nie czytam poezji” („Akant”, nr 11/24, 1999): „Ja takie wiersze piszę sentymentalne, ponadczasowe (...). (...) Nie to, co ten, no – Świetlicki albo jego kumpel Podsiadły; oni to, w gazecie czytałem, wartościom hołdują przemijającym, modzie hołdują, proszę Pana! Ja nie, tylko uniwersalnym wartościom. No i czemu ich drukują, a mnie nie chcą, co? (...) To nie ja przejdę dalej, ale Świetlicki ze swoimi kolegami, ci poeci ponowoczesni, ci...”. Słowa to niezwykle cenne, bo „wylewające” na wszystkich oburzonych „bojowników” „kubel lodowatej wody”: przecież krytyka nierzadko może być podyktowana zazdrością lub rozgoryczeniem, nie przyjmowanie nowych formuł liryki – konserwatyżmem, czy wręcz hipokryzją, zaś negacja wartości i sensów treściowych – brakiem zrozumienia. Wbrew głoszonemu przez tradycjonalistów poglądom – M. Świetlicki, zwany przez nich „antycydebransem sztuki” (określ. R. Ślepowron – Byrskiej, recenzja tomiku wierszy M. Świetlickiego, „Świetlicki jak buldożer”, „Akant”, 8/47, 2001) i „znakiem antypoezji młodych” (z R. Ślepowron – Byrską bezpośrednio polemizuje – w ramach dyskusji – M. Bury artykułem „Celebrans antyszuki?”, „Akant”, nr 11/50, 2001) – dokonuje „quasi-rozliczenia ze swoją generacją” (A. Majewski, „Dramatyczna postawa wobec przełomu”, „Akant”, nr 9/61, 2002), a jego „ogród koncentracyjny” „pozostanie na długo jako metafora posta-

wy całego tego pokolenia. (...) Świetlicki podważa z jednej strony rangę martyrologii narodowej (...). Z drugiej powątpiewa w możliwości kreacji tych, którzy gotowi są uważać, że nie ma żadnego znaczenia to cierpienie, którego doświadczyła ludzkość (...). (...) ucieka z grajdołu, w którym łatwizna jest kluczem do sukcesu, w którym nadużywa się sacrum. Mógł uciec do MTV, zwiat do Radiostacji, a to już jest jakaś różnica!” (J. Kałwak, „Tysiąc wierszy i nic”, „Akant”, nr 11/63, 2002). Faktem jest, że niezależnie od „zachmięć i oburzeń” obrońców tradycji i od skali jej profanacji – o egzystencji i sławie danego poety decydują czytelnicy – a ci wolą czytać o tym, co bezpośrednio wiąże się z ich doświadczeniami, mentalnością i postrzeganiem świata (por.: R. Ślepowron-Byrská, „Przed wszystkim czytelnik”, „Akant”, nr 8/47, 2001).

Pomiędzy tymi dwoma skrajnymi postawami, jakie wyodrębniły się w toku dyskusji, jest jeszcze trzecia, bodajże najrozsądniejsza. Prezentuje ją (obok np. S. Dłuskiego, A. Wiśniewskiej, S. Stanika, A. Nagórskiej) K. Obiół, który pisze: „Lubię poezję tzw. tradycyjną za jej muzykę. (...) Lubię również tzw. poezję nowoczesną. Należy pamiętać, że obydwie mają prawo do istnienia i prawo do miłości ludzkiej” („Turniej odbiorców”, „Akant”, 12/51, 2001). Taka „postawa środka” – to przejaw tolerancji. Liczy się wszak to, czy wiersz „trafia w duszę” – nie zaś jego środki wyrazu i czas powstania. Warto tutaj – za T. Olewczyńską („O poezji nie tylko współczesnej”, „Akant”, 12/51, 2001) – przytoczyć pełne zyczenia słowa T. Różewicza: „poetą może być ktoś: kto ma lat 8, 80 i 800...”. Kwestia postawy, przyjmowanej wobec „poezji młodych”, jest zresztą również (podobnie, jak w omawianej wcześniej problematyce precyzowania definicji poezji współczesnej) związana z relatywizmem czasu. Na tę istotną kwestię zwraca uwagę B. Budzińska pisząc: „współistnieje obecnie kilka pokoleń twórców (...). Którzy z nich pozostawiają po sobie ślad, wpływ na znaczący sposób na obraz sztuki końca XX wieku, nie wypowiedział się dotąd jednoznacznie żaden z krytyków. Więcej, nie mamy autorytetu, któremu zawierzylibyśmy, gdyby takiej klasyfikacji dokonał” („Koniczność przetrwania na przelomie”, „Akant”, nr 11/24, 1999). Nie należy również zapominać, że każdy, najwybitniejszy nawet poeta – był niegdyś „literackim żółtodziobem”. Młodym twórcom należy dać prawo do poszukiwań form i treści; zwłaszcza, iż „zbieranie egzystencjalnych doświadczeń jest »wartością samą w sobie«” (M. Skoneczna, „Zero do jednego dla Kresowatego”, „Akant”, nr 9/61, 2002). Egocentryzm i subiektywizm, tak bardzo widoczne w utworach „pokolenia internetu”, niekoniecznie muszą prowadzić „donikąd”. „Już nawet nie można sobie pozwo-



## ŻEGLUGA BYDGOSKA SPÓŁKA AKCYJNA

85-758 Bydgoszcz, ul. Przemysłowa 8  
e-mail: przewozy-krajowe@zegluga-bydgoska.com.pl  
tel. kontaktowe: 0 52 323 32 31, 333 32 32  
tel. kom. 0 603 23 77 91

Żegluga Bydgoska Spółka Akcyjna oferuje Państwu rejsy wycieczkowe na zbudowanym na początku ubiegłego wieku statku m/s BYDGOSZCZ. Proponujemy rejsy po Brdzie i nie tylko po niej. W ten sposób pragniemy przedstawić mieszkańcom Pomorza i Kujaw oraz wszystkim turystom odwiedzającym nasz region atrakcyjne krajobrazowo kompleksy przyrody, a także zaproponować miłe spędzenie wolnego czasu.

PRZEDSIĘBIORSTWO  
FAIR PLAY





lić na egotyczny erotyk (ciekawe, co by na to powiedziała H. Poświatowska?)” – pisze M. Skoneczna (ibidem) przypominając tym samym, że wiele poetyckich arcydzieł to właśnie autotematyczne, osobiste monologi liryczne.

Z dotychczasowego podsumowania wypowiedzi różnych autorów wynika, iż dyskusja oscyluje nieustannie wokół pojęcia „czasu”, wywołanego niejako przez użycie związanego z nim terminu: „współczesna poezja”. Linearność, uniwersalizm, relatywizm i antynomia młodzi: starzy – wszystkie te atrybuty ukazano zatem jako sposoby oddania istoty wartościowej liryki. Pojawia się tu również odwieczny problem sławy wiodącej ku nieśmiertelności poety. Czy jest to możliwe, czy też jest li tylko romantycznym mitem? Czy raczej miał Horacy w swym „*Exegi monumentum...*”? Cóż, „nie ma nic lepszego nad dobrze dobraną śmierć, najlepiej noszącą wszelkie znamiona tragizmu, jeszcze lepiej, gdy samobójczą!” – ironizuje R. Wiśniewski w „*Liście otwartym do braci i sióstr poetów młodego pokolenia*” („Akant”, nr 5/44, 2001) negując tym samym wartość utworów legendarnych „kaskaderów literatury” (z czym, co oczywiste, niekoniecznie trzeba się zgodzić). „Dlaczego poezja ma być substytutem czasu? Jakąś zabijającą śmiertelność odrutką? Kompensowaniem braków?” – pyta M. Skoneczna („Zero do jednego dla Kresowatego”, „Akant”, nr 9/61, 2002). Okazuje się, że dla wielu poetów – zwłaszcza dla tych z „nowego pokolenia” – liczy się „tu i teraz”, byt w teraźniejszości wyrażony za pomocą wiersza, „oddech poetycki” czerpany z doraźnych, subiektywnych przeżyć. Inaczej wygląda w tym kontekście postawa poetów starszych i doświadczonych, którzy starali się uczyć od mistrzów i od... czasu, w którym przyszło im żyć. „*Gałczyński nauczył mnie bajecznie kolorowego obrazu, dwaj lubelscy awangardysty [J. Pieśniarowicz i J. Czechowicz – przyp. N. Ś.] uroku dźwiękonaśladowictwa i wiersza wolnego*” – wspomina T. Chrościelewski w „*Spowiedzi starucha wieku*” („Akant”, nr 6/58, 2002). W. Ciesielski za „punkt wyjścia” do opisu poetyckiej panoramy i swojej drogi literackiej (choć tytuł jego artykułu – „*Nowy wiek, nowe tysiąclecie*” – „Akant”, nr 5/57, 2002 – wydawać by się mógł antytezą omówionego wcześniej artykułu T. Chrościelewskiego) obiera historię literatury XX wieku, przede wszystkim zaś koniec II wojny światowej oraz poezję po 1945 r.

Oprócz sentymentalnych wędrowek w przeszłość, czerpania z klasycznych wzorców, bądź też ostrej z nimi polemiki – w dyskusji widać „*tchnienie przyszłości*”. Cywilizacja i wysoko rozwinięta technika zaczęły odciskać bardzo wyraźne piętno również i na dzisiejszej poezji. A. Kaliszewski w artykule pod znamennym tytułem „*www. poezja. com*” („Akant”, nr 1/27, 2000) dokonuje nawet dramatycznego zabiegu transformacji kluczowego pytania dyskusji: „*A skąd ja mam wiedzieć, jaka ty jesteś naprawdę, nieszczęsna poezjo? I gdzie ty jesteś?*”. I odpowiada sobie: „*poezja uciekła na infostradę, może żyje sobie całkiem dobrze w labiryncie Internetu, bo skoro tam może się pomieścić każdy absurd, kicz, obłęd, skoro jest tam cały śmietnik świata – czemu nie poezja współczesna?* (...) *Stron poświęconych w całości współczesnej, w miarę młodej liryce polskiej jest niepokojąco niewiele na tle innych*”. Do tych ostatnich słów dodać można wypowiedź Ł. Stodnickiego podczas „*Rozmowy o Internecie*” z T. Kościkiewiczem („Akant”, nr 7/46, 2001): „*możliwość publikacji, jaką daje Internet, jest zresztą (...) największym nieszczęściem młodych poetów – mają szansę wypowiedzieć przed całym światem słowa, których już nie zdołają cofnąć osiągnięwszy swoją dojrzałość*”. Internet stał się „*znakiem wieku*”. Co zatem czeka poezję w zindustrializowanym świecie? R. Slepownon - Byrska („*Przed wszystkim czytelnik*”, „Akant”, nr 8/47, 2001) tworzy prognozę apokaliptyczną: „*zalamie się rynek księgarski, znikną hurtownie i domy książki, wieczorki autorskie staną się historią, a czytelnictwo przetrwa tylko w formie internetowej* (...) *Tradycyjna książka wyjdzie z powszechnego użycia. Przetrawa wyłącznie w najbardziej konserwatywnych antykwariatach. Trudno powiedzieć dzisiaj, co stanie się z poezją w wirtual-*

nym świecie. Może zostanie wyrugowana przez nowe, jeszcze nie znane, interaktywne kreacje paraliterackie?”. Mimo wszystko prognoza taka wydaje się równie straszna, co odległa i nieprawdopodobna... O wiele bardziej jest się skłonny wierzyć hipotezie D. Muszera (J. Pless, „*Poezji nie można zgrillować*”, „Akant”, nr 8/34, 2000): „*Poezja to jedyna forma wypowiedzi literackiej, która ma przyszłość* (...) *W nadchodzących czasach unifikacji, internetu i społeczeństwa informacyjnych poezja będzie jedyną możliwością wyrażenia indywidualnych myśli i potrzeb. Będzie mniej poetów, lecz ci, którzy przetrwają, pójdą w głąb siebie*; przecież „*poezja posiada w sobie biologiczną wręcz moc przetrwania, jako że jest immanentnym komponentem gatunku ludzkiego*” – pisze S. Pastuszewski („*Gnijące pomarańcze*”, „Akant”, nr 8/60, 2002).

Obraz „*Akantowej*” dyskusji byłby ubogi, gdyby nie przedstawił konkretnych zarzutów rozmaitych autorów pod adresem tzw. rynku literackiego, na którym obserwujemy „*syndrom wody stojącej*” (określił A. Dorobka – „*O bezsensie pisania wierszy, estetyce postmodernistycznej i jej raczej przyziemnych uwarunkowaniach*”, „Akant”, nr 3/42, 2001). Niezwykle często omawia się problem komercji i tzw. „*ku-moterstwa*”. „*Proponuję (...) odróżnić określenie «najbardziej prestiżowe» od określenia najbardziej «dochodowe» (...). Nazywania rzeczy po imieniu unika się jak ognia*” – demaskuje współczesne kriteria literacko-wydawnicze A. Nagórska („*Dziwię się, że w ogóle są jeszcze czytelnicy...*”, „Akant”, nr 10/23, 1999). Wtórkuje jej – między innymi – S. Chyczyński w artykule „*Wencel i «zakolesione» pisma*” („Akant”, nr 4/43, 2001): „*«Zakolesione» pisma (...) są świetnymi narzędziami agresji, skierowanej przeciwko autorom wyrażającym niepożądane (nieprawomyślne!) opinie. Miejmy nadzieję, iż nie są to jeszcze narodziny terroryzmu krytyczno-literackiego*”.

Kolejną z charakterystycznych, negatywnych, niestety, cech współczesnej poezji, jest właśnie owo „*spapkawienie*” – proces „*ery Internetu*”: „*potok słów, obrazów z pogranicza filmowo-telewizyjno-reklamowego* (...) *Samowielbienie, samogwałt językowy, samostanowienie*” (R. Senski, „*Na kanwie zza węgła*”, „Akant”, nr 7/33, 2000). Całość ocenił krótko K. Krejckant - Ożarski („*Różnorodność*”, „Akant”, nr 8/34, 2002): „*trochę udanych wierszy i zadowolona z siebie p r z e c i ę t n o ś ć. I «bicie piany» wokół «tych kilku, co to świat uznał»...*”. Wielu autorów dokonuje nawet zabiegu konkretnego nazwania i wypunktowania „*grzechów głównych*” dzisiejszej twórczości lirycznej. W. Mikulski podaje jej dwa antagonizujące przymioty: otóż jest ona jednocześnie „*Poszukiwana - gdyż bez niej praktycznie nie odbywa się żadna poważniejsza uroczystość (...). Poezję cytuje się tu i ówdzie*” i „*Lekceważona - gdyż nie stwarza się jej powszechnie warunków, aby stała się strawą duchową wielu*” („*Poszukiwana i lekceważona*”, „Akant”, nr 13/54, 2001). D. D. Lisiecka trafnie wylicza z kolei trzy znamienne zjawiska, występujące we współczesnej poezji: „*doraźność*” – „*wiersze te na spotkaniach po mistrzowsku odczytują poeci - show-mani i wtedy robią one na słuchających wrażenie (...). Wylaniają się z towarzyskiej piany, wiersze te znikają szybko i bez śladu*”; „*ptyność*” – „*pojawiają się liczne twory amorficzne, zasadzone na strzępie frazy lub jednym słowie, swoiste nie-do-wiersze lub rozbuchane, wielosłowne (...). nad-wiersze*”; „*nieobecność*” – „*Poezja współczesna zdaje się istnieć i spełniać w drugim, a nawet trzecim obiegu. Jej materialne przejawy w postaci książek przywożę (...) z festiwalów i spotkań toczących się na obrzeżach centrum lub wręcz na prowincji*” („*Doraźność, ptyność, nieobecność*”, „Akant”, nr 3/55, 2002).

A. Nagórska opisuje równie istotny, acz nie dostrzegany, problem mylnego pojmowania poezji; otóż w obrębie dyskusji w większości wypowiedzi dominują „*dwie tendencje myślowe*: 1) koturnowy idealizm i 2) jawowy formalizm. Ku opcji pierwszej skłaniają się ci wszyscy, którzy chcą w poezji widzieć «oazę piękną, wyciszenia, ponadczasowych wartości, wiekiuistych kanonów» itp. (...) przedstawiciele opcji drugiej najłatwiej poznać po pytaniu (...): «*Jaki pan(i) ma program?*»” („*Mrówkowirówka*”, „Akant”, nr 3/29, 2000). Wielu

autorom przydałoby się trochę pokory. W końcu „*Nie wymyślamy niczego nowego. Wciąż jest to człowiek, życie. A więc i miłość, nienawiść, rozpacz, łzy, radość, przemijanie... Ubieramy w słowa to, co inni przed nami próbowali. My tylko robimy to «po swojemu»*” (A. Wiśniewska, „*Piszemy «po swojemu»*”, „Akant”, nr 13/26, 1999).

Ten stan współczesnej poezji podkreśla wielu autorów (m. in. A. Kowalski, J. Kamiński) poprzez „*umiejszczenie*” jej „*na rozdrożu*” jako zagubioną w chaosie XXI wieku w opozycji do optymistów, twierdzących, że „*dzisiejsza poezja jest na bardzo wysokim poziomie. Ma bogatą skarbnicę tradycji i chyba nigdy nie znajdowała się na takim szczyście artystycznym*” (M. Kosmala, „*U szczytu*”, „Akant”, nr 2/54, 2002).

O kondycji bytu społecznego współczesnej liryki decydują jednak nie tylko „*czynniki wewnętrzne*” (tj. głównie treść i forma przekazu). Równie istotna – o czym często się zapomina – jest relacja poeta : czytelnik, bo przecież „*tak naprawdę to odbiorca decyduje, czy kupi daną książkę, czy nie, jeżeli uzna zawarty w niej tekst za zgodny ze swoimi oczekiwaniami*” (T. Kościkiewicz, „*Poeta – odbiorca – krytyk – maczuga*”, „Akant”, nr 4/43, 2001). Więcej – to czytelnik czyni wiersz żywym, przy czym „*to, co się podoba czytelnikowi, nie zawsze uznawane jest przez krytykę i odwrótnie*” (A. Wiśniewska, „*Piszemy «po swojemu»*”, „Akant”, nr 13/26, 1999). Tymczasem – co podkreśla J. Orlikowski („*Dopelnienie*”, „Akant”, nr 10/49, 2001) – „*we współczesnej poezji polskiej mamy częstokroć scenariusz najbardziej przykry, relację: przedmiot – przedmiot. Ja – przedmiot, ty – przedmiot. Brak szacunku dla siebie i czytelnika*”. Na szczęście w dyskusji słychać i głosy (nieliczne wprawdzie) tych, którzy doniosłość i znaczenie owej relacji dostrzegają. K. Obłój w znamienne zatytułowanym artykule „*Kierunek: odbiorcy*” („Akant”, nr 9/35, 2000) proponuje nawet w ramach walki z kulturą masową i destrukcją sztuki zorganizowanie powszechnych Turniejów Odbiorców Poezji, w których nie-poeci tworzyliby osobiste impresje na temat utworów poetyckich. A. Nagórska podjęła się natomiast dokonania swoistej klasyfikacji czytelników na, charakteryzując ich postawę, kategorie: „*czytelnik-poszukiwacz*”, „*czytelnik-chorągiewka*” („*jest niewolnikiem zmiennych mód*”) i „*czytelnik-odtworczak*” (to z kolei niewolnik „*własnego snobizmu*”), przy czym ten ostatni „*jest najgorszym rodzajem czytelnika, bo nigdy nie myśli sam*” („*Trudy i miękki czytelnika-poszukiwacza*”, „Akant”, nr 11/37, 2000). M. Jastrząb próbuje nawet iść dalej – jako literacki twórca, lecz zidentyfikowany z kręgiem odbiorców – odpowiedzieć na pytanie: „*Jaki jesteś, współczesny czytelniku?*”. „*Przyszłowiowy Kowalski pragnie dzieł na miarę swoich czasów, chce poznać ich pisarską diagnozę, żyć z sympatią dla swojego odbicia w lustrze, a nie płatać się po przygnębiającym «tu i teraz»*” (...) dzisiejszy czytelnik poezji poszukuje tego, czego w tym świecie mnogości i mnożenia nie znajduje, a więc mądrości, dobra, piękna („*Trzeba postuchać Czytelnika*”, „Akant”, nr 2/28, 2000).

Jaka jeszcze jest współczesna poezja? Niestety, uzależniona od najróżniejszych stereotypów. Jeden z nich to dwa „*czarno-białe*” schematy literackich ocen: „*generalne pastwienie się nad twórcami i model krytyki negatywnej, udawadniającej poecie za wszelką cenę, że jest głupkiem*” (...) natomiast jeżeli w prasie pojawi się omówienie o zabarwieniu pozytywnym, natychmiast pojawia się pytanie: „*Ciekawe, ile wzięł?*” (T. Kościkiewicz, „*Poeta – odbiorca – krytyk – maczuga*”, „Akant”, nr 4/43, 2001). Jeszcze bardziej zatrażającą, smutną „*tradycją*” na arenie polskiej liryki jest krytykowanie i wyśmiewanie (częstokroć poddyktowane prozaiczną, przyziemną... zazdrością!) tych poetów, którzy znaleźli się już w naszym „*poetyckim panteonie*”, niczym „*kapliczki*”, do których „*rusza się z procesją*” (T. Kościkiewicz, ibidem). Zjawisko owo trafnie i mądrze podsumował wyżej wspomniany autor (ibidem): „*Jaki to ma związek z sytuacją polskiej poezji? Czy Rosjanie otaczający kul-*

Dokończenie na str. 28





Dokończenie ze str. 27

tem Wysockiego i Okudźawę to zgrają kmiotków otumanionych siwuchą? Czy (...) Francuzi, dla których Artur Rimbaud, Guillaume Apollinaire (...) to postaci kultowe, są zgrają nieświadomych swojej głupoty troglodytów? Żle wróżę takiemu narodowi, który pluje na swoją literaturę. Przerabialiśmy już kiedyś wariant z pawiem i papugą". Wynika z tego, że „czas najwyższy rozkuć nasze myślenie o poezji z kajdan zwietrzałych, uświęconych szkolną tradycją stereotypów”, „ostatniego półwiecza” (A. Dorobek, „Za oknem (poezji) ani widu idei”, „Akant”, nr 2/44, 2001) zadając sobie równocześnie sprawę z konsekwencji namiętnego krytykowania uznanych poetów, „dla zasady”, bez poszanowania literackiej schedy. Być może negacja taka wynika również z podświadomych kompleksów, a głosy „tak zwanych gładzących, malkontentów [to głosy] (...) tych wszystkich, którzy z różnych względów uważają, iż nasza kultura, literatura – to zaścianek. (...) A nasi Nobliści? Obojętnie, jakie mamy oceny poezji Miłosa czy Szymborskiej – Nobel świadczy jednak o czymś” – pisze w artykule-apelu „Wielkość i godność poezji polskiej” Z. Łączkowski („Akant”, nr 4/56, 2002). Stereotyp Polski jako tej „biedniejszej, gorszej siostry” innych krajów, przenoszący się także i na treści poetyckie, jednocześnie – co niezwykle – ma w świadomości większości Polaków biegun przeciwny: mit romantycznego „Mesjasza narodów”, co „cierpi za Milijon” bez uśmiechu, dystansu do siebie, w sztywnym „uniformie” utartych schematów; „powszechny pesymizm i czarnowidztwo, ogólne cierpienie (...) i niewąsko naginany hamletyzm (...) stanowią część naszych niewątpliwie frapujących cech narodowych” (R. Lipski, „Poeta cierpi za miliony – starych złotych...”, „Akant”, nr 6/32, 2000). Nie dajmy się jednak „ponieść” tym „narodowym cechom”, „odmalowując portret” polskiej poezji współczesnej. Jakże pozytywnie – na tle kultury i mentalności ludzi Zachodu – postrzega nas chociażby od wielu lat żyjący za granicą rodak, D. Muszer: „Polska jest bezsprzecznie krainą poezji. Nawet wyciągi z konta, nawet rachunki u rzeźnika są tam poezją: metafora goni metaforę, co innego się mówi, a jeszcze co innego robi. Wydaje się tam tak wiele pism literackich, drukuje tyle tomików literackich, że tylko pozazdrościć” (J. Pless, „Poezji nie można zgrillować”, „Akant”, nr 8/34, 2000), równie pochlebną opinię o polskiej liryce wyraża m. in. A. Nagórka w artykule „Tym razem pełny optymizm” („Akant”, nr 3/55, 2002).

Różnorodność relacji poeta : czytelnik wiąże się także z kwestią elitarności poezji. Uczestnicy dyskusji i na ten temat mają rozbieżne opinie. R. Wiśniewski („List prowincjała II”, „Akant”, nr 5/31, 2000) stawia pytanie: „dla kogo ma być poezja?” i odpowiada: „Nie ulega wątpliwości, że jest i zostanie dziedziną elitarną. Tylko (...) czy jeżeli wiersz jest czytelnym (...) dla kilkunastu osób, to znaczy, że mamy do czynienia z geniuszem, który za wysokich jest lotów na nasze mózdziki?”. Takie ujęcie tego zagadnienia stało się „hasłem wywoławczym” dla innych autorów: M. Bourkane kwituje ów problem już samym tytułem: „Poezja dla niewielu” („Akant”, nr 13/52, 2001) i pisze: „Należy wreszcie powiedzieć dobitnie i bez silenia się na fałszywy egalitaryzm: nie każdy może czytać poezję, dlatego chociażby, że nie każdy jest do tego umysłowo i emocjonalnie predystynowany. (...) Kiedy (...) Tadeusz Peiper sformułował swój program »tworzenia dla dwunastu«, podniósł się powszechny krzyk oburzenia. Dlaczego? Bo oto ktoś odważył się stwierdzić, że nie o liczbę czytelników idzie, ale o jakość samego odbioru”. „Kastowość” poezji wynika zresztą także i z konieczności merytorycznego przygotowania – chociażby w minimalnym stopniu – samego nadawcy-poety; wielu twórców hołduje na przykład klasycznym wzorcom „decorum”, „imitatio”, „emulgatio” i prostoty, więcej – dla niektórych „twórczość bez bazy teoretycznej jest niemożliwa” (A. Przybyszewska, „Furor poeticus”, „Akant”, nr 12/51, 2001). S. Truchan, polemizując z M. Bourkane („Wrażliwość na brzmienie i sens”, „Akant”, nr 6/58, 2002), wyraża z kolei opinię odmienną pisząc, iż od poezji oczekuje „uwiedzenia i oślnienia. (...) to chyba wyjaśnia,

dłaczego z całej spuścizny Herberta najbardziej cenię »Tren Fortynbrasa«, a nie np. »Pana Cogito«. Dlaczego łatwiej znajduję coś dla siebie u księdza Twardowskiego niż u Miłosa...”. Słowa te nie brzmią jednak w pełni przekonująco zważywszy na fakt, że wspomniany „Tren Fortynbrasa” wymaga znajomości kontekstu literackiego (Szekspir), co, rzecz jasna, już samo w sobie jest pewnym wyznacznikiem i dowodem na elitarność poezji. To zaś, że na przykład ks. J. Twardowski pisze językiem przystępnym, zaś Cz. Miłosz – wymagającym erudycji, nie ujmuje wartości ani pierwszemu, ani drugiemu z nich; odbiór ich dzieł zależy od „poziomu mentalności” i gustu, a to już „zupełnie inna historia”... Odmienną „linię obrony” tezy o „populizmie” liryki przyjął T. Chrościelewski („Spowiedź starucha wieku”, cz. 1, „Akant”, nr 5/57, 2002) „Poezja (...) nie tyle dzieli się na elitarną i nieelitarną, co na dobrą, złą i nijaką”.

Wyjątkowość i kunszt sztuki poetyckiej są wyznaczone również przez samą jej formę, układ wersyfikacyjny, rytm i wzorce. Jednym z wskazujących na to artykułów w dyskusji jest tekst L. Łęgowskiego „O pięknie języka” („Akant”, nr 4/30, 2000), w którym autor pisze: „osobliwie najbardziej cenię sobie wiersze sylabotoniczne, melodyjne, wrażliwe na piękno i dobro, takie, które prowadzą w głąb...”. Przy tej okazji stawia on sobie niezmiernie istotne pytanie: „komu i czemu powinna ona [poezja – przyp. – N. Ś.] służyć?”. Na formalną i erudycyjną stronę wiersza w jeszcze większym stopniu zwraca uwagę M. Piotrowska („Najwyższy czas”, „Akant”, nr 1/57, 2000): „»Poeta« nie posiadający i nie praktykujący wiedzy muzycznej (...) tworzy jedynie szkic lub prozę poetycką, która jest iluzją wiersza dzięki graficznemu podziałowi na wersy. (...) Porządek logiczny, konsekwencja obrazowania, a także odwołanie się do tradycji polskiej i europejskiej kultury kanonów poetyckich uważam za drogowskaz”. Zagadnienie form wiersza szczegółowo opisał też S. Pastuszewski („Werslibr wyczerpał się”, „Akant”, nr 1/27, 2000) stwierdziwszy, iż werslibr (wiersz biały) utracił już rację bytu, obecnie prowadząc głównie do „mechanicznych zabaw ze słowem”. W zestawieniu z nim świeży i nowatorski staje się... wiersz klasyczny, rymowany, tak długo będący w niełasce. C. Tajer w swym literacko-filozoficznym artykule „Czuję, więc jestem” („Akant”, nr 3/42, 2001) przypomina zaś: „Na przestrzeni minionego wieku najgroźniejsza dla sztuki była próba pozbycia się formy jako przejaw ostatniego aktu wyzwolenia spod rzekomych ograniczeń narzucanych trzęsion przez formę. W efekcie tego eksperymentu niektórzy ogłosili nawet śmierć sztuki”. I w tym aspekcie dyskusji najbardziej wyważona wydaje się „postawa akceptacji”, reprezentowana przez B. Budzińską („W poszukiwaniu miary”, „Akant”, nr 9/35, 2000) czy też W. Borosa, który pisze: „Mija się z celem ogłaszanie śmierci »werslibru« (S. Pastuszewski), czy też chwytliwe głoszenie śmierci wiersza klasycznego. Brzydko mówiąc: dobrze »zrobiony« kawalek przetrwa bez względu na tymczasową kaniunkturę” („Sito własnej duszy”, „Akant”, nr 5/31, 2000).

Ostatnim z zagadnień, jakie pojawiło się w toku dyskusji, są klasyfikacje dokonywane przez wielu autorów ze względu na miejsce, autora lub przesłanie wiersza. Pierwsza z wyżej wymienionych kategorii implikuje podział na „poezję dużych miast” i „poezję prowincjonalną” (bez pejoratywnego wydźwięku tego ostatniego sformułowania), przy czym większość piszących o tym autorów – m.in.: T. Kościelnicz, B. Budzińska, A. Wiśniewska i R. Wiśniewski – ubolewa nad samym istnieniem tego „rozdźwięku”, a po dokonaniu porównania wydaje „werdykt”: „prowincja żyje” (R. Wiśniewski, „Słoń a poezja. List prowincjała”, „Akant” 1/27, 2000). Może zatem wypadałoby „ten rys prowincjonalny, regionalny uwzględnić. (...) bez jego uwzględnienia będziemy błędzić. Cały czas ktoś będzie chwytł słonia – to za ucho, to za trąbę” (ibidem).

Egzystencja wiersza i sposoby jej realizacji są także bezpośrednim „skutkiem”, „przyczyną” – osoby poety. S. Pastuszewski artykułem „Czy można zejść z ambony?” („Akant”, nr 11/50, 2001) zapytał o ów „skutek” w przypadku twórcy-księdza, wprowadzając tym samym podział na poezję świecką i duchowną. Pisze on: „kapłan to służa, wręcz funkcjonariusz Kościoła i w żaden sposób myśli jego nie mogą być »własną drogą«, buntować się, kreować »nowe światy«, czego oczywiście oczekuje się od prawdziwego poety. (...) nie może mieć w sobie dwóch osób: dogmatycznej i wątpliwej”. Autor nie usiłuje jednak zaprzeczyć, że są księża, którym się „udało” (np. bp. I. Krasiczy czy ks. J. Twardowski), a w dużej mierze pomogło im w tym pozbycie się „karnodziejskiego języka”. Podobną opinię wyraża przy okazji recenzji tomiku wierszy ks. K. Kozłowskiego („Z ambony”, „Akant”, nr 1/53, 2002) – J. Orlikowski. „Poezja duchownych” niewątpliwie jest jednym z charakteryzujących lirykę współczesną zjawisk (ze względu na rozmiar, jakie przybiera), cechującą ją specyficzną poetyką i światopogląd zakreślony chrześcijańskimi dogmatami, co z pewnością budzić może mieszane uczucia co do jej autentyczności i „wewnętrznej obiektywizmu”. B. Wiśniewska (polemizując ze S. Pastuszewskim) pisze jednak, że Bóg „Ustanowił Dekalog dla człowieka – dla lekarza, nauczyciela, polityka i... kapłana. I wymaga posłuszeństwa, wiary, dobroci nie tylko od tego ostatniego. Wymaga miłości od człowieka, który jest tylko człowiekiem” („Ile dróg do Ciebie, ile myśli, Panie...”, „Akant”, nr 13/52, 2001). Ten problem zbiera zatem również (tak, jak miało to miejsce przy okazji omawianych na początku prób zdefiniowania poezji) do sformułowania swoistego „dekalogu poetyckiego”, z tym, że z uwzględnieniem kontekstu religijnego. „Poezja chrześcijańska jest wierna Bogu i musi być jak On zakochana w świecie stworzonym, widzialnym (...), zwłaszcza w człowieku (...). Dlatego poeta musi widzieć cielesność, musi być bratem wśród braci i siostr, człowiekiem wśród ludzi. Myślę, że duchowni poeci w Polsce (...) mają oprócz idei-materii – wypracowaną formę poetycką” – pisze ks. J. Pomini („Rzecz o »Pegazie«”, „Akant” 7/46, 2001). Tego rodzaju twórczości nie musi zatem cechować stronniczość lub duchowe rozdarcie w tym sensie, że „każdy trudzący się »rzeźbieniem« w słowie zdany jest nie tylko na pojemność własnej wyobraźni, a jeszcze na tzw. »iskrę Bożą«, różnie pojmowaną, aby z mniejszym lub większym powodzeniem wyrażać ludzkie dobro i zło” (J. Hłond, „Głosy i przyczynki”, „Akant”, 3/42, 2001). Bunt artysty i pełna gama „antynomii duszy”, przydające poezji dramatyzmu i „smaczku”, są jednak z pewnością mniej obecne w kapłańskich utworach.

Ostatnia z kategorii podziałów poezji współczesnej jest związana z treściami ekologicznymi. Ochrona przyrody, przyznanie zwierzętom uczuć, „Ruch Zielonych” i „powrót do natury” to zabiegi i zjawiska, które na dobrą sprawę zaczęły się dopiero w II połowie XX wieku. Literatura na ten temat jest jeszcze młodsza, a zatem „ekologizm” niewątpliwie stanowi jedną z cech charakterystycznych dla poezji współczesnej, ściślej mówiąc: *novum* polega na wytworzeniu się osobnego nurtu „liryki o przyrodzie”. Stąd pojawiające się w dyskusji głosy J. Stróżykiewicz („Pahuki z poezją w tle”, „Akant”, nr 5/57, 2002),

## INSTYTUT WYDAWNICZY

### „Świadectwo”

świadczy usługi w zakresie edycji i kolportażu:

- ♦ książki
- ♦ broszur
- ♦ czasopism
- ♦ prospektów i ulotek
- ♦ plakatów

85-009 Bydgoszcz, ul. Dworcowa 51B/4  
tel. (052) 321 33 71, fax (052) 371 40 90  
e-mail: akant@akant.telninet.pl





J. Drajek („Nie wszystko rozumem...”, „Akant”, nr 5/57, 2002), czy też R. Drobysza, pytającego: „Czy można być poetą ekologicznym?”, „Akant”, nr 4/43, 2001). Ten ostatni zwraca uwagę na nowatorstwo poezji ekologicznej i na malujące się przed nią „w jasnych barwach” możliwości: „Poezja ekologiczna umiejętnie wyważa drzwi sztuki poprzez awangardowe podejście do formy oraz języka wiersza, i otwiera je w umyśle czytelnika niebanalną treścią. (...) poszukiwania liryczne prowadzone są równoległe na płaszczyznach – filologicznej i poetyckiej”. Ponadto – co podkreśla J. Drajek – ten właśnie rodzaj lyryki wyzwala w twórcy to, co najlepsze, stając się Nauczycielką i Ocaleciem, drogą ratunku przed zagubieniem w cywilizacyjnym chaosie XXI wieku: „Wszak w przeciwieństwie do człowieka przyroda jest zawsze optymistyczna. (...) Róbmy to samo. Uratujemy siebie i przyrodę”.

Zagadnienie wrażliwości, jakiej ten rodzaj poezji wymaga zarówno od poety, jak i od czytelnika, „obejmuje” zresztą całokształt „krajiny lyryki”. Przewaga racjonalnego rozumu nad uczuciem stanowi przeszkodę w procesie pełnego, konstruktywnego odbioru wiersza, który „uzależniony jest od nastroju, wiedzy, dyspozycji w danym momencie (...). (...) do jądra wiersza możemy dotrzeć intuicyjnie, odczuć, a nie zrozumieć” (W. Ciesielski, „Poetycki kalejdoskop”, „Akant”, nr 5/57, 2002). To dlatego o sukcesie pewnych utworów decyduje fakt, że „mają większą »siłę przebiecia«, są lepsze w konstrukcji, bardziej nośne w temacie, ciekawsze w treści, wyrażają pełniej pragnienia pewnego pokolenia, trafiają ogólnym wydziwkiem celniej w epokę, itd.” (S. Stanik, „Mechanizmy, jakie są”, „Akant”, nr 1/40, 2001). Krótko, a dobitnie rzecząc ujmując: „z poezją prawdziwą mamy do czynienia wtedy, gdy ona do nas przemawia” (W. Ciesielski, „Nowy wiek, nowe tysiąclecie”, „Akant”, nr 5/57, 2002).

„Jaka jesteś, współczesna poezjo?...” Z powyższego podsumowania dyskusji i opisu stanowisk jej uczestników wynika, że pytanie owo nie zostało „rzucone w próżnię”. Reakcja na nie udowodniła, że

– wbrew temu, co głoszą niektórzy – poezja wciąż żyje i ma się całkiem nieźle. Świadczy o tym „wzbudzony ocean emocji”, a także fakt, iż dyskusja na łamach „Akantu” trwa już ponad trzy lata... a jej końca nie widać. Pojawiały się „międzyautorские” polemiki, eseje krytycznoliterackie, rozważania z zakresu – m.in. – filozofii, teologii i teorii literatury, pastisze oraz nietypowe atrykuły-parapoematy (np. „Zakon” G. Wróblewskiego, „Akant”, nr 7/33, 2000); zaś M. Wachowicz podjęła się jakiś czas temu próby podsumowania dyskusji („Akant”, nr 6/45 – 9/48, 2001) dokonując podziału i charakterystyki podstawowych zagadnień i problemów, wylaniających się w trakcie dyskusji. Omówienie to dotyczyło: motywacji poetów, zjawisk komercjalizacji i populizacji literatury, indywidualizmu (lub jego braku) w poezji, „klik poetyckich”, definicji, zadań i form wiersza, a także szeregu dychotomii (młodzi : starzy, nadaucza : odbiorca, miasto : prowincja).

Dyskusja sprowokowała do refleksji i uważnego, krytycznego przyjrzenia się nie tylko cudzej, ale i swojej twórczości – kto bowiem, w miarę coraz szybszego tempa i natężenia dysputy, odważyłby się na beztróskę i „niechlujność” poetyckiego warsztatu? Pojawiły się przy tym konstruktywne określenia konkretnych zagrożeń i negatywnych czynników, wpływających na poezję współczesną, a przecież dokładne „rozpoznanie i nazwanie wroga” umożliwia dopiero walkę... Ujawniły się wszystkie programy (lub też ich programowy... brak), postawy i stanowiska wobec twórczości lirycznej. Okazuje się, że tak naprawdę w „życiu literackim” nic się nie zmieniło i w XXI wieku dyskusja nad rolą i powołaniem artysty budzi równie żywe emocje, co chociażby w wieku XIX, „niosącym” z sobą manifesty w rodzaju „Confiteora”. Dyskusja nie jest zatem jałowa, ma liczne osiągnięcia; dlatego pokuszę się o stwierdzenie, iż jej ogólny wydziw – mimo wszystko – jest optymistyczny. Ujawniła ona bowiem, że poezja nadal powstaje, jest kochana i wciąż jeszcze

kwitnie niczym „czaroleska lipa”, a jej twórca – człowiek – jak zawsze jest „ze dwojgi złożony natury”...

W dyskusji dotychczas udział wzięli: Tomasz Agatowski (2x), Zdzisław Antolski, Józef Baran, Maksymilian Bart - Kozłowski, Genowefa Bazyli, Ryszard Biberstajn, Emil Biela, Wojciech Boros, Mateusz Bourkane, Bożena Budzińska (2x), Maciej Bury, Marzena Chelmonska - Chruszczewska, Tadeusz Chróścielewski, Stanisław Chyczyski, Jan Cichosz, Lechosław Cierniak, Wiesław Ciesielski (3x), Ludwik Czech, Stanisław Dłuski, Andrzej Dorobek (2x), Janina Drajek, Robert Drobys, Barbara Dziekańska, Janusz Gdowski (2x), Krzysztof Grzechowiak, Marian Hermaszewski, Jerzy Hłond, Arkadiusz Irek (2x), Kazimierz Ivosse (2x), Genowefa Jakubowska - Fijałkowska, Katarzyna Fronk, Lech M. Jakób, Jarosław Jakubowski, Marek Jastrząb (4x), Katarzyna Jeziółkowska, Andrzej Kaliszewski, Jerzy Kalwak (3x), Jarosław Kamiński, Mariusz Kosmala, Tomasz Kościukiewicz, Stanisław Krawczyk, Krzysztof Krejckant - Ożarski, Zbigniew Kresowaty (2x), Władysław Kubicki, Wojciech Kudyba, Eugeniusz Kupper, Paweł Kuszczyński, Robert Lipski (3x), Tadeusz Lira - Śliwa, Daria D. Lisiecka, Eukasz Litwin, Joanna Ładanaj, Zdzisław Łączkowski, Leszek Łęgowski, Magdalena Łuka, Adam Majewski (2x), Alicja Mazan - Mazurkiewicz (2x), Krzysztof Michałowski (2x), Wiesław Mikulski, Agnieszka Mrugowska, Sławomir Mrugowski, Dariusz Muszer, Ariana Nagórka (5x), Kazimierz Oblój (2x), Teresa Olewczyńska, Janusz Orlikowski (3x), Stefan Pastuszewski (8x), Małgorzata Piotrowska, Jan Pomin, Maciej Porzycki, Anna Przybyszewska, Tomasz Rzepa, Antonina Sebesta, Roman Senski, Marta Skoneczna, Paweł Skutecki, Jan Smalewski (2x), Sławomir Socha (2x), Alfons Soczyński, Stanisław Sosna - Sarno (2x), Eukasz Stadnicki, Stanisław Stanik (2x), Jan Stępień, Jadwiga Stróżykiewicz, Stefan Szczygłowski, Piotr Szreniawski (2x), Małgorzata Szwecka, Renata Ślepowron - Byrska, Natalia Ślesieńska, Jacek Tabisz, Cezary Tajer, Stanisław Truchan (2x), Jacek Uglik, Magdalena Wachowicz, Wacław Wierciński, Alicja Wiśniewska, Radosław Wiśniewski (5x), Dariusz Wiśny, Barbara Witucka (3x), Jarosław Wojciechowski, Mieczysław Wojtasik, Grzegorz Wróblewski, Leon Zdanowicz, Rafał Zięba. ▶

Joanna Ładanaj

## Próba pisarska

Jak ogarnąć dylemat umysłu aspiracją pisarską a lękiem przed pisaniem? Czy jest to sprzeczność, nie dająca się rozwiązać? Czy też może w twórczość artystyczną wpisany jest taki stan uczuciowy? Czy nie lepiej po prostu rozwiązać ten problem zaniechaniem tej aspiracji, poprzez uświadomienie sobie, że tak naprawdę nie mam nic do powiedzenia, a zatem po co pchać się w obszary, w których słowo jest nośnikiem pewnego sensu? Czy jednak warto takim radykalnym cięciem zaprzepaścić potrzebę pisania, która to potrzeba niewątpliwie jest zagadkowym zjawiskiem? Nie bez znaczenia jest fakt, że pojawia się w jakiejś głowie taka myśl o pisaniu. Nie bez znaczenia jest fakt, że pewien swoisty sposób patrzenia na świat może pobudzić do ekspresji artystycznej.

Z drugiej strony lęk przed pisaniem może okazać się na tyle paraliżujący, że hipotetyczny nowy talent nie ujrzy światła dziennego. Obawa przed niezrozumieniem w odbiorze, przed tak zwaną druzgocącą krytyką, pozostanie niezwykłym rywalem. Niewątpliwie wrażliwość broni się przed nieprzyjemnymi konsekwencjami decyzji, jaką jest rozpoczęcie pisania, choć bez tej wrażliwości decyzja taka byłaby raczej niemożliwa. Do tego dochodzi częste zjawisko białej, nie zapisanej kartki papieru przed oczyma, zamieniającej się w istny koszmars. Niby martwego pionka w grze, a jednak mogącego zwyciężyć i pozostawiać człowieka z pustym spojrzeniem, które niczego nie widzi przed sobą.

Bolączka mówiąca: *Czy mam jakąś treść do przekazania, czy zwyczajny belkot?*, nie ułatwia bynajmniej sprawy. Świadomość istnienia na rynku wydawniczym licznych książek o podejrzanej esencji, nie liczących się z zasadą oszczędzania papieru, rodzi tylko wątpliwość w rozgorączkowanej głowie, która

nie znajdując z zewnątrz oparcia, zmuszona jest polegać tylko na sobie. Jak zatem wyjść z tego zakłętego koła pewności co do treści pisania i niepewności co do sensu tego przedsięwzięcia?

Po prostu próbować wyjść pisaniem. Pisanie bowiem ma działanie terapeutyczne.

Nawet napisane jednego, jedynego wiersza w ciągu dnia może nadać temu dniu znaczenie wyjątkowe, zapadające głęboko w świadomość. Radość, która radując autora zmienia go i zarazem pozostawia takiego samego, pozwala mu na swoiste wznoszenie się ponad codzienność i zarazem zagłębienie się w tę codzienność. Z tego jednego, jedynego wiersza rodzi się następny wiersz, a z niego kolejny i tak dalej, aż w pewnym momencie pojawia się wiersz.

Zaczęłam pisanie od myśli, która zamęczała moją głowę, myśli dotyczącej rozdźwięku pomiędzy aspiracją pisarską a lękiem przed realizacją tej aspiracji. I mam nadzieję, że zakończę tę myśl w rozwiniętej już postaci krótkiego eseju. Pewnego szkicu, do którego, być może, powrócę, by go rozbudować, a być może pozostawię go niezmiennym.

Proces twórczy jest szczęściem i zarazem nie-szczęściem, radością i męką; daje wyraz nieuniknionej sprzeczności stanowiącej piękno. Czasami można odczuwać gorącą potrzebę wyartykułowania tego, co nosi się w sobie, ale nie sposób tego wydobyć. Tak jakby ta potrzeba była tak gwałtowna, tak nieokielznana, że nie da się jej przedłożyć. Następuje chaos: bardzo chcę coś napisać i jednocześnie nie mogę. Natchnienie staje się tu zbawieniem, dzięki któremu można ruszyć z kopyta. Natchnienie jest niczym świeże powietrze wkracające do pokoju dotąd zatęchłego, czyniąc wszelką myśl przejrzystą.

Czy przypadkiem wibrujący krąg własnych myśli, uczuć, emocji, przenoszony na obraz świata zewnętrznego, nie zniekształca tego obrazu? Można by przecież powiedzieć, że świat jawi się uporządkowany, zadaniem jest tylko odbiór faktycznego stanu rzeczy. Równie dobrze można powiedzieć, że świat jest chaosem, który widziany oczyma artysty staje się pewną harmonią. Zdania są podzielone

w zależności od opinii dotyczącej zagadnienia poznania.

Dla jednych poznanie dzieje się za sprawą receptywności (odbieranie drażeń zmysłami), umysł tylko pełni rolę podrzędną – układa porzucane puzzle). Dla drugiej proporcja władz jest odwrotna, intelekt gra pierwsze skrzypce przed zmysłami. Dla jeszcze innych do głosu dochodzi jedność duszy i ciała, uniemożliwiająca wartościowanie na korzyść jednej strony. Nie zagłębiając się zanadto w filozoficzną problematykę idealistycznej i empirycznej teorii poznania, można powiedzieć, że i tak natura człowieka, łącząca w sobie pierwiastek cielesny, jak i duchowy, pozostaje nieodgadniętym do końca fenomenem.

Niby myślenie pozwala na abstrahowanie od ciała, ale na jak długo. Prędzej czy później proces ten zakłóca jakiś odzew fizjologiczny, jak choćby głód. Podobnie jest z pisaniem, dzięki któremu można być mentalnie daleko od miejsca, w którym się pisze, ale zarazem być w tym miejscu, w którym to właśnie moja ręka jest ręką, która pisze.

Czy refleksja nad jednością duszy i ciała nie zbacza z toru, skoro problemem wyjściowym było pogodzenie aspiracji do pisania przy jednoczesnym lęku przed tym zajęciem? Nie dzieje się tak, jeśli mowa o wspólnej wykładni, jaką jest wewnętrzne rozdarcie człowieka. Z jednej strony umysł, który pragnie przelewać na papier swe myśli, z drugiej zaś lęk, który hamuje ten zapęd, może również dobrze przypominać taki stan, w którym zarówno pisarz jak i czytelnik z jednej strony tworzą, z drugiej zaś odtwarzają. Pisanie odnosi się do świata zastanego, tego roztańczającego się za oknem, a czytanie pobudza grę wyobraźni, wydobywając nierządno to, o czym autor nie miał zielonego pojęcia. Swoista gorączka towarzysząca pisarstwu jak i czytelnikowi daje wyraz ich twórczemu powinowactwu – pisanie przeplata się z czytaniem. Tak, jak dusza przeplata się z ciałem. Skoro pisarz pisząc czyta, a czytelnik czytając pisze, tak też głęboka potrzeba aktywności pisarskiej i tchórzliwa bierność wobec tej potrzeby mogą dojść do kompromisu. ▶





Sokrat Janowicz

## Białorusini: naród z narodu

Literatura starobiałoruska w swej średniowiecznej postaci nie wykraczała poza religijny kanon, z wyjątkiem kronik. Trudno powiedzieć, czy miała ona swego Wincentego Kadłubka, chociaż wielu badaczy przypisuje właśnie starobiałoruskie autorstwo „*Stowu o wyprawie Igora*”. Przepadła wielka kronika państwa połockiego, będącego pierwszym, znanym historycznie, władztwem na ziemiach późniejszej Białorusi. W dobie Renesansu literatura starobiałoruska nie osiągnęła jednak wielkości porównywalnej z twórczością Jana Kochanowskiego. Wkrótce zaczęła ona gasnąć jako zjawisko paralelne, wskutek narastającej dominacji kultury polskiej po utworzeniu Rzeczypospolitej Obojga Narodów w 1569 roku. Proces polonizacji, który w siedemnastym wieku sięgnął nawet elit kremlowskich, celniej będzie nazwać samopolonizacją (polszczyzna przeistoczyła się w rodzaj *lingua franca*).

Dwory książęce i magnackie, tudzież warstwa szlachecka w Wielkim Księstwie Litewskim uległy wynarodowieniu do tego stopnia, że z końcem XVII wieku oficjalnie wyprowadzono język starobiałoruski z administracyjnego użytku, ostatecznie z sądów. O naturalności tego faktu świadczą teksty wcześniejszych autorów starobiałoruskich, pełne już polskojęzycznych *makaronizmów*. Jeśli Polacy lubowali się we wtęinach łacińskich, to Białorusini – właśnie polskimi.

Białorusini, zwani wówczas Litwinami, doświadczyli aneksji społecznej i lingwistycznej do korpusu klasy chłopskiej, kulturotwórczej jedynie na folklorystyczną miarę. Mickiewiczowskie „*Litwo, ojczyzno moja...*” znały dwupiętrowość uczuć narodowych: Litwin, ale Polak. Dostyć powszechny to w Europie schemat kulturowy aż po dziś dzień: Alzatzczyk, ale Francuz; Niemiec, ale Szwajcar; Kaszub, ale Polak.

W znacznym stopniu nastąpiło zlanie się losu starobiałoruskiego z losem staropolskim, skutkiem wspólnoty państwowej i politycznej. Pozostała natomiast ogromna różnica społeczno-materialna, nieporównywalna z sytuacją nadwiślańską, masowe ubóstwo, zafacanie psycho-intelektualne, pogłębiające się nader szybko po rozbiorach i wyodrębnieniu się dynamicznej Kongresówki. To zadecydowało o rozejściu się losów języka białoruskiego i polskiego, o zastąpieniu polszczyzny co najwyżej w środowiskach uprzywilejowanych (średniozamożna szlachta, bogate – acz nieliczne – mieszczaństwo). Polonizowanie się plebsu i wsi uległo ostatecznemu zatamowaniu po upadku Uniwersytetu Wileńskiego z kurowanym przezeń, szeroko rozgałęzionym, szkolnictwem gminnym. Władze carskie zabrały się do rusyfikacji dopiero w dobie popowstaniowej.

Zderzenie na ludowym terenie Białorusi dwóch cywilizacji, cofającej się polskiej i napierającej rosyjskiej z, na razie obcym, wydzwiękiem – musiało wywołać skutek pośredni. A więc rodzi się i gestnieje piśmiennictwo białoruskojęzyczne autorstwa *gente Lithuani, natione Poloni*. Szlachecy romantycy i chłopomiarscy sentymentalisci, porzucając dworki, obrócili się twarzą ku ludowi białoruskiemu, zwracali się doń w zrozumiałej mu mowie. To z kolei musiało wytworzyć białoruską literaturę narodową, co w swym najwyższym locie stało się za sprawą powstańca styczniowego *Franciszka Bahuszewicza*. A było to ostatnie ćwierć Wieku Narodowości.

Narodowość zatem nie jest igraszką Pana Boga ani fanaberią nawiedzonych poetów, lecz końcowym rezultatem ostrej inności losu łączną z uprzednią, ukształtowaną przez wieki, innością psychokulturową właśnie. Są narody jednego języka – historia u Chorwątów odmienna wszak od serb-

skiej. I – narodowości z wieloma językami, ale jednego losu, np. Szwajcarzy.

Tworzenie się nowożytnego narodu białoruskiego i jego kultury, literatury, przebiegało zupełnie inaczej, aniżeli w Polsce. Jego siłą motoryczną był schłopiły zaścianek i narodnicy, uważający wieś za przyszłość świata i oparcie rewolucyjnym przemianom. Żadna „*Rodzina Potanieckich*” czy opływająca w dostatkach „*Lalka*” z romantyzującym amantem! Białorusini są narodem chłopskim w historycznym ciągu od Finlandii po Bałkany; nawet nie plebejskim, jak Czesi. A tym bardziej obcy dlań z ducha są arystokratyzujący Polacy.

Rozpatrując problem bliskości językowo-kulturowej czy zagadnień przekładczych w sferze wzajemnego przenikania literatur, należy stale pamiętać, że dotykamy pod tym względem nie tylko relacji gramatycznych, lecz także światopoglądowych. Każda gramatyka, również białoruska, jest zarazem wyodrębnionym systemem filozoficznym, odbiciem odmiennego postrzegania człowieka i świata. Wykazuje to leksyka, występowanie w niej pojęć charakterystycznych jakimiś językowi lub rodzinie językowej. Eskimosi rozróżniają wiele barw białego śniegu. Bretończycy posiadają kilkanaście przymiotników na określenie odgłosów jazdy wozem po kamienistej drodze. Białoruszczyzna dysponuje całą gamą wyznaczników *ędzy ludzkiej czy leśnego szumu*. Czyli, prócz tego, co pojmujemy pod ogólną kategorią losu, oddziałuje na formowanie się języka środowisko naturalne, krajobraz. Znany jest kłopot tłumaczy Biblii i Pisma Świętego w Grenlandii, gdzie nie występują owce (baranki Boże!), i dostępnie bywa zamienić je pingwinami (pingwinki Boże?).

Powiedzmy od razu, iż kongenialny przekład z jednego języka na drugi jest niemożliwy, nawet w przypadku języków bliskich sobie. Zbyt wiele rzeczowników, przymiotników, czasowników nie pasuje do siebie, zarówno znaczeniowo, jak i barwą wyrazu. Wprost rzuca się to w oczy w przypadku poezji: ten sam wiersz można tłumaczyć w nieskończoność. Białorusin, jak długo będzie Białorusinem, nigdy do reszty nie pojmie przesłania polskiego autora, mimo że czysto semantycznie przyjmie utwór do siebie. Odpowiadający w dużym stopniu białoruskiej duszy „*Pan Tadeusz*” był tłumaczony w przeciągu ponad stu lat aż pięć razy przez pięciu różnych autorów (to nic, że w różnej skali utalentowania i w różnych epokach). Najlepiej udawały się opisy przyrody i zupełna kłęska spotykała *przekładowców* podczas prób ukazania życia dworu wielkopolskiego pałacu, który w białoruskim przekładzie przypomina sobą raczej zaścianek drobnoszlachecki lub bogate siedlisko chłopskie. Znam ten ból z własnej praktyki literackiej, kiedy muszę sięgnąć po motyw wielkowiejski – żywa leksyka białoruska nie wychodzi wszak poza obręb miasteczka kresowego.

Największe utrudnienia występują, rzecz jasna, z paralelnymi wykazami rzeczowników. Przykładowo mówiąc: banalny u nas śnieg niekoniecznie istnieje w językach strefy równikowej, i odwrotnie – monsuny tutaj, na północy Europy, nie występują, dlatego ich nazwa jest zapożyczona. Odpolskie pożyczki w białoruszczyźnie są od dawna widoczne, zwłaszcza w charakterystykach życia towarzyskiego, zwrotów biesiadnych. Wiadomo skąd to się brało, lecz z nimi trzeba uważać, nierzadko bowiem zmieniły one pole semantyczne, uległy przesunięciom znaczeniowym. Powiedzenie „*Całuję rączki pani!*” nie poddało się translacyjnej obróbce i wywołuje u Białorusinki zdumienie podobne do szoku Angielki czy Amerykanki z anglosaskim rodowodem, której pocałunek w rękę kojarzy się z bezwstydnym seksizmem lub nieładną zgrywą męską. Nie ma żadnych „*uważań*” i całego mrowia polsko-szlacheckiego trzpiotwa. Frankofońskie rozgadania.

Język białoruski jest niezwykle lapidarny i niewiele w nim form o niejednoznacznym zabarwieniu. Tłumacze anglojęzyczni cenią ten jego walor, ponieważ mentalnie nosiciele białoruszczyzny są przesyleni nordyckością (także rasowo, co zdecydowanie wyodrębnia ich wśród Słowian).

Osobnym archipelagiem niebezpieczeństw są formy białoruskie o identycznym brzmieniu z rosyjskimi czy ukraińskimi, alicji z odmiennym lub zgoła przeciwstawnym znaczeniem treściowym. Podstawowych przykładów na to sporo: „*Adkaz*” to tyle, co *odpowiedz*, nigdy *odmowa*; „*sachare*” to w żadnym wypadku nie cukier, ale ... *widły do gnoju*; „*dzierżawa*” – państwo; „*pawinien*” nie powinno być odbierane z rosyjska jako *dług*, *obowiązek*, etc. Zwracam uwagę na te, zdawałoby się, drobiazgi, jako że diabeł tkwi w szczegółach; tłumacze polscy nader często stosują kalkę rosyjskojęzyczną w odniesieniu do tekstów białoruskich, co kończy się piramidalnymi głupstwami. Kiedyś „*Więź*” zamieściła mi esej o państwowości białoruskiej, kóra w przekładzie polskim okazała się być aż mocarstwowością białoruską (oczywista kalka odrosyjska).

Dobry przekład bynajmniej nie polega na precyzyjnym wyszukiwaniu odpowiedników słownych; jest dopiero obiecującym początkiem pracy translatorskiej. Porządny tłumacz musi znać, przynajmniej z grubsza, kulturę danego kraju, jego historię, a nade wszystko byt i obyczaj językowy. Przekładamy bowiem inny świat na swój, inną odrębność na własną. Ponieważ cechą wszelkich odrębności jest większa lub mniejsza nieprzystawalność względem siebie, dlatego też doskonałość przekładcza – powtarzam – uchodzi za z gruntu niemożliwą, jak niemożliwe staje się przysłowiowe skrzyżowanie małpy ze słoniem.

Obce nam słowo i zdanie istnieje wszakże w wielu kontekstach, że wymienię te najgłówniejsze: semantyczny, estetyczny, gramatyczny, zwyczajowy. Najtrudniej bywa z różnymi przysłowiami, powiedzeniami, lokalnymi aforyzmami; trzeba szukać równoleżników (przekład dosłowny grozi samobójstwem warsztatowym).

Zwłaszcza w poezji zdarza się tłumaczenie twórcze, jeśli bierze się zań ktoś z wybitnych poetów. Wówczas mamy do czynienia nie tyle z przekładem, co z napisaniem wiersza, na przykład, białoruskiego po polsku; nie z przełożeniem go, ale właśnie z napisaniem, może trochę pastiszowym. Proza zaś nie ma tak dużego zagęszczenia ekspresji autorskiej, dlatego też podobna metoda przekładu jest rzadkością (średniowieczna dowolność zanika).

Tłumacz stale boryka się z przyswajaniem wartości mu obcych. Rzeźliwość białoruska jest po większej części czytelna Polakowi, ale już kręgi kultury nam egzotycznych nastroją wiele trudności. Nawet w Europie, na tym mniejszym kontynencie świata, spotykamy się z niezrozumieniem szeregu wielkich dzieł literatury danego kraju, np. polskiej. Nieprzypadkowo *chuycono*

## WOJEWÓDZKI OŚRODEK MEDYCZYNY PRACY

85-092 Bydgoszcz  
ul. Karłowicza 26  
tel. centr. (0 52)  
340-11-11, 346-02-27  
Dyrektor 340-02-06

### Świadczy następujące usługi profilaktyczne:

- badania wstępne, okresowe i kontrolne pracowników
- badania kierowców i kandydatów na kierowców
- badania dla celów sanitarno-epidemiologicznych

### Wykonuje badania w następujących specjalnościach:

- |                    |                 |                      |
|--------------------|-----------------|----------------------|
| ■ okulistyka       | ■ laryngologia  | ■ neurologia         |
| ■ dermatologia     | ■ rehabilitacja | ■ stomatologia       |
| ■ chirurgia ogólna | ■ ortopedia     | ■ choroby wewnętrzne |
| ■ choroby płuc     | ■ kardiologia   |                      |

### Wykonuje następujące badania diagnostyczne:

Świadczy zabiegi fizykoterapeutyczne w szerokim zakresie

- |                    |                  |
|--------------------|------------------|
| ■ laboratoryjne    | ■ RTG            |
| ■ spirometryczne   | ■ audiometryczne |
| ■ próbe oziębienia | ■ psychologiczne |
| ■ czucia wibracji  | ■ EKG            |



za „*Quo vadis*”, a nie za „*Ogniem i mieczem*”; za „*Chłopów*”, a nie za „*Popioły*”. W księgarniach Zachodu widzimy książki Gombrowicza; nie widzimy genialnego Norwida. O świętym nam Mickiewiczowi mało kto słyszał nad Atlantyki, czy chociażby w tymże Paryżu, w którym nasz wieszcz spędził pół życia, próbując także twórczości w języku francuskim.

Znaczenie pracy przekładczej wykracza daleko poza obręb czysto użytkowy czy – szerzej – służebny względem ludzkich potrzeb estetycznych i poznawczych. Tłumaczenia odgrywają nierzadko ogromną rolę w rozwoju kultury danego narodu, z natury słabszego przede wszystkim. Poszerzają horyzonty myślowe i wrażliwość estetyczną, bogacą duchowo, zwłaszcza kultury startujące (jak w przypadku kultury białoruskiej). Niezbyt dobrym zjawiskiem, być może banalnie niedostrzeganym w opracowaniach edukacyjnych, jest rzucanie się w oczy pierwszeństwo tekstów tłumaczonych przed oryginalnymi w historii powstawania literatur narodowych, których wiodącą mocą sprawczą była demokratyzacja samej kultury na rzecz *dobrych społecznych* (najpierw mieszczaństwa). W przeciwieństwie do tego, elity intelektualne doskonale obywały się bez języków etnicznych (Neron *grafomani* po grecku, Petrarca pisywał po włosku dla zabawy, Biblię i Pismo Święte zaczęto tłumaczyć, nawet z *Vulgaty*, dopiero po wybuchu Reformacji, etc.).

Zachodzi zatem także zjawisko nierównorzędności, czyli różnicy poziomu poszczególnych kultur – literatur. Niewątpliwie głębsze znaczenie mają przekłady białoruskie z języków reprezentujących sobą wyższy poziom rozwoju społeczno-kulturalnego, aniżeli na odwrót. Klasyką ilustracją tego jest Islandia ze swym szczątkowym językiem niedzisiejszych Wikingów: w mowie zaledwie parusettyścioletniego ludu ukazało się dosłownie wszystko, co godne uwagi w literaturze światowej (oczywiście, można *miemniać* na temat poziomu tych tłumaczy, ale jednak są faktem). Przed stuleciem Islandia przecież przymierała głodem jako zaszczuta kolonia duńska, dziś zaś zmierza ku globalnym wyżynom dobrobytu.

Bądźmy szczerzy: w relacjach polsko-białoruskich, w tym białoruskim narodzie, który wszak wychynął na świat Boży dopiero po wydalonym łożysku rodnym szlacheckiego narodu Polaków – Białorusini są silnie zainteresowani tłumaczeniem rzeczy polskich. Obecnie ukazują się ich tam bez porównania więcej, aniżeli odbiałoruskich w Polsce. Pewnie, że dzisiejsi Polacy nie mają czym się szczycić pod tym względem, lecz przyczyny tej jednostronności są nader obiektywne. ■

Sokrat Janowicz

## Stefan Pastuszewski

### Hajda na Dobrorus!

Chciałbym, podobnie jak inni znawcy Kresów, którzy wysuwają nos poza swój telewizyjny zaścianek i od czasu do czasu „*biorą d... w troki*”, aby pojechać hen, na „*ciche, szaro-zielone pola*” (T. Konwicki), podziękować T. Zubińskiemu za zdecydowaną walkę z czarnym białoruskim mitem o „*państwo faszystowsko-komunistyczne i ludziach zjadających korzonki, a zapijających siwuchą*” (T. Zubiński, *Niemodna idea, która stworzyła niechciane państwo*; „*Akant*” 2002, nr 12, s. 33). Autor tego eseiku, nawiązując do książki E. Mironowicza „*Białorus*” (1999), eksponuje, podobnie jak i ja (*Skansen?*; „*Akant*” 2002, nr 10, s. 8-10), samodzielność i odrębność białoruskiej drogi zarówno do niepodległości, jak i pomyślności swoich obywateli, bo przecież żadna idea, nawet niepodległości, jeśli nie chce stać się trującym miazmatem, nie może być wartością samą w sobie, lecz winna służyć osobie ludzkiej w szczególności oraz wspólnotom ludzkim i narodom w ogólności. Białorusini, a raczej narody zamieszkujące terytorium między Bugiem a Dnieprem, wciąż musztrowane i ośmieszane przez Amerykanów, Europejczyków i nasze polskie, papuzie media, w gronie których, niestety, (jeśli chodzi o problemy białoruskie) znajdują się także: „*Nasz Dziennik*” i „*Niedziela*”. „*Oskarżani*” odpowiadają dramatycznie i po prostu: – „*Czyżbyśmy na kogoś napadli? Kogoś zabili? Czyżbyśmy kogoś okradli? Dlaczego więc chcecie uczyć nas jak żyć?*” Do tego powszechnego, choć nie zawsze wyartykułowanego głosu, dochodzi polityczna racja A. Łukaszenki – w końcu demokratycznie, bez żadnych fałszerstw, wybranego prezydenta: – „*Nie*

*mogę pozwolić, aby warte miliardy dolarów przedsiębiorstwa i ziemie upadły w ręce łobuzów z forsą*”.

Tak więc Białoruś, zarówno poprzez swą politykę jak i mentalność, świadomie przeciwstawia się globalizacji – temu kosmicznemu wręcz obiegowi pieniądza, ideologicznych miazmatów i konsumpcyjnych mód, który powoduje, że bogaci stają się jeszcze bogatszymi, a biedni jeszcze biedniejszymi, zaś każdy człowiek, niezależnie od stanu posiadania, gubi swe człowieczeństwo i wyalienowuje się zarówno z życia wspólnoty, jak i ze swego osobowego, niepowtarzalnego bytu. Globalizacja, nawet w wymiarze kontynentalnym UE, czy historycznie już Imperium Sowieckiego, jest bowiem rozbiorem naturalnych, skonstruowanych na miarę człowieka wspólnot i więzi, a z punktu widzenia ekonomicznego przynosi takie „*oszczędności kadrowe*”, że połowa ludzi staje się po prostu niepotrzebna. Z wielu „*przedsiębiorstw*”, w których każdy człowiek ma swoje określone miejsce, robi się jedno „*przedsiębiorstwo*”, które już nie potrzebuje aż tak rozbudowanej „*ludzkiej infrastruktury*”. Ma wprowadzić S.Truchan pisząc, że nikt z globalistów, w tym europejskich nie dekretuje wprost, że „*w obawie przed brakiem środków do życia przeciętny człowiek ma się powstrzymać przed założeniem rodziny*”, ale globalizacyjne procesy i struktury po prostu wymuszają takie właśnie przekonanie (S. Truchan, *Szczurodrog i wydyma paraboliczna*, „*Akant*” 2002, nr 12, s. 16-19).

Białoruś intuicyjnie i świadomie zarazem nie chce wpaść w tę absurdalną wirówkę pieniądza i dlatego stanowi rażąco potężniejszą niczym fala powodziowa nurcie odczłowieczania ludzkiego świata.

Kapitalistom wszelkiej maści nie w smak jest ta przeszkoda na drodze do ich pieniędzy i interesów na Wschód, ten nieograniczony rynek zbytu i rezerwar taniej siły roboczej, i dlatego się wściekają, a wraz z nimi „*polskie medialne papugi*”, na krainę nad Bugiem, Niemnem, Dźwiną, Prypcią i Dnieprem, która tak broni swojej odrębności.

Jest prawdą, że słabością Białorusi jest niewydolność gospodarcza i, wynikłe z polityki przebrzmiałego już Imperium Sowieckiego, uzależnienie ekonomiczne od Rosji. Właśnie ono, a nie A. Łukaszenko, jest największym zagrożeniem dla suwerenności naszego wschodniego sąsiada. Z tego też ekonomicznego powodu powstał Związek Białorusi i Rosji o niezbyt sympatycznym dla Polaków skrócie ZBiR, choć trzeba przyznać, że A. Łukaszenko dość sprytnie meandruje w stosunkach z odwiecznie imperialną Rosją nierzadko ją wykorzystując.

Podczas Ogólnobiałoruskiego Zjazdu Niepodległości, który odbył się 29 lipca 2000 roku (1356 delegatów) Zianon Paźniuk wręcz stwierdził: „*Główne zagrożenie pochodzi od Rosji do chwili, aż ta przestanie odczuwać swoje wielkomocarstwowe ciggotki*”. Podczas wspomnianego Zjazdu proklamowano Akt Niepodległości Republiki Białorusi, w którym czytamy m.in.: „*Nie chcemy być regionem innego państwa. Niezależność to naturalne prawo całego narodu, każdego obywatela. Tylko ona i tylko suwerenność państwową otwierają drogę naszemu państwu do europejskiego i międzynarodowego społeczeństwa demokratycznego*”.

Tak, narody zamieszkujące Białoruś mają świadomość swojej europejskości. Bo przecież wieszcz trojga narodów (Polski, Litwy, Białorusi) – Adam Mickiewicz – stwierdził:

„*A tak, gdzie się obrócisz, z każdej wydasz stopy, żeś znał Niemna, żeś Polak, mieszkaniec Europy*”.

Wtórąją mu, choć już mniej mistycznie, a bardziej praktycznie, jako że takie, niestety, materialistyczno-racjonalne nastąpiły dziś czasy, współcześni pisarze białoruscy. Prozaik Nił Gilewicz mówi, nawiązując do wciąż niepewnej przyszłości białoruskiej suwerenności: „*Żeby żyć dostatnio, bogato i kulturalnie, trzeba być pełnoprawnym gospodarzem swojej ziemi*”, a poeta Gienadź Burankin woła wręcz dramatycznie: „*Suwerenność Białorusi jest dla mnie sprawą życia*”, aby zaraz dodać mądra, jakże miłą dla nas, Polaków, deklarację: „*Jesteśmy różni, lecz białoruski dom jest domem dla nas wszystkich*”. Bo taka też była, w odróżnieniu od niektórych regionów sąsiedniej Ukrainy, wielowiekowa przeszłość Dobrorusi (pojęcie ukute przez T. Konwickiego): tu sąsiedzi, niezależnie od języka i wiary zawsze byli sąsiadami. (Dobrosąsiedzkim stosunkom między naszymi narodami i państwami nie służy księżycowy pomysł dziarskiego staruszka J. Nowaka-Jeziorańskiego, aby w Białymstoku ustanowić Radio Wolna Europa dla Białorusi, które by mówiło prawdę. Jaka prawda? Polską? Unijną? Czy amerykańską?).

Białoruś chce być i Białorusią, i Dobrorusią. Chce wreszcie zapomnieć o tym, co przypomnieli podczas wspomnianego Zjazdu Tatiana Wanina: „*nas dusili Hitler, Stalin i Piłsudski*”, a co w kategoriach wyznaniowych podkreślił Radim Gorecki: „*Prawosławni rusyfikowali, a katolicy polonizowali naród białoruski*”. To ostatnie stwierdzenie, dość popularne wśród inteligencji, skłania coraz silniejszy Kościół Rzymskokatolicki na Białorusi (6-osobowa Konferencja Episkopatu z kardynałem Kazimierzem Świątkiem na czele) do, drażniącej patriotycznie nastawionych Polaków, koncepcji białoruskiej liturgii. Podejrzewam tu tajne porozumienie między Rządem a Episkopatem, według mnie niezbyt konieczne, bowiem naród białoruski aż tak odczuwa nie doskonali swojego języka. Można natomiast w ten sposób zgubić fantastyczną wręcz religijność i kulturowe związki Polaków z katolicyzmem. Jeden z księży opowiadał mi, że gdy objął staruszcze Polce z Polesia, że Chrystus nie był wcale Polakiem, tylko Żydem, to ta o mało co nie straciła wiary; nie chciał więc, w obawie przed wywołaniem apopleksji, poinformować jej, iż Maryja także była Żydówką. Ta celowa białoruskizacja katolicyzmu, coś na wzór ukrainizacji liturgii rzymskiej na Ukrainie, może też być grą konkurencyjną z Cerkwią prawosławną, która należąca do Patriarchatu Moskiewskiego (na Białorusi jest tylko egzarchat czyli półautonomiczna struktura kościelna) cieszy się szczególną opieką państwa, które buduje okazałe świątynie w centrach miejscowości; okazałość ich polega głównie na niebywałej wysokości przy małej powierzchni, co wyraźnie dowodzi, że nie o wiernych tu idzie, tylko o chwałę Boga i państwa. Taką cerkiew – wieżę stawiają na przykład obecnie w Wołkowysku.

Polskim dziennikarskim małpkiem i „*prominentnym, uwielbiającym nienawidzić*” (pojęcie T. Zubińskiego) pragnę poinformować, że co mądrzejsi z UE szanują jednak odrębność Białorusi i nie czynią z niej *bete noire* Europy. Specjalny sprawozdawca ds. Białorusi w Europarlamentie – Elisabeth Shroeder – stwierdza wprost, że „*UE nie zamierza izolować tego państwa*”. To my sami, mając, zatrutą przez media i nasze kompleksy (zawsze chcemy być od kogoś lepsi albo gorsi) świadomość, izolujemy swego urokliwego i wartościowego sąsiada.

„*Białoruś była i jest nam bliska znacznie bardziej niż zdajemy sobie z tego sprawę, jest jak siostra, niech będzie, że młodsza*” – pisze T. Zubiński. A ja dodaję, że spośród ludów ruskich jest najbardziej spolonizowana; wystarczy wsłuchać się we, wciąż nie mogący się przebić do codzienności, język białoruski, aby ... wszystko zrozumieć.

Więc – hajda na Dobrorus!

PS. Trzy tygodnie temu wróciłem z kolejnej *hajdy* za Bug i nic, prócz straszliwego ataku śniegu i mrozu, mi nie przeszkadzało ani nie zagrażało, a zniegarek rekompensowało mi gorące człowieczeństwo i pełna skromnością godność Białorusinów, Polaków i Rosjan. Czulem się jak u Pana Boga za piecem, a piece mają tam ogromne, obsługujące dwa, trzy pokoje, bardzo długo trzymające ciepło ... ■

## Bydgoska Spółdzielnia Spożywców

ul. Gdańska 47  
85-950 Bydgoszcz

BSS było już  
przed zachodnimi marketami:

- ✓ jest wszędzie tam, gdzie innym nie opłaca się być
- ✓ kupując w BSS popieracie rodzimy biznes
- ✓ kapitał polski i bydgoski



Ewelina Frydryszek

## Gorzkie jabłka

– „Pomyślałeś kiedyś, że nic już nigdy nie będzie takie samo? Ani ty, ani ja, ani to miejsce. Wszystko zdarza się tylko raz. Potem może być podobnie, ale nigdy tak samo...”

Nie, nie pomyślałam. A właściwie...

Zaczęły się wakacje. Te, których nie potrafię zapomnieć, które zmieniły nam nad głowami niebo. Bo zdałam sobie sprawę, że ludzie są jak latawce i podążają z wiatrem. I ja nie umiem tego zmienić. Stałam tylko jak nad grobem i z osłupieniem patrzyłam, co ten świat wyprawia. A słońce opalało nam białe ramiona i prowadziło w nieznanne.

– Jestem pewien, że nie przyszedłem tam jako pierwszy. Może tamtego dnia, tamtego lata, ale dziś wydaje mi się, że może jako drugi? – zasępił się, ale wpatrując się w jego oczy widziałam naszą „wyspę”. Był to park w środku wielkiej polany. Niezwykły, bo tworzący swoistą przystań z niewielkim stawem i układającymi się w pagórki, zarosłymi zwałami piachu. A wszystko otoczone było obręczą drzew, które tulili w swym kręgu samosiewne krzewy. Wdrapując się na stary dąb można było obserwować okolicę i nikt z zewnątrz nie widział, że jest oglądany. – Wyjąłem szybko papierosa i zaciągałem się w pośpiechu – Kostek naśladował swoje ruchy – Na początku wydawało mi się, że będzie to cudowne miejsce do spotkań. Można by zaimprezować. Rozglądałem się i byłem dumny, że zająłem w ten zakątek. Palilem szybko, bo chciałem zaraz iść i przyprowadzić tu Bazyla i Horacego. Już rzuciłem niedopałka na ziemię, gdy usłyszałem czyjeś kroki. Pośpiesznie schowałem się za drzewem i dostrzegłem Małgorzatę z koleżanką. Próbowałem podsłuchać, o czym rozmawiają, ale były zbyt daleko. Trochę się wkurzyłem, bo w końcu pierwszy zająłem sobie to miejsce!

Gosię znali wszyscy. Była niezwykle tajemnicza i piękna. Zawsze chodziła swoimi drogami i robiła wszystko niezwykle dokładnie. Uwielbiała spacerować i zbieranie jagód. Nie zdziwiło mnie, że ona również zawędrowała w tamto miejsce.

Pamiętam jak tamtego popołudnia Kostek przybiegł do nas. Chciał coś pokazywać, gdzieś prowadzić. Był bardzo przejęty i tajemniczy. No to poszliśmy za nim wieczorem na „wyspę”. Wspólnie z Bazylem i Horacym rozpalili ognisko, wygłupiali się i zaprzyjaźniali z nowym miejscem. Łucja i Cyprian patrzyli sobie w oczy i cieszyli się daną im chwilą. Ja z Pauliną obskubywałyśmy liście z zielonej powłoki i porównywałyśmy pozostałe po nich żyłkowe szkielety. Było super. Wakacyjna, ciepła noc, ale, jak na ironię, zbyt piękna. Zawsze im czas szczęśliwszy, tym krótszy...

– Małgorzata się utopiła – powiedział cicho Piotr, który cały czas był jakiś nieswój. Gdyby opowiedział kawał, pewnie kazalibyśmy mu go powtórzyć, bo nie usłyszeliśmybyśmy puenty, ale ta informacja pewnie nie przesłaby mu drugi raz przez gardło. Gryzło go coś od początku, jak tu przyszliśmy, ale nikt z nas nie pytał co, więc wypalił tę wiadomość jak z karabinu. Zgłupieliśmy. Zapadła grobowa cisza. Wtedy przemknęła mi ta myśl, że już nigdy...

– Dobre, ale nas nabrałeś!!! – Kostek próbował się śmiać, ale nikomu nie chciało się żartować. – Co ty gadasz, przecież byłem tu dzisiaj po południu i widziałem ją z koleżanką.

– Potem poszły się kąpać w jeziorze. Jezu, przecież ona nie umiała pływać – Piotr płakał. Z nas wszystkich był najbardziej uczuciowy. Tamtej nocy ostatni raz widziałem go takim, jakiego znałem od zawsze. Jakby ktoś... – Macie. Podobno słodkie – i rzucił nam małe jabłko, które zerwał z dzikiej jabłoni. Chciałam się go zapytać, dlaczego nie był pewny ich smaku, gdyby próbował... no i przecież byliśmy tu po raz pierwszy. Zmieniła go ta śmierć, ten wypadek.

– Nie lubię do tego wracać. Musisz to wspominać? – Dreczył mnie Kostek.

– Może warto to sobie poukładać w głowie? – zachęcałam.

– Tak, warto! – drwił – Tego nie da się nigdy poukładać! – zebrał siły po chwili milczenia. – To było jakiś tydzień po tym wypadku. Szedłem z Bazylem ulicą. Obiecałem mu, że obejrzymy u mnie jakiś film. Było coś koło północy. Czas tego dnia zlecił nam niemiłosiernie szybko, to fakt. – zamyślił się. Na jego czole pojawiły się kropelki potu, wiedziałam, jak bardzo męczą go te wspomnienia. – W pewnym momencie, zupełnie jak spod ziemi, pojawiły się radiowóz i gliny. Bazyl nic nie mówił, nie był pewnie zdziwiony w przeciwieństwie do mnie. Tylko wsiał. Normalnie zgłupiałem. Dwa dni później zadzwoniłem do jego domu. Starzy powiedzieli, że został zatrzymany za posiadanie broni.

Pamiętam, wszyscy byliśmy w szoku. Usprawiedliwiałem to tym, że znaliśmy go bardzo słabo. Przeprowadził się dwa miesiące przed wakacjami, ale faktu to nie zmieniło.

Nasz „wyspowa” skład kurczył się niemiłosiernie, bo pewnego dnia dowiedziałam się, że Łucja i Cyprian już nie darzą się wielkim uczuciem i nie mogą przebywać w „naszym” miejscu. Niszczyła

nas ta piękna przestrzeń jak szkodniki. Odlamywała nas od siebie jak kruchy chleb. Kawalek po kawku.

W sierpniu Piotr wyjechał do wujka do Stanów i już go nie zobaczyliśmy. Ja, po wielu latach przyjaźni z Łucją, nie mogłam z nią nagle znaleźć wspólnego języka. Paulina też jakby się odsunęła. Nie potrafiłyśmy spędzać już ze sobą czasu, wypowiadać miłych słów, telefonować, wyczekiwać spotkań.

– Z nami też było kruchoo... Gdybyś wtedy do mnie nie przyszła... nie wiem, czy dziś byłibyśmy tu... – prawie szeptem wspominał Kostek. Gdy teraz wracam do tamtych dni, odnoszę wrażenie, że rzeczywiście każdy z nas żył jakby osobno, w ciągłym zamknięciu, obrażony na cały świat.

Z prawie dziesięciu osób, które rozpoczęły tamte wakacje na wyspie, zostaliśmy tylko my. To miejsce stało się dla nas symbolem walki o siebie samego. Nie tak wyobrażałam sobie dorosłość...

Otulałam się mokrymi strąkami włosów, już ciepło. Nie, nie ucieknę do końca, za bardzo chcę jutro zobaczyć słońce. Jestem depresyjnym przechodniem z widokiem na kwitnące jabłonie i nie domyślone wersy poranków. Uciekam, ale za wcześniej jeszcze wybiegać. Postoję w kordonie pustych wiadomości, posłucham swojej dorosłości, za bardzo ją sobie wymarzęłam. Jak Jego oczy po prawej stronie Wisły ławek. Dmuchały do mnie żółte żonkile. Trzymam ich pamięci i płaczę, że nie potrafię siebie uczesać, bo wciąż nie umiem się zatrzymać. Spojrzę zdrowym spojrzeniem na choroby tego miasta i jego parków jak portów. Polamały się paznokcie, opadły jak liście. Słońce zaszło. I nie potrafię już pokochać, nawet dorastać nie potrafię. Takiej ironii jeszcze nie znałam, i dopiero teraz...

Zaspały w tym roku wszystkie słowa i łyzy nie wyschły na czas – popłynęły. Zaciśnięły się nam pętle nad głowami. Ból wyszedł i nie zamknął drzwi. Za bardzo dokuczał mi przez cały czas ząb mądrości – zgłupiałam. Nie widzę już dla siebie żadnej nadziei, zamarzała w połowie drogi do przyszłości. Zasznurowałam ciekawość i usiadłam.

– I ułożyłaś sobie to w głowie?

– Jeżeli mi Bóg teraz nie pomoże, to nie tak skończy się ten film. A niby tyle mam jeszcze czasu, żeby wszystko przemyśleć, przedodczytać, przetrwać, przespać, a później to powie mi, co mam z tym zrobić. Za ciemno już... nie widzę dat, zapomniam, już nie...\*

## Kredyt mieszkaniowy

# Lokomotywa

## od 11,5%

**RUSZA ze stacji lokomotywa,**  
Najnowsza kredytu ofensywa  
Począgnie budowę domu, mieszkania,  
Najlepszy to sposób na le zmaganie:

- budowa domu, mieszkania w domu wielorodzinnym,
- kupno działki budowanej lub rekreacyjnej,
- wykup, zamiana lokalu,
- adaptacja strychu i innych pomieszczeń
- modernizacja lub remont lokalu (domu),
- kupno lokalu lub domu jednorodzinnego wraz z garażem.

**Oto tajemnice lokomotywy:**

- atrakcyjne oprocentowanie już od 16,5%,
- możliwość finansowania aż 75% planowanej inwestycji,
- okres kredytowania do 25 lat,
- dogodne warunki spłaty,
- do 2 lat karencji,
- ubezpieczenie kredytu na zakup lokalu.

To pociąga. Na tyle, żeby odliczyć inwestycje mieszkaniowe od podatku dochodowego.  
Nie spóźnij się!

### BANK GOSPODARKI ŻYWNOSCIOWEJ

**WYKAZ PLACÓWEK W BYDGOSZCZY:**  
ul. Sobieszewska 3, tel.: 326 84 33, 326 84 20  
ul. Gdańska 16, tel.: 321 26 06  
ul. Sucharskiego 4, tel.: 348 27 91

FIRMA sp. z o.o.

Kawex®

ul. Kielecka 2-4  
85-872 Bydgoszcz  
tel. 052/582 90 10  
fax 052/582 90 41

**Wszystkie prace  
drogowo-mostowe  
i jeszcze  
coś więcej**



Stanisława Deluga

## Obraz PRL-u w „Obłądnie”

„Bądźcie pozdrowieni, Nadwrażliwi  
za waszą czułość w nieczułości świata  
za niepewność – wśród jego pewności  
za to, że odczuwanie innych tak,  
jak siebie samych, zarazacie się każdym

bólem  
za lęk przed światem, jego ślepa pewność,  
która nie ma dna  
za potrzebę, oczyszczania rąk  
z niewidzialnego nawet brudu ziemi,  
bądźcie pozdrowieni...”

K. Dąbrowski, „Posłanie  
do psychoneurotyków”  
„Poezja” Nr 11, 1985

Fragment jednego z nielicznych, wspólcze-  
snych wierszy polskich, który zdobył światową sławę,  
jednocześnie wprowadza czytelnika w klimat  
dzieł naukowych profesora psychiatrii, który jest  
jego autorem, a także w emocjonalną tonację najwy-  
bitniejszej powieści Jerzego Krzysztonia.

Trylogia „Obłąd” – według zamierzeń autora  
– miała być „nie tylko historią choroby jednostkowego  
bohatera, ale także powieścią o ambicjach uchwycenia ca-  
łej naszej rzeczywistości, razem z konsekwencjami prze-  
szłości. To dążenie do syntezy.”<sup>1)</sup>

Powieść „Obłąd” została napisana przez Je-  
rzego Krzysztonia w końcu lat siedemdziesiątych,  
u schyłku kolejnego okresu „aluzywności” i kostiumo-  
logii w naszej literaturze, będącego skutkiem  
wieloletniej działalności cenzury.

Akcja utworu, mająca w przeważającej części  
charakter rozbudowanego artystycznie reportażu,  
rozpoczyna się w lutym 1971 r., a kończy się w sierp-  
niu tego samego roku. Jedną z przyczyn tytułowego  
„obłądu” radiowego reportera jest otaczająca go rze-  
czywistość społeczna i polityczna. Polska lat sześć-  
dziesiątych i siedemdziesiątych to kraj, w którym  
porządek praw jednostkowych został zastąpiony  
„prawami statystycznymi”. Wszelki indywidualizm  
jednostkowy w ocenie oficjalnej ideologii marksis-  
towsko-leninowskiej oraz w propagandzie rządzą-  
cej partii jest „podejrzany”. Wrażliwy Krzysztof J. nie  
może się pogodzić z rolą „statystycznie zadowolone-  
go”, chociaż w rzeczywistości wyalienowanego i za-  
tomizowanego w społeczeństwie człowieka. Bohater  
nie może konsekwentnie pełnić żadnej z okre-  
ślonych ról społecznych. Kimś innym jest jako przed-  
stawiciel oficjalnej polityki kulturalnej, wykonujący  
moralnie „podejrzany” zawód dziennikarza, kimś  
innym chce być we własnym domu. Takie „schizo-  
freniczne” rozdwojenie postaw i reakcji ludzkich nie  
mogło być czynnikiem integrującym, lecz przeciwnie –  
dezintegrującym wrażliwsze jednostki, skaza-  
ne na zniszczenie własnej osobowości. Dwoiste po-  
stawy ludzkie w społeczeństwie totalitarnym zmu-  
szają również ludzi do powszechnej nieufności i unie-  
możliwiają autentyczne porozumienie społeczne.  
Dlatego Krzysztof J., w wstępnej fazie swej choro-  
by, przestaje wierzyć komukolwiek z najbliższego  
otoczenia. Wracając ze służbowej podróży w pocią-  
gu rozpatruje on rejestr win wobec władzy, którą –  
w jego wyobrażeniu – reprezentuje coraz więcej  
„prześladowców”<sup>2)</sup>, nieznanymi agentów. Odczucie  
„tropienia i osaczenia” jest subiektywne, ale „winy”  
bohatera nie są wymaginowane, gdyż mają swe  
odniesienie w konkretnych warunkach społeczno-  
politycznych przelomu lat sześćdziesiątych i sie-  
demdziesiątych. W późniejszej wędrówce po War-  
szawie bohater powieści uzupełnia swój rejestr „prze-  
stępstw” przeciwko ówczesnemu prawu, za które  
mógłby być pociągnięty do odpowiedzialności. Tak  
więc reporter ma na sumieniu nielegalne, choć nie-  
świadome, przekroczenie granicy polsko-słowackiej  
z grupą studentów; próbę doręczenia orędzia do

narodu; głoszenie radykalnych poglądów wśród stu-  
dentów; publiczne mówienie o przysługujących pra-  
wach obywatelskich do wolności osobistej; złożenie  
do druku w redakcji artykułu na temat prawa do  
wolności wypowiedzi czy też, natychmiast udarem-  
nioną przez milicjanta, próbę przeprowadzenia an-  
kiety wśród ulicznych przechodniów na temat na-  
strojów społeczeństwa. Z tego ostatniego powodu  
otrzymuje w redakcji reprimendę „za przekroczenie  
kompetencji służbowych” od strachliwego zwierzch-  
nika.

Oprócz tego przyczyną lęku i stresu Krzys-  
tofa J. jest niedawny konflikt społeczny gdańskich  
robotników z „ludową” władzą, w wyniku którego  
padły strzały wojska przeciwko upominającym się  
o swoje prawa ludziom. Tak drastyczną decyzję władz  
wrażliwy reporter przeżywa jako klęskę osobistą.  
Dlatego kilkakrotnie wspomina „czarną”, najsmut-  
niejszą wigilię 1970 roku, po której, jak wyznaje:  
„Nosilem w sercu żalobę dość gorzką, aby nie spać po  
nocach”<sup>3)</sup>.

Autor artykułów może pisać prawdę tylko  
„między wierszami”, gdyż, jak inni pisarze, dzienni-  
karze i naukowcy, wie, że tylko w języku aluzyj-  
nym, „ezopowym” można nawiązać kontakt z czytel-  
nikiem, jednocześnie nie narażając się na cenzurę. Tak  
postępują uczciwi autorzy, nie chcąc wspierać „pro-  
pagandy sukcesu”. Przeciwnieństwem takich postaw  
jest zachowawcza postawa ekonomisty, wspierają-  
cego władzę uczestnictwem w kreowaniu „propa-  
gandy sukcesu”, który na warszawskiej ulicy mówi  
dziennikarzowi, że „[Polska] to kraj wielkich perspek-  
tyw (...)”, w którym „czeka nas wielka przyszłość”.

Zagubionego Krzysztofa J. dręczą patologicz-  
ne przejawy życia społecznego, takie jak faktyczna  
niejawność wielu zjawisk i faktów czy mafijność ży-  
cia publicznego. Jednak te zjawiska polskiej rze-  
czywistości bohater przełożył na kod objawów wła-  
snej choroby. Skoro istnieje schizofreniczny roz-  
dzźwięk między tym, co oficjalne a tym, co nieofic-  
jalne w myśleniu społecznym, skoro o wszystkim  
decydują ci „na górze”, to – według skojarzeń analog-  
icznych chorego dziennikarza – muszą być tajem-  
nicze siły i zmitologizowane instytucje, upostacio-  
wane w trustach mózgow, o wszystkim decydujące.  
Toteż bohater powieści interpretuje świat, posługu-  
jąc się chorobliwie wyolbrzymionym kodem rze-  
czywistego, realnego otoczenia społecznego. Dlate-  
go świat Krzysztofa J. składa się ze znaków ma-  
giczno-wróżebno-mitycznych, mających odniesie-

nia w konkretnych formach zachowań społecznych.  
Reporter wyciąga wnioski z ducha czasu, w którym  
żyje.<sup>4)</sup> W chaosie świata, widzianego przez pryzmat  
psychozy, szuka punktów odniesienia i oparcie na  
zdegradowanych w rzeczywistości realnej autorytet-  
tach, które mogłyby wskazać mu wyjście z błędne-  
go koła własnych niemożności.

Reporter zaczyna widzieć rzeczywistość okiem  
konspiratora. Jest przekonany, że cudem uniknął  
rozlicznych niebezpieczeństw. Przyzwyczajony do  
partyjno-biurokratycznego żargonu, czyli „nowomo-  
wy” używanej powszechnie, wie, że znaczenie wy-  
powiadanych słów w życiu publicznym faktycznie  
jest inne. Dlatego rozszyfrowuje dwuznaczności słow-  
ne i szuka ukrytego sensu słów u wszystkich przy-  
padkowych rozmówców. Poza tym o wymaginowa-  
nym niebezpieczeństwie sygnalizują mu, niezauwa-  
żalne dla innych, znaki i sygnały takie jak: stukot  
kół pędzącego pociągu, nadające tajny tekst depe-  
szy; sygnały świetlne i numery autobusów i tram-  
wajów, będące jednocześnie ważnymi datami w pol-  
skiej historii. W tej funkcji występują również nazwy  
dzielnic i ulic, szczydy i nazwy instytucji, a nawet  
slogany partyjnej propagandy czy nagłówki i tytuły  
w gazetach.

Powyższe „sygnały ostrzegawcze”<sup>5)</sup> w postaci  
zakazów i nakazów mają zabezpieczyć bohatera  
przed niebezpieczeństwem, wprawdzie subiektyw-  
nym, ale wyrastającym na podłożu realiów społecz-  
nych i uwarunkowań historycznych dramatycznej  
historii Polski.

We własnym mieszkaniu Krzysztof J. nadal  
rejestruje znaczące sygnały, określone „narodową”  
semantyką słowa i melodią płynącą z radia.

W ten sposób reporter zostaje Tajnym Agen-  
tem Dobrej Woli w Międzynarodówce Mózgów.  
Mimo woli kreuje karykaturalne wcielenie pracow-  
ników realnych urzędów i instytucji, opracowują-  
cych dla władz raporty o nastrojach społecznych,  
chcąc wręczyć identyczny raport mitycznemu Do-  
stojnemu Rozmówcy. Tak więc, owładnięty choro-  
bą, Krzysztof J. jest jednocześnie ofiarą, ale rów-  
nież i wytworem rzeczywistości społeczno-polity-  
cznej, w której żył przez lata. W jego postawie,  
zachowaniach i gestach zachodzi zjawisko persewe-  
racji, czyli mimowolne dążenie do utrzymania utrwa-  
lonej struktury osobowościowej i czynnościowej, nie-  
zależnie od obiektywnych bodźców otoczenia.<sup>6)</sup>

Dezintegracja osobowości reportera wynika  
również z totalnej dewaluacji wartości porozumie-  
nia słownego na skutek utraty autentycznej więzi  
i komunikacji międzyludzkiej.<sup>7)</sup> Dlatego też Krzys-  
tof J. marzy o prawdziwym, autentycznym porozu-  
mianiu się z całym społeczeństwem, celowo za-  
tomizowanym przez rządzących. Dziennikarz roz-  
waża o tajnym, pozasłownym sposobie porozumie-  
wania się, o komunikacji bezpośredniej: mózg –  
mózg. Jednak, we wcześniejszej fazie choroby, do-  
strzega również obiektywne niebezpieczeństwa  
stecznicyzowanego społeczeństwa, w którym osią-  
gnięcia naukowe i cywilizacyjne stać się mogą, jak  
w wizyjnej prozie G. Orwella<sup>8)</sup>, przyczyną podpo-  
rządkowania społeczeństwa celom politycznym.

Chaos informacyjny, wyścig osiągnięć cywili-  
zacyjno-technicznych, prowadzący w końcu do na-  
gromadzenia broni atomowej, wyścig zbrojeniowy  
– o którym myśli często Krzysztof w innych partiach  
tekstu powieściowego – to przecież są „obłądy” zbio-  
rowe współczesnego świata, które są również przy-  
czyną lęków bohatera powieści Krzysztofa, zanim  
nie staną się one fabułami jego wizji. Widząc zagro-  
żenie, „ogłasza on alarm dla planety Ziemia”. W eufo-  
rii chorobowej Krzysztof J. będzie rozumieć  
się z innymi, przekazując i przechwycając myśli jak  
radioteleskop. Jest przekonany, że dostąpił wiedzy  
o „Tajnym Systemie Porozumiewania się”. Zadaniem  
dziennikarza stanie się „rozszyfrowanie” i uporząd-  
kowanie świata w stanie chaosu. W tym celu repor-  
ter ostatecznie przeistoczy się w myśliciela, przeni-  
kającego tajemnice egzystencji ludzkiej.<sup>9)</sup>

www.fotolabedz.com.pl

Studio Fotografii  
Artystycznej  
„Pod Łabędziem”



Marek Rutkowski  
Bydgoszcz, tel. 052/ 322-54-69  
ul. Gdańska 5



Dokończenie ze str. 33

Krzysztof J., duchowy spadkobierca romantycznych „szaleńców”, „cierpiący za miliony”<sup>10)</sup>, nie może bezkarnie funkcjonować w zuniformizowanym – w myśleniu i reakcjach zbiorowych – społeczeństwie, które dość ściśle chce określać normy i jednostkowe formy zachowań. Bohatera powieści Krzysztonia musi więc spotkać ostracyzm społeczny i – w efekcie – izolacja w szpitalu psychiatrycznym, chociaż nikt z jego otoczenia nie potrafi wyjaśnić, na czym ta norma i patologia zachowania i myślenia polegają.

Wystarczy, że Krzysztof przekroczył konwencje społecznie uznanych zachowań. Dlatego też protestuje przeciwko izolacji społecznej, zwracając się do żony „(...) z czego ty chcesz mnie leczyć? Rzeczywistość wyleczysz? To wszystko, co się wokół mnie dzieje?” W tej wypowiedzi bohatera autor „Obłądu” wskazał wprost, że choroba Krzysztofa J. jest maską autorską, z za której Krzysztofa, opisując chorobowe „wizje” bohatera, faktycznie chce oskarżyć społeczeństwo i panujące w nim „psycho-genne”, niszczące jednostkę uwarunkowania. „Obłąd” okazuje się więc, między innymi, powieścią polityczną.

Wstępujący w otchłań obłądu dziennikarz Krzysztof J., przeczując już swą „Golgotę tworskową”, musi „oszaleć po polsku”. Zostaje bowiem uwikłany we wszechobecną każdemu Polakowi historię, determinującą od wieków indywidualne życiorysy i podświadomość zbiorową. Już podczas opisu znaczącej topografii Warszawy, w której „wszystko się koiarzy” bohaterowi ze szczególnie tragicznymi, wyjątkowymi, a jednocześnie bohaterскими momentami dziejowymi porozbiorowej Polski, można zauważyć to uwikłanie Krzysztofa J. w historię.<sup>11)</sup> Dlatego też tworskowski szpital dla psychicznie chorych jest jakby dalszym etapem wędrówki „po polach bitew narodowych”. Jest on także miejscem spotkania autorytetów moralnych, skupionych – według Krzysztofa J. – w Korpusie Rezerw Obywatelskich, które mogą ocalić znajdujący się w impasie kraj. Tak więc na szpitalnych korytarzach bohater spotka Marszałka (Piłsudskiego) – Dziadka, którego od dawna darzył estymą, a nawet otaczał kultem. Stąd apologetyzowanemu Dziadkowi przydzieli Krzysztof J. najwyższą funkcję, w powołanym do życia we własnej wyobraźni Korpusie Rezerw Obywatelskich. Oprócz tego spotka generała Sowińskiego, księcia Józefa Poniatowskiego, młodego Dmowskiego i innych. W realnym planie powieści, gdy bohater wyzbędzie się „urojeń właściwych Polakom”, wynikających z wychowania pokoleń w kulcie romantycznych herosów<sup>12)</sup>, dostrzeże, że Marszałek to tylko opuszczony przez rodzinę dziadek, generał Sowiński to warszawski krawiec, który stracił nogę w 1939 roku, ksiądz Józef Poniatowski to małomiasteczkowy nauczyciel Roman, a młody Dmowski to mało rezolutny Zbyszek.<sup>13)</sup> W szpitalu niemal wszyscy pacjenci zyskują w oczach Krzysztofa J. podwójne wcielenie i budzą różnorakie skojarzenia egzystencjalne i historyczne. Występują więc biografie realne – jawne, współczesne oraz tajne – historyczne. Owa podwójność biografii pensjonariuszy szpitala, w którym przebywa Krzysztof J., wskazuje na przekonanie bohatera o ciągłości egzystencji ludzkiej i historii, a także podkreśla ciągłość dziejów jednostkowych i zbiorowych, ciągłość nieśmiertelnych wartości, scalających organicznie polskie dzieje marzeń i czynów.

Apologetyczny stosunek bohatera powieści do tradycji romantycznej dwudziestolecia międzywojennego i „pokolenia tragicznego” lat 1939-1945 ma również swoje odniesienie w polskiej rzeczywistości społeczno-politycznej. Krzysztof J. jest członkiem zbiorowości, w której poczucie wielkości dziejowej spleta się z rozpaczą „spodłonej rzeczywistości”, w której mają korzenie „obłądy” indywidualne i zbiorowe.

Przez wiele lat w PRL-u oficjalnie obalano autorytety, szczególnie te związane z dwudziestoleciem międzywojennym. Dlatego historia, o której chciano zapomnieć, pojawia się w wizjach Krzysztofa, stanowiąc jakby metaforę polskiej podświadomości zbiorowej. Kult Piłsudskiego i herosów romantycznej legendy narodowej, pomimo niewąt-

pliwiej stereotypowości w myśleniu o polskiej kulturze i historii, jako o „Hiobowym losie”, staje się w logice skojarzeń bohatera obroną autorytetów i wartości narodowych.

Duchowa inicjacja Krzysztofa J. staje się zarazem peregrynacją w dwa wymiary: egzystencjalny i historyczny, gdyż – według słów bohatera – „(...) między tym, co było, co jest i co będzie, nie ma żadnych granic (...)”

Krytyka rzeczywistości społecznej zawarta jest również w realiach szpitalnego otoczenia Krzysztofa J.: przepelnione sale, brak leków, w strzępach szpitalna bielizna i odzież, grube kraty w oknach, duszna i mroczna atmosfera szpitalnych wnętrz – pozostałości jeszcze po carskich koszarach, bardzo złe jedzenie, kąpiel raz na kilka tygodni. Jeszcze bardziej przejmujące są realistyczne opisy przemocy personelu, który chorych „przywraca siłą do zdrowia”, a także sala „gwałtowna”, na której krępuje się pacjentów pasami. Jest to leczenie oparte o schemat błędnego koła, podobnego do beznadziejnego, bezcelowego spaceru pensjonariuszy tego zakładu po szpitalnym korytarzu, w budynku bez klamek.

W tworskowskim szpitalu lekarze nie mają czasu na kontakt z pacjentem, na – postulowaną przez teoretyków psychiatrii humanistycznej – psychoterapię grupową i indywidualną. Cały ciężar leczenia spada więc na niższy personel, pracowane pielęgniarki i salowe.<sup>14)</sup> „Chora epoka” nie ma więc również zdrowego szpitalnictwa psychiatrycznego, w którym mogłaby leczyć „wraki ludzkie”, zdegradowane społecznie z powodu choroby, wyrzucone na „śmietnik życia” jednostki za to, że nie potrafiły opanować sztuki pozorów i konwensu „normalnych” zachowań.

Krzysztof J. i jego towarzysze niedoli najsukcesyjniej więc leczą się sami! W szpitalu dziennikarz najpierw radykalnie odrzuci rzeczywistość po to, aby w końcu podjąć stopniową próbę jej uporządkowania i zaakceptowania.<sup>15)</sup> Szpital, będący swego rodzaju „zwierciadłem społecznym”, a więc metaforą obojętnej na los słabszych jednostek zbiorowości, jest również symbolem sił niszczących najwrażliwszych. Autor powieści sugeruje, że zbiurokratyzowane i niedoinwestowane szpitalnictwo, symbolizujące całe „obłądne” społeczeństwo, także należy poddać kuracji.

Tak więc Krzysztof J. i jego oddziałowi kole-dzy prowadzą własną psychoterapię. Na „ciepły”, niezbędny we wszelkiej neurozie, sosunek uczuciowy<sup>16)</sup> mogą bowiem liczyć tylko sporadycznie u pielęgniarki, salowej lub – najczęściej – we własnym gronie. Integrują się więc, wprowadzając nowicjuszy w tajniki i konwencje towarzyskie oddziału, pocieszają się i zwierają wzajemnie, cenią „psychiatryczne” żarty oraz uczą bardziej zagubionych sztuki życiowego kompromisu (na przykład – jak nie narazić się brutalnemu pielęgniarzowi), podejmują dyskusje intelektualne i śpiewają. Uczucie emocjonalnej izolacji w „zbyt okrutnym świecie” zewnątrz-

nym budzi tęsknotę za silnym, uczuciowym powiązaniem. Stąd zapewne wynika łatwość zespalania się w sztucznie wyizolowanych grupach społecznych. Dopiero w szpitalu Krzysztof J. odnajduje świat ludzkich, pełnych empatii i życzliwości postaw pozwalających ocalić resztkę własnego świata przeżyć. Tu się szanuje indywidualizm i tragiczne nacechowanie losów innych ludzi. Dlatego nie tak łatwo będzie mu zdecydować się na powrót do „normalnego” świata, często zmieniającego człowieka w przedmiot. Nawet żona dziennikarza, odwiedzająca go w szpitalu, niemile odczuwa fakt, że nie znajduje z nim wspólnego języka i jest przerażona brakiem zainteresowania światem po drugiej stronie „domu bez klamek”. Nie rozumie ona, że egzystencjalne, filozoficzne i historyczno-kulturowe dysputy Krzysztofa z innymi chorymi są dla niego bardziej zajmujące niż „normalne” życie. Intelktualista-dziennikarz, jakim stanie się jej mąż w szpitalu, chce rozumieć źródła swego „obłądu”, tkwiące w nim jako w członku określonej formacji kultury polskiej i europejskiej.

Tak więc „nieprzystosowanie pozytywne”<sup>17)</sup> bohatera „Obłądu” ma charakter twórczy i wyraża jego rozwojową samodzielność. Choroba Krzysztofa J., jak „szaleństwo romantycznych herosów”, ma w sobie coś wzniosłego, gdyż cechy losu jednostkowego ulegają odbiologizowaniu, a nawet zostają „odpsychologizowane”, przestają być „zespołem lekowo-urojeniuwym”.

Zanim ponownie zintegrowany psychicznie i pogodzony z sobą i ze światem bohater wróci do swej Itaki-domu, bogatszy w wiedzę o milionach różnych „obłądów”, noszonych w sobie przez innych ludzi, zwróci się wprost do czytelników – w epilogu powieści: „Tak kończy się obłąd mój, drodzy bracia i siostry, a zaczyna wasz, który trwać będzie przez pokolenia”. W ten sposób „choroba-los” Krzysztofa J. staje się sprawą każdego czytelnika, którego autor zmusza do zajęcia stanowiska wobec problemu tragizmu ludzkiej egzystencji i prowokuje do osobistych pytań o sens życia własnego czytających „Obłąd” „bracia i siostry”.

Narrator, utożsamiający się w epilogu powieści z bohaterem „Obłądu”, zakłada, że czytelnicy, czyli członkowie tej samej wspólnoty społecznej, podobnie jak Krzysztof J. narażeni są na te same stresy, wynikające z uwarunkowań społeczno-politycznych, cywilizacyjnych i kulturowych Polski i Europy lat siedemdziesiątych. Albowiem każdy własny „obłąd” nosi w sobie nawet wówczas, gdy nie miał dotąd „karty informacyjnej” pomocy psychiatrycznej. ■

<sup>1)</sup> A. Bernat „Wiosenny dyskurs w Oborach. Spotkanie z Jerzym Krzysztoniem”, „Nowe Książki”, nr 13, 1980 r.

<sup>2)</sup> Por.: A. Kępiński, „Psychopatie”, Warszawa 1977

<sup>3)</sup> J. Krzysztoń, „Obłąd”, Warszawa 1991. Wszystkie cytaty pochodzą z tego wydania

<sup>4)</sup> J. Pięszczachowicz, „Czego się boi Krzysztof J.?” „Kultura” nr 47, 1980 r.

<sup>5)</sup> A. Kępiński „Psychopatie”, Warszawa 1977, s. 116.

<sup>6)</sup> A. Kępiński „Schizofrenia”, 1979, s. 50

<sup>7)</sup> M. Janion, „Epika życia fantastycznego. Czas formy otwartej. Tematy i media romantyczne”, Warszawa 1984, s. 363-378.

<sup>8)</sup> Por.: G. Orwell „Rok 1984”. Warszawa 1988.

<sup>9)</sup> Z. Bauer, „Most nad chaosem”, „Życie Literackie”, nr 34, 1980 r.

<sup>10)</sup> Por.: A. Kowalczykowska, „Romantyczni szaleńcy”. Warszawa 1978

<sup>11)</sup> L. Szaruga, „Powracanie do siebie”, „Więź” nr 11/12, 1980 r.

<sup>12)</sup> S. Marynowicz, „Diagnoza obłąd? (nad „Obłądem” Jerzego Krzysztonia)”, „Pismo Literacko-Artystyczne” nr 9, 1983 r.

<sup>13)</sup> W tym panteonie narodowej historii znajdowali się podobno również żołnierze, strzelający – na rozkaz – do gdańskich robotników w grudniu 1970 r. Jeden z nich znalazł się, z tego właśnie powodu, w Tworach. Jednak te fragmenty powieści zostały usunięte przez cenzurę – por.: J. Klejnocki, „Romantyczny szaleńiec w XX wieku”, „Miesięcznik Literacki” nr 9, 1988

<sup>14)</sup> Por.: A. Kaflik „Filozofia obłądu”, „Życie i Myśl” nr 4, 1981 r.

<sup>15)</sup> C. Rowiński, „Anatomia szaleństwa”, „Literatura” nr 25, 1980 r.

<sup>16)</sup> A. Kępiński, „Rytm życia”, Warszawa 1972

<sup>17)</sup> K. Dąbrowski, „Trud istnienia”, Warszawa 1986

**DRUKARKI ❖ KOPIARKI**  
**FAXY ❖ SKANERY**  
**MATERIAŁY EKSPLOATACYJNE**

**BIUROMAX**

85-027 Bydgoszcz ul. Jagiellońska 70  
www.biuromax-balcer.pl e-mail: biuromax@byd.pl  
tel./fax: 3461528, 3460165, 34601237, 3461306

**AUTORYZOWANY DYSTRYBUTOR**

**MINOLTA**  
**Gestetner**

**AUTORYZOWANY SERWIS**



Paweł Zawadzki

## Awantury arabskie

W latach 50-tych w jednym z pism kulturalnych pojawił się wiersz znanego poety, dedykowany Józefowi Stalinowi:

*Jeśli wspomnieć choć słowo o jakiejś nauce,  
Ty wszystko będziesz wiedział na jej temat;  
Twoje serce wypełnia wiedza z każdej dziedziny.  
Twój rozum jest jak ukryta Księga Boga.*

*Ty do każdej dziedziny masz swój wkład;  
uczestniczysz w każdej sprawie.*

*Ileż trudnych rzeczy, których nikt nie rozwiąże,  
Ty rozstrzygnąłeś w swoim umyśle.*

*Zajmujesz się pisaniem, układaniem poezji,  
wierszy miłosnych, nauką, badaniami i dialektyką:  
wszystko to znajdujemy w Tobie, wszystko jest wielkie  
jak morze. Ludzkość jest Tobą zadziwiona.*

Po śmierci poety, podczas porządkowania mieszkania przez spadkobierców okazało się, że cytowany powyżej wiersz jest przekładem arabskiego poematu, dedykowanego sułtanowi Al-Ghauriemu (zm. 1516), co pozwala na wniosek, zgodny z *Księgą Koheleta* – iż Józef Stalin potomkiem faraonów był!

Nie był to jedyny żart tamtych lat; pewien znany malarz na jednej z wystaw prezentował piękny portret górniką w ozdobnej czapce z piórami. Żart polegał na tym, iż był to pastisz portretu kondotiera, autorstwa słynnego włoskiego malarza...

*„Nic nowego pod słońcem”* – jak mawiał stary, mądry Kohelet.

Poeci arabscy swe poematy pochwalne poświęcili nie tylko kalifom, ale każdemu, kto gotów był ich sowicie wynagrodzić – a więc namiestnikom, wodzom, lokalnym władzom. Większość piszących panegiriki traktowała swój talent jako towar, często zmieniali faworytów, wychwalając tego, który płacił więcej. Bez wahania przechodzili od władcy do władcy, nie uważając tego za amoralne czy też za brak lojalności, wprost przeciwnie – widziano w tym solidne, rzemieślnicze wywiązanie się z zadania. Skupieni na tworze kalifów i namiestników poeci tworzyli swoistą kastę ludzi, rywalizujących między sobą o wpływy i łaski władców. Podstawowym narzędziem walki o względy protektorów była kpina i satyra, naigrywanie się z przeciwnika – tradycja dziwnie dobrze znana z lat wczesnego PRL-u...

Uważany za najwybitniejszego poety arabskiego wszech czasów, zmarły w 965 roku Al-Mutanab-

bi, był poetą do wynajęcia, jeździł po całym Bliskim Wschodzie, od Iranu i Iraku po Egipt, szukając jak najlepszych mecenasów. Nigdzie nie zagrażał długo miejsca, ale wszędzie tworzył majstersztyki klasycznej poezji, która była dlań ważniejsza od osoby wychwalanej; o wielu bohaterach jego wierszy zapomniano, natomiast poezja przetrwała.

Innym wędrownym poetą był jeden z najsłynniejszych poetów arabskich, który przemierzał pustynię utrzymując się z rozboju – Asz-Szanfary, tajemnicza postać, autor „*Poematu Beduinów*” rymującego się na literę „l”, poematu, znanego dzięki przekładowi Mickiewicza – „*Szanfary*”.

Czy ów motyw wędrownego poety nie „*przechował się*” poprzez postać Stachury? Wprawdzie nie utrzymywał się on z rozboju, lecz m.in. z gry w pokera... „*Nic nowego pod słońcem*”, jak mawiał Kohelet.

W okresie przedmuzułmańskim Słowo poety, wypowiadane w sposób uroczysty, miało działanie wręcz magiczne. Uważano, że Słowo Poetyckie tworzy rzeczywistość tak samo jak czyni, co dawało bardzo wysoką pozycję kaznodziejom i poetom. „*Rymem kpinę zwalczamy, lecz wznosimy miecz, kiedy próbują przelać naszą krew*”. (Hassan Ibn Sabit). Słowo mogło być narzędziem pochwały i ataku. A stwierdzenie, że się czegoś dokonało – znaczyło tyle samo, co dokonanie czegoś. Wiara w magiczną moc słowa warto porównać z naszymi romantykami; w czasach nowszych jest to temat żartów Mrożka lub Jordana Radczkowa („*Chryja*”).

Można też dokonać ciekawego porównania – daty Chrztu Polski i daty kilku wierszy arabskich.

Poeta Abu Mihdżan as-Sakafi, zmarły około 650 roku, prosił potomnych:

*Kiedy umrę, niech moje ciało pogrzebią w winnicy,  
by jej korzenie mogły poić moje kości.  
Nie chcę po śmierci leżeć na pustyni. Boję się,  
jak przetrwam wieczność bez zapachu wina?*

Al-Buhturi (IX w.):

*Biegłem za tobą, lecz widać nie dane mi było  
patrzeć na ciebie, dotykać ust twoich.  
Masz moje serce w dłoniach. Popatrz, miła,  
jest wypełnione tobą i pragnieniem moim.*

Zaś w poezji arabskiej, z okresu między VI a XII wiekiem, można znaleźć takie strofy:

*Rozprosz troski muzyką  
i ciesz się do woli  
dojrzałą córką winnej latorośli.*

*Ciemną nocą ruszyłem z gromadą młodzieńców,  
stęsknionych za napojem przynoszącym radość,  
do odległej winiarni...*

*Złowisz mnie w winiarni  
jeśli się uda twoje polowanie.  
A kiedy do mnie przyjdiesz, dam ci kielich wina.*

*Zabawia nas pieśniarka  
ubrana w płaszcz lub w suknię w kolorze szafranu.*

*Mówimy: śpiewaj!  
Ona bez wysiłku pieśń intonuje  
i patrzy zalotnie.  
A ja się bawię i pijam wino.*

O innych stronach życia pisze Al-Dżahiz (IX):  
*Książka uczy ludzi objawienia i urzędowych rozliczeń, choć tak lekko się ją przenosi i tak niewielkie ma rozmary. Milczy, kiedy każeś jej milczeć, jest wymowna, kiedy każeś jej mówić. Jest towarzyszem nocnego czuwania, który ci nie przeszkadza, kiedy jesteś zajęty, i który cię zaprasza, kiedy masz na to ochotę. Nie domaga się pochlebstw ani potępienia... Książka jest towarzyszem, który ci nie schlebia, przyjaciele, który cię nie irytuje, kolegą, który cię nie nudzi, proszącym, który nie nalega. ...Kiedy zajmujesz się książką, długo czerpiesz z niej przyjemności, twój umysł staje się przenikliwy, a język prosty,*

*twoje palce zwinne, dusza pełna radości, serce pełne myśli; dzięki niej zyskujesz szacunek zwykłych ludzi i przyjaźń królów. ...Nie potrzebuje snu, nie męczy jej nocne czuwanie. Jest nauczycielem, który cię nie zawiedzie, gdy go potrzebujesz, który nie odwróci się od ciebie, gdy przestaniesz mu płacić. Gdy inni się od ciebie odsuną, ona zostanie z tobą; jeśli powieją nieprzyjemne wiatry, nie odwróci się od ciebie. Jeżeli się z nią zwiążesz w jakikolwiek sposób, obejdiesz się bez innych rzeczy, a samotność nie skusi cię do zadawania się ze złym towarzyszem.”*

W osobliwy sposób autor tych słów potwierdził swoją miłość do książek – zginął w swoim mieszkaniu, przysypany stosami rękopisów, jakie zgromadził. Jak głosi legenda, podobny pomysł miał Stanisław Lem – gromadząc na strychu nad swoim gabinetem stopy książek, tłumaczonych na wszystkie języki świata. Do katastrofy nie doszło tylko dzięki przypadkowej wizycie kominiarza, który zauważył niebezpieczne ugięcie sufitu...

*„Nic nowego pod słońcem”* – jak mawiał Kohelet...

Do tych cytatów z poezji arabskiej warto dodać jeszcze jeden – poety zmarłego w 825 roku n.e.:

*Majątkiem człowieka mogą być jedynie  
wspomnienia, jakie zostawi po sobie.  
Jego własnością są dobre uczynki,  
które przechowa wierna ludzka pamięć.*

(Abu al-Atahijja)

Sięgając zaś czasów najnowszych – kto zna poemat o Warszawie, autorstwa wielkiego irackiego poety:

*Warszawo! Błyszcząca gwiazdo!  
Uwodzisz równiny i wzgórza,  
swoją wdzięk rozdając zalotnie.*

*Na wargach spragnionych, tęsknych i gorących,  
pod rzęsami powiek zamkniętych znużeniem  
Warszawa jest piękna jak dojrzałe grona.*

(AL-Dżawahiri, 1901-1998)

Wszystkie te wiadomości znaleźć można w pięknej wydanej przez PIW książce Janusza Daneckiego pt.: „*Arabowie*”. Książce zaskakującej nas co chwila, burzącej nasze stereotypowe wyobrażenia o świecie arabskim. Jak choćby wiadomość, że język aramejski, którym posługiwał się Jezus – był najbardziej rozpowszechnionym językiem Bliskiego Wschodu, z którego wywodzi się język arabski, a odmianą aramejskiego (do zapisu języka hebrajskiego) do dziś posługują się Żydzi.

Książkę gorąco polecam! Jej promocja miała miejsce w połowie stycznia w arabskiej knajpcie „*Trypolis*” (ul. Hoża 63), gdzie pyszna kawa z imbirem kosztuje tylko 2 złote i gdzie można kupić oryginalną arabską chałwę!\*

Janusz Danecki, *Arabowie*, PIW, Warszawa 2002



## BYDGOSKIE STUDIUM EKOFILOZOFII

policealna  
szkoła zawodowa

z uprawnieniami szkoły publicznej

autorski program, jedenastoletnia tradycja

Jedyna szkoła w Polsce uprawniona  
przez Ministra Edukacji Narodowej  
do kształcenia i nadawania tytułu  
w zawodzie:

### technik odnowy biologicznej

Zawód nowej generacji na miarę potrzeb XXI  
wieku – specjalista z zakresu naturalnych metod  
zachowania zdrowia i poprawy sprawności  
psychofizycznej.

Sekretariat Studium:

Bydgoszcz, ul. Piotrowskiego 11  
czynny od poniedziałku do piątku  
w godzinach 11.00-15.00, telefon (052) 349 34 61  
Internet – dalsze informacje i porady  
„*Blżej sukcesu*” [www.studium.pdi.pl](http://www.studium.pdi.pl)



ul. Dworcowa 73/20  
tel. 322-15-85  
Bydgoszcz

**Godziny otwarcia:**  
pon. - czw. 12.00 - 22.00  
pt. - sob. 12.00 - 23.00  
niedziela 15.00 - 22.00

**Zapraszamy do skorzystania z naszej oferty:**

- o ponad
- 90 gatunków herbat**
- o kawa
- o desery
- o ciasta
- o domowego wypieku
- o sałatki
- o wybór win
- o sprzedaż herbat



Tadeusz Lira-Sliwa

## To co zostaje

W latach siedemdziesiątych miłośnicy poezji (i piosenki!) podziwiali cudowny pojazd – „Białą Lokomotywę” Edwarda Stachury. Ta „żywa zjawia” „Sunęła poprzez czarne tąki/(...) Płynęła przez wspomnienia miast” (tom „Piosenki”, WAM, Warszawa 1989, s. 36).

W latach osiemdziesiątych na „liryczny dworzec” wjechały pociągi – widma, między innymi „neoklasyczny pojazd” Adama Zagajewskiego: „Jechać do Lwowa. Z którego dworca jechać/ do Lwowa, jeżeli nie we śnie, o świecie, / gdy rosa na walizkach” („Jechać do Lwowa”, „Znak po znaku. Antologia wierszy...”, PWN, Warszawa 1992, s. 297).

W latach dziewięćdziesiątych wiele hałasu czyniły „pociągi pancerne” „brulionowców” i „o’harystów”; natomiast uczniowie profesora Derridy „w pazurach między snem/ na dworcach serca” przelotnie czytali „rozkłady/ pośpiesznych słów/ aktualnych uniesień” (Sylwester Zawadzki, „Pauza 3”; tom „Ballada o niczym”, Wrocław 1995, s. 43).

– Czy legendarna lokomotywa została odstawiona na boczny tor? – Nie! W sierpniu 1999 roku wyruszyła w swą pierwszą (realną) podróż Biała Lokomotywa, a tym samym stała się faktem I Ogólnopolskie Spotkania Poetów. Co ważne, spotkania artystów odbywają się u progu jesieni w miejscach utrwalonych przez E. Stachurę na kartach „Catej jaskrawości” (Aleksandrów Kujawski, Łazieniec, Nieszawa). Na Białą Lokomotywę składają się różne formy prezentacji poetyckich i artystycznych: koncerty, wystawy, filmy, turnieje poetyckie, spotkania teatralne, etc. Dużym powodzeniem cieszy się Konkurs Jednego Wiersza.

Jest już tradycją, że z okazji kujawskich spotkań ukazuje się antologia poetycka pt. „Biała Lokomotywa”. Zawiera ona wiersze laureatów oraz poetów zaproszonych do udziału w Stachuradzie. Oto moja krótka (subiektywna) lista zaproszonych poetów: Wojciech Brzowska, Joanna Ewa Jarzymowska, Lech Loffo Landecki, Daria Danuta Lisiecka, Edmund Pietrzyk, Paweł Piotrowicz, Maciej Porzycki, Elżbieta Brygida Prażmo, Radosław Wiśniewski, Tadeusz Zawadowski (niektórzy z tych twórców publikowali w znanych pismach literackich, m.in. w „Akancie”).

Antologia „Biała Lokomotywa” składa się z trzech „lirycznych wagonów”. W pierwszym wagonie jadą „klasycyści”; w drugim – „barbarzyńcy”; w trzecim – artyści „bez przydziału”. Autorem „literackich etykietek”: klasycyści – barbarzyńcy jest krytyk (i poeta!) Karol Maliszewski. W 1999 roku opublikował w Instytucie Wydawniczym „Świadectwo” (Bydgoszcz) szkice o nowej poezji pt. „Nasi klasycyści, nasi barbarzyńcy”. Karol Maliszewski porządkuje w tej książce „papiery liryczne” różnych roczników, np. „starego” Bohdana Zadury i „młodego” Marcina Świetlickiego; kładzie te „papiery” na dwie „kupki”: klasycyści – barbarzyńcy. Oczywiście, autor tomiku poetyckiego „Rok w drodze” (Wałbrzych 2000) zdaje sobie sprawę z umowności takiego podziału.

Powróćmy jednak do „lirycznych pasażerów” podróżujących pociągiem – „Biała Lokomotywa”. W pierwszym wagonie jadą „klasycyści”. Wizytówkami tych poetów są artystyczne tytuły wierszy: „Zabawy dziecięce wg Pietera Breughla” (B. Kołodziejska), „Na Madonnę w Cambridge” (J. Welter) „W sprawie czerni. Z listu Vincenta van Gogha do brata” (H. Liszkiewicz), „Stanisława Grochowiaka rozterki czyszcówce” (E. Pietrzyk), „Beatrycze i Anioł” (M. Pisarkiewicz). W utworach wspomnianych poetów znajdziemy wiele klasycznych wątków i tropów. Ze „Stanisława Grochowiaka rozterek czyszcówce” możemy się dowiedzieć, że spora grupa zmarłych pisarzy przebywa w czyszcju, m.in. Osip Mandelsztam, Antoni Czechow i ... ksiądz Józef Baka (wiersz E. Pietrzyka; s. 15). B. Kołodziejska ma inne rozterki: nie urodziła się w którymś z „klasycznych” miast: „w Wilnie/ Lwowie, Gdańsku lub Paryżu” (s. 4). Autorka „Zabaw dziecięcych wg Pietera Breughla” ujrzała światło dzienne w polskiej wiosce: „U nas/ morzem był żabi staw/ a Sekwana szumiła w studni”. Poetka nakłada na ten naturalistyczny obraz – „klasyczny pokrowiec”:

(...)  
Matka jak Penelopa  
czekała na lepsze czasy  
A ojciec  
skrzyżowanie Ikara z Odysem  
zanim odleciał do nieba  
złamał kark na polityce  
(s. 4-5)

W drugim wagonie jadą „barbarzyńcy”. Wiersze tych poetów mają krótkie i dosadne tytuły, np. „Spowiedź Świra” (autor: R. Wiśniewski). Bohater „Spowiedzi...” ma problemy z tożsamością. Nie wie „gdzie kończy się papier a gdzie zaczyna ręka” (s. 14). Podmiot wiersza J. E. Jarzymowskiej ma większy zasób wiedzy:

to jest godzina  
bez litości  
płaska jak tabletki  
Alka – Seltzer  
zimna jak Torquemada  
godzina  
bezwzględnych budzików  
płaczących dzieci  
porannych młodości  
boleśnie pękanych gardel  
pierwszych tramwajów  
i rozespianych żon  
branych od tyłu  
(„Anonimacja”, s. 12).

Cytuję większy fragment utworu J. E. Jarzymowskiej, ponieważ jest to „ostrzy kawałek” liryki (proszę zwrócić uwagę na dwa ostatnie wersy!).

Tak, w utworach „barbarzyńców” nie ma klasycznej ciszy... Nie ma też klasycznej harmonii.

W trzecim wagonie jadą poeci „bez przydziału”. Bohater liryczny wiersza M. M. Kielgrzymskiego zgubił „bagaż doświadczeń” i tak naprawdę nic nie wie „o państwie swej głowy”. Mało tego! Podmiot liryczny nic nie wie „o ogrodach i skwerach basenach i wieżach// (...) o dworcach i cmentarzach o przychodniach Boga” („Niewiedza”, s. 5). Bohater wiersza T. Zawadowskiego jedzie w tym samym wagonie (ale „świeci nieobecnością”):

Nie pytajcie mnie o drogę bo sam tutaj tylko  
przyjrzę się trafitem I obce mi są drogowaskazy  
I zegary wskazujące  
czas odejścia jestem tutaj  
tylko przypadkiem Nie wiem  
skąd i dokąd  
drogi prowadzą (...)  
(„Tylko przypadkiem”, s. 13)

Czy współcześni poeci nie wiedzą „skąd i dokąd/ drogi prowadzą”? Czy artyści są tutaj „tylko przypadkiem”? Można więc zapytać: „to co zostaje/ czym jest?” (D. D. Lisiecka, „To co zostaje”, s. 29).

Cyprian Kamil Norwid w wierszu-poemacie „Do Bronisława Z.”, czyli Bronisława Zalewskiego, napisał między innymi: „Skarby i siły przewieją, ogoty całe zadrzą/ Z rzeczy świata tego zostaną tylko dwie/ Dwie tylko: Poezja i Dobroć... i więcej nic...” (tom „Poezje wybrane”, LSW, Warszawa 1997, s. 163).

W spóźnieńcy poeci nie wiedzą, czy przed końcem świata (po końcu świata?) pozostanie Poezja i Dobroć. Wiersz B. Kołodziejskiej kończy się: „Zegary serc wyrwane z korzeniami/ biją coraz ciszej” (s. 5).

Biała Lokomotywa.  
Antologia poetycka, red. Daria D. Lisiecka,  
Miejskie Centrum Kultury,  
Aleksandrów Kujawski 2002, ss. 22

Każdy dzień jest inny



85-023 Bydgoszcz, ul. Toruńska 20  
tel. 052/375 36 20

Czynny w godz.:  
poniedziałek–czwartek 18<sup>00</sup>–1<sup>00</sup>  
piątek–sobota 18<sup>00</sup>–4<sup>00</sup>

## Atrakcje:

- ✓ w piątki – soul, funky, hip-hop,
- ✓ w soboty – strip-tease artystyczny (o północy)
- ✓ w poniedziałki – wieczorki filmowe
- ✓ transmisje imprez sportowych na telebimie
- ✓ imprezy zamknięte (potanówki, 18-tki, studniówki, urodziny, jubileusze)

Klimat undergroundu, ściany ręcznie malowane,  
szybka obsługa, nieskie ceny, bezpieczeństwo.



Józef Jacek Rojek

## O wierszach Jerzego Salaty

1.

Kiedy pisałem recenzję pierwszego tomu poezji „Zboża urodziwe” (1982) JERZEGO SALATY, zacytowałem jeden z jego utworów określający sedno tej twórczości: „skiby/kaligrafowane przez pług (...) aż do samej miedzy na której/ sąsiad z ojcem/ ćmią papierosy”. Oto poetyka tych utworów, które – proste w obrazowaniu i konstrukcji formalnej – niosą treści niemal biograficzne: od dzieciństwa autora po dojrzałość (odejście z domu położonego nad Łyną). Ta załączkowa samoświadomość poetycka i autentyzm przeżył godne są uwagi, bowiem „Nikt już nie pamięta – ja jestem”.

Henryk Panas (1912-1985) – olsztyński prozaik i znawca literatury – konstatuje w recenzji „Cieśla – poeta” („Gazeta Olsztyńska” nr 54/1983): „Wprawdzie nie przepadam za współczesną poezją, gdyż wciąż mi się wydaje, że za dużo w niej mistyfikacji i sztuczności, ale w przypadku Jerzego Salaty przemawia ona do mnie tonem czystym jak poranna rosa. Użyłem tej metafory, bo mi bardzo pasuje do treści i formy strof, w których przeważa liryka związana z przyrodą i z wsią”.

2.

W tomie wierszy „Z opłotków wsi” (1989) wspominałem Maurycyego Mochnackiego (1803-1834) – teoretyka i krytyka, polityka i uczestnika powstania listopadowego – który pisał „O duchu i źródłach poezji w Polsce”: „Historia poezji złączona jest z historią człowieka (...) żyje w świecie pamiętek, w dziedzinie znikłych wieków lub w przyszłości umajonej kwiatami twórczej imaginacji, albo raczej żyje w myśli i tęsknocie”. Te

drogie „pamiętki” są dla Jerzego Salaty bardzo drogocenne – bo osobiste, wywodzące się z jego wsi „pierwszego słońca”, gdzie się autor urodził i spędził dzieciństwo. Cała twórczość Salaty pochodzi z jego „myśli i tęsknoty”, które niejako zmuszają go, by je przelać i utrwalić w piśmie, chociaż rodzą się w trudzie i znoju. Wiersze wyrastają z podłoża jego „życiowej gleby”: pracy, miłości oraz tęsknoty za odeszłymi osobami i chwilami. Wspominając przeszłość zawsze konfrontuje ją z teraźniejszością, jakże odmienną od zaprzeczonych, ale ciągle wirujących w pamięci dni.

3.

Andrzej Staniszewski – profesor literatury i krytyk olsztyński – pisze w tomie „Stąd widać małe miasteczko” (1991) m.in.: „W poezji Jerzego Salaty zostaje podjęty dialog z naturą, dialog z księgą natury (...) Wielokrotnie powracający w wierszach Salaty wątek konfrontowania realności, rzeczywistości, natury ze sztuką, słowem, kreacją, najlepszą egzemplifikację uzyskuje właśnie przez zestawienie elementów pejzażowych z przeżyciem czy częścią – z refleksją podmiotu tej liryki (...). Istotne zatem wydaje się silne zakorzenienie liryki Jerzego Salaty w tradycji romantycznej (i neoromantycznej). Autor »Zbóż urodziwych« jest tej tradycji bliski poprzez traktowanie pejzażu jako »zwierciadła duszy« i ja lirycznego jako »zwierciadła natury«. Potwierdza tę zależność także przekonanie o jednorodności wszechrzeczy, skłonność do penetracji głębin – ziemi i psychiki”.

Nic dodać, nic ująć.

4.

Także w tomie „Potrzebne światu” (2001) zawarte są refleksje na temat twórczości Jerzego Salaty, podjęte przez Jerzego Górczyńskiego: „Wiersze Jerzego Salaty są proste tylko pozornie. Przy bliższym wejrzeniu wymykają się realnej ocenie i wkraczają w całą metafizykę codzienności. Poetyckie metafory wymykają się uogólnionym ocenom”.

Tadeusz Matulewicz zaś pisze: „Nieprzypadkowo nazwałem Jerzego Salatę bartoszyckim Kajką. Obaj cieśle mają podobne rodowody: pochodzenie z biednych rodzin, zdobywanie literackiej wiedzy drogą samoucznictwa, w trudzie borykanie się ze słowem, podziw dla pracy i przyrody, tworzenie liryki krajoobrazowej (...). Wyrasta ona z podłoża jego życiowej gleby: wsi i miasteczka, jego pracy, zauroczenia przyrodą, tęsknoty za obrazami z przeszłości i osobami, które odeszły. Proste wiersze, nie które jak nieoheblowane deski, powstawały z wysiłku”.

A Erwin Kruk („Gazeta Olsztyńska” 2002) dodaje: „U Jerzego Salaty w tomiku »Potrzebne światu« dostrzegam tu i ówdzie naturalne uwarunkowanie na przyrodę. Jest też kilka zgrabnych utworów, które mieszczą się w nurcie, który dawno temu nazywano autentyzmem”.

5.

Jerzy Salata opublikował dotychczas tylko pięć tomików wierszy, ale jednak ta twórczość jest na tyle „uczciwa poetycko”, autentyczna współczesnością i mająca swój artystyczny wydzźwięk, że warto było zacytować powyższe refleksje i omówienia.

Oczywiście, nie jest też bez skazy czy ułomności formalnej: „Tak mówię/ przecież ja jestem tylko człowiekiem/ – mogą się mylić”, jak również „wiersz jest tylko wierszem”. Ale i stąd poezja autora „Środka świata” jest dojrzała intelektualnie w jej zanurzeniu egzystencjalnym; wtopiona, jak napisał Andrzej Staniszewski, „w jednorodność wszechrzeczy – ziemi i psychiki”.

Stanisław Chyczyński

## Psychodeliryczny (sic!) dorobek

S. Pastuszewski zachwycał się kiedyś wrażliwością, lingwistyczną precyzją i zdyscyplinowanym intelektualizmem ANDRZEJA DOROBKA. W recenzji tomu „Po tamtej stronie światła” przyrównywał poziom sztuki poetyckiej Dorobka do „mocnego, niemal doskonałego lotu” (vide: „Akant” nr 8, 1998, str. 21). Zachęcony tak pochlebną opinią, wziętem „na ząb” najnowszy zbiorek płockiego poety, spodziewając się co najmniej „smakowitej strawy” dla zblazowanego umysłu. Niestety, lektura „Translacji i transfiguracji” (przynajmniej, tytuł to wielce obiecujący) nie spełniła moich oczekiwań. S. Pastuszewski we wspomnianej recenzji nazywa twórczość autora „Odprysków” ulicznych liryzmem. Śładź „życiopisanie” A. Dorobka ewoluuje, jako że teraz mniej w tym liryzmu, a więcej ulicznej kakofonii. Dla przykładu wsłuchajmy się w wybrany fragment „Transfiguracji”:

...a przecież ustaliliśmy:  
bawimy się w czarnego luda,  
a nie w ślepa babkę –  
nie w pana i służę,  
a w policjantów i złodziei –  
w berka  
a nie w klasy –  
nie w kuku na muniu  
a w tere fere kuku –  
w raz-dwa-trzy-baba-jaga-patrzy  
a nie –  
A tu  
pałka-zapałka-dwa-kije?

(str. 29)

Alęz pojemny intelektualnie cytat? Czy myśl w nim zawartą trzeba było aż tak zabeltać?

Miłosz Biedrzycki posiłkował się dziecięcymi wyliczankami już 10 lat temu, tak jakby nie czynił tego Apollinaire na początku ubiegłego stulecia... Awangardowe wiekowa, w czym tkwi *novum* twego *expressio*?

Á propos: A. Dorobek proponuje nową próbę rozszerzenia konwencji literackiego przekładu (translacja) oraz artystycznej wariacji na temat (transfiguracja). Podstawą takiego eksperymentu jest totalnie swobodna gra skojarzeń w oparciu o fonetyczne, semantyczne i etymologiczne związki leksykalne. Autorskie realizacje tego interesującego konceptu, niestety, zbyt często tracą efektem *logorei*. Teksty Dorobka odznaczają się nierzadko błyskotliwym dowcipem, imponującą pomysłowością, wyszukany zbitkami słownymi, ostrością konstatacji oraz zawierają mnóstwo ciekawych aluzji, np. literackich (od utworów R. Musila, F. Kafki, A. Camusa, Z. Herberta, W. Szyborskiej, etc.). Momentami jednak stają się zupełnie niekomunikatywne, nawet dla czytelnika oswojonego z psychodelicznym rockiem czy współczesną poezją amerykańską. Jeśli miałyby stanowić parodię, tak dzisiaj popularnego, przenoszenia obcych (czyt. angielskich) wzorów na rodzimym gruncie, to ich przesłanie zostało nazbyt zakamuflowane. Niemniej, z uwagi na prywatne fascynacje autora, wydaje się to fałszywym tropem. Dlatego domyśl, iż zapisy te są pochodną takiego zauroczenia, pozostaje w pełni uzasadniony.

Ambitne, erudycyjne poezjowanie Dorobka wypływa z trzech źródeł: 1) dadaizmu, czyli anarchii estetycznej, 2) postmoderny, 3) psychodeli. Bardzo symptomatyczna to koincydencja. Mimo iż owoce niekiedy naprawdę kapitalnymi wierszami (np. „K jak” czy „Ogłaszam bankiet dla”), nie neutralizuje to ogólnego wrażenia, że tym razem płockiego twórcę zawiódł zmysł selekcji. Autor „Świąta Zmarłych” wielokrotnie dowiódł, że stać go na żądki, inteligentne, dojrzałe teksty, więc powinien odczekać, aż skompletuje zestaw autentycznie znakomitych „przekładów” i „przeobrażeń” (chciałoby się dorzucić jego własną uwagę: „zwłaszcza w czasach nadprodukcji tomików poetyckich”, str. 26).

Moim nieskromnym zdaniem psychodeliryczny (sic!) Dorobek (epitet odautorski, por.: str. 51) za bardzo uległ wpływowi modnego dekonstruktywizmu. Weźmy np. „Capriccio Italiano” (s. 20): zastanawia mnie, czy klasycystyczne podobieństwo pomnika rzeźby przedstawiającej Józefa Poniatowskiego do pierwowzoru – M. Aureliusza – może być wystarczającym powodem, by naszego bohatera narodowego zwać pogardliwie Ziutkiem Poniatoszczakiem? Niesmaczny żart. Entropia myśli (mówiąc eufemistycznie), będąca przejawem atrofii zachodniej kultury, pogłębianą programową dekompozycją, przyczyni się do upadku naszej cywilizacji. Taki finał to chyba spełnienie marzeń dla tych, którzy swe życie złożyli na ołtarzu kontestacji ponadczasowej schedy ludzkości. Potwierdza to optymistyczna pointa jednego z wierszy: „I tak spotkamy się wszyscy w niebie dekonstrukcji” (str. 30). Panie Andrzeju, to nieprawda. Mnie tam nie będzie!

Andrzej Dorobek, *Translacje i transfiguracje*, IW „Świadectwo”, Bydgoszcz 2002, ss. 54



Adam Majewski

## Podróż sentymentalna

1.

Czytam dużo wierszy swoich rówieśników i wraz z lekturą kolejnego tomu, który wyszedł spod pióra dwudziestoparoletniego autora, odnoszę wrażenie, że poza (mniejszą lub większą oczywistość) sprawnością językową nic nas w zasadzie nie łączy. I w powyższym zdaniu nie próbuję odciąć się od wszystkich piszących koleżanek i kolegów, urodzonych po 1970 roku. Kryzys młodej polskiej literatury polega na braku bodźców pozwalających ustosunkować się w jakiś sposób do życia. Szczegrze dosyć mam już wierszy o codzienności i szarym życiu i tej całej „Polsce 2”, która „jeszcze [...] w ciemnościach nie zginęła”, acz padł na nią cień „bruLionu” oraz bezwiednych kontynuatorów, niekoniecznie naśladowców.

Obecnie często sens utworu da się zamknąć na pierwszym poziomie interpretacji, co doprowadziło do tego, że poezję równie dobrze można traktować jako specyficzną odmianę pamiętnikarstwa. Nieliczni z młodych, szczególnie wczesny Krzysztof Siwczyk i Bartosz Muszyński, są na tyle świadomi własnego warsztatu i odważni, aby nie dryfować wraz z innymi, a także nie pisać w podobnej manierze. Próba nadania sensu beznamietnym opisom rzeczywistości swojego mieszkania, dzielnicy czy miasta, a także tych wszystkich postaci, które zazwyczaj są płytko zarysowane i potraktowane nawet jak przedmioty, jest ton krytyczny. Ton krytyczny i towarzyszący mu – albo raczej z niego wynikający – ironiczny uśmiech biorą się raczej z niechęci, aniżeli z prawdziwego zagrożenia.

2.

Ironiczny uśmiech jest jedną z głównych cech twórczości PAWEŁA LEKSZYCKIEGO. Na szczęście na ironizowaniu i sarkazmie się nie kończy. Poecie

udaje się bowiem przekroczyć młodoliterackie sztampy, opisać coś więcej niż tylko najbliższą rzeczywistość, bo – jak się wydaje – poszukuje on sensu i zastanawia się nad otaczającym światem w dość oryginalny sposób. Jest on współautorem (z Pawłem Sarną) książki poetyckiej pt. „Ten i tamten” (Bydgoszcz, 1999), a także arkuszy „To i tamto” oraz „Stodkie żale”.

Ostatnio zaproponował nam „wiersze przygodowe i dokumentalne”, które są wycieczką w świat dzieciństwa, dojrzewania i (ogólnie rzecz biorąc) młodości; są także analizą odległej przeszłości:

„pamiętam kubusia puchatka i bolka i lolka  
jak chowałem się pod stołem  
na widok gargamela albo baby jagi  
nie lubiłem chatki na kurzej stopce ani jej  
krzywego nosa”  
(„raport z dziecięcego pokoju”)

Albo nawet wiwiskęją terażniejszości:

„zaglądam do wózka – uspijony berbec  
to wreszcie kolejna zmiana zmiany  
pod słońcem. przez chwilę czuję się  
jak odłożony słój w drzewie. drętwieję  
kiedy pomyśle, że moja kolej nadjeżdża”.  
(„wiersz w którym się podejrzewa”)

Ten poeta (podszyty dzieckiem) jest o tyle szczególnie, że posiada i opanował do perfekcji umiejętność wyciągania wniosków z zawilej natury wydarzeń, które stanowią niejako podstawę rzeczywistości i przez to są źródłem porządku – a jest nim upływający czas. Lekszycki, nie mogąc odnaleźć wystarczającego bodźca w terażniejszości, w której króluje pustka i szarość, próbuje uzasadnić swoje istnienie poprzez rozsmakowanie się w upływającym czasie. Sięga po ten układ odniesienia, aby anulować chaos świata, wprowadzić doń uniwersalny porządek.✶

Paweł Lekszycki, *Wiersze przygodowe i dokumentalne*, Biblioteka „Kartek”, Białystok 2001

Adam Majewski

## Ile kosztuje świat?

1. Nic

»just pierce your tits«  
„świat boli mocniej”

Okazuje się, że „młodzi końca wieku piszą”, mimo bolesnego odczucia, że to, co robią, jest „promocją nicości”. „Jak zostać poetą?” pyta BARTOSZ MUSZYŃSKI „panią od polskiego”, lecz jedyną odpowiedzią, jakiej może się spodziewać, jest łagodne milczenie buddy. Milczenie jest pustką, pustką nicością, nicość kolejnym „an american-like poem”, a ten tylko promocją nicości. Czy wobec tego przez pisanie biegnie ścieżka do nirwany?

Nicość promuje Muszyński już po raz drugi. Jego ostatnia książka poetycka to „Kajmany”. Znaczenie tytułu nie jest zagadką – chodzi o rodzaj krokodyli, lub o *Cayman Islands*, które wynurzają się z Morza Karaibskiego i przypominają owe groźne zwierzęta. Można pójść dalej: Kajmany są kolonią przybyłych z odległych (zimnych) krajów, leżącą na morzu, którego bezkres wywołuje wrażenie pustki. Ale czy o pustce można powiedzieć, że jest bezkresna, nieskończona? Taka jest właśnie nicość. Autor ją wywołuje, by zamknąć w znanym skądinąd języku (patrz: wiersze Marcina Świetlickiego). Pierwsza książka poetycka Bartosza Muszyńskiego nosiła tytuł *Języki obce* (Wydawnictwo „Lampa i Iskra Boża”, Warszawa 1999).

2. Plazma

Wcale nie zdajemy sobie sprawy z tego, co już zostało wypowiedziane, co zostało stworzone przez język. Nie wiemy dokąd zaprowadzi on, własny-obcy, i dokąd zmierzają stwarzany przez nazywanie świat. A przede wszystkim ile nas kosztuje stwarzanie świata.

Otóż stwarzanie świata kosztuje nas zaledwie kilka słów, parę linijek, ale pod warunkiem, że kontrolujemy język i jesteśmy świadomi go jako narzędzia do odkrywania kolejnych wysp – Kajmanów rzeczywistości. *Cayman Islands* zostały odkryte przez Krzysztofa Kolumba. Jego doświadczenie wydaje się być bardzo bliskie Bartosza Muszyńskiego. I ta właśnie zależność decyduje o potędze kultury, jako plazmy przeżyć, wspólnej dla każdego, wspólnej kiedykolwiek. Ponadto decydującej o kształcie świata, który jest bezcenny ze względu na swoje ciągle niedopowiedzenie i wieloznaczność.

Obecnie twórczych poetów zastąpią inni – oni dopowiedzą to, co jest w tej chwili niedopowiedziane, lecz i otworzą nowe, bezkresne akwenty Tej tajemnicy, z których wynurzać się będą kolejne Kajmany rzeczywistości.✶

Bartosz Muszyński, *Kajmany*, Wydawnictwo „Lampa i Iskra Boża”, Warszawa 2000

Najdłuższa w Bydgoszczy tradycja  
kawiarni literacko-dziennikarskiej

PUB „PARNASIK”

ZAPRASZA

codziennie od 11<sup>00</sup> do 24<sup>00</sup>  
soboty i niedziele od 15<sup>00</sup> do 24<sup>00</sup>  
Bydgoszcz, ul. Parkowa 2  
tel. 0501 50 63 26

W Pubie „Parnasik” działa  
KLUB POLSKIEJ KSIĄŻKI  
prowadzony przez Jolanę Baziak

Adam Majewski

## Człowiek w teatrze

Zrozumieć teatr – to idea poszukiwań LESZKA KOLANKIEWICZA. Jego poprzednia książka *Dziady. Teatr święta zmarłych* jest kompilacją artykułów, które ukazywały się na łamach „Dialogu” w cyklu *Kropelka brandy ze Stonehenge*. Cykl z megalityczną budowlą kamienną w tytule niemałe zainteresowanie wzbudził wśród czytelników miesięcznika, a na wydanie książkowe *Dziadów...* czekali z zapartym tchem. Czy książka Kolankiewicza to kamień milowy, czy też drogowy skaz dla nauki o teatrze? Zapewne to drugie. Antropologia teatru w ostatnich latach stała się bowiem konkurencyjna dla historii tej dziedziny sztuki. Wyparła ją niemalże za sprawą nowych zainteresowań znanych teatrologów, a w szczególności Leszka Kolankiewicza.

Kolejna książka tego wybitnego teatrologa to *Wielki mały wóz*, który jest opowieścią o teatrze, jego źródłach w mitologii i religii, a przede wszystkim o najwybitniejszych inscenizacjach XX wieku. W *Wielkim małym wozie* mowa o przedstawieniach Jerzego Grzegorzewskiego, Włodzimierza Staniewskiego i Jerzego Jarockiego. Jednak Kolankiewicz z największą pasją opisuje teatr Eugenia Barby, nieznanego szerzej polskiej publiczności, a także „teatr pamięci” Tadeusza Kantora, lecz z perspektywy przerwanej przez śmierć pracy nad spektaklem *Dzisiaj są moje urodziny*. Ukazanie niedokończonego procesu twórczego (udokumentowanego na taśmie filmowej) jest nowatorskim ujęciem trudnej do uporządkowania materii tajemniczego, niedostępnego, bo w pełni osobistego, teatru Tadeusza Kantora. Kolankiewicz poświęcił także wiele miejsca Jerzemu Grotowskiemu, a właściwie najbardziej dyskutowanemu przedstawieniu tego reżysera *Talabot*.

Co tak naprawdę osiągnął autor *Wielkiego małego wozu* poprzez opis i zarazem wnikliwą analizę wielkich inscenizacji ubiegłego stulecia? Leszek Kolankiewicz poszukuje istoty teatru w jego filozoficznym (Jung, Morin, Eliade, Genet, Merton i in.), sakralnym, wręcz mistycznym wymiarze; ukazuje myśl zawartą w spektaklu, myśl twórcy i myśl odbiorcy. Istotą teatru jest człowiek – twórca i widz, taki wniosek płynie z lektury tej frapującej i bardzo ważnej książki.✶

Leszek Kolankiewicz, *Wielki mały wóz*, Wydawnictwo „Słowo/obraz terytorium”, Gdańsk 2002

Nowa Oficina		80-831 Cdańsk
Jedyna w Polsce		Piwna 27
galeria rysunku		tel. (058) 301 69 33
A&P w Cdańsku		



**Buta S. Okudźawa**

\*\*\*

Tam na ulicy Mojej Kłęski panuje ciągle niepogoda,  
jesienne drzewa jeszcze szumią, choć wiatr zdarł liście, zwichrzył w krąg  
a na ulicy Mej Utraty pół roku mieszka śnieg – gospodarz  
i wschodzi coraz okrutniejszy grudniowy, bezlitosny ziąb.

A na ulicy Mojej Duszy to skrzypi śnieg, to deszcz mamrocze,  
to znów zajęczy niespodzianie z dali najlichsza z lichych wieś.  
Gdy jeszcze ciemno za oknami, sikorka nagle zatrzepocze  
modrym skrzydełkiem jak żagielkiem i chce mnie swym trzepotem zwieść.

A na ulicy Moich Losów niby podniosłe, niby składnie...  
Czyż licha z ciepłych ścian osłona? Czyż nie śle kółek w niebo dym?  
I czy dźwięk trąbki nie ożywa, choć w koło mgliście i nieładnie?...  
Sikorka nie jest zaś zagadką zadaną dziwnym losom mym?

Z rosyjskiego przetłóżył Tadeusz Chróścielewski

**Jacek Karolak****Płacz gitar**

Pamięci Georga Harrisona

Melancholia fortepianu, płacz gitar  
i deszcz perkusji wybuchają niczym  
uliczny zgłęb i powoli przechodzą  
w głębię wieczoru;

w jego papierosowy dym  
i pozłocaną whisky z lodem  
rozkołysaną jak tamburyno.

Słowa piosenek smakują niczym  
koktajl o miłości, filozofii, Bogu i bólu.

Przez otwarte drzwi  
mojego słuchu  
ktoś cicho wyszedł;

ostatnie słowa, ostatnie takty  
wybrzmiały we mnie.

**Jacek Tabisz****Port w Marsylii**

Port w Marsylii. Takim, jakim widziały go moje  
oczy. A oczy nie widziały żaglowców. Dostrzegły coś  
więcej. Przede wszystkim linie. Fantastyczne, krzy-  
żujące się i pajęczne. Ale te linie nie były lepkie. Bar-  
dziej suche, jak gałęzie drzew późną, północną jesie-  
nią. To błękit wytrawił je jak graficzną blachę. Maszty  
były lekkie jak pióra ptaków, ale miały w sobie też  
starość. Starość wielu odbytych podróży. Ta wieko-  
wość była pogodna. Pełna zapierających dech opowie-  
ści. Gdy patrzyłem na nie, czułem, że złapały mnie w  
swoją rybacką sieć. Poczulem tęsknotę za podróżą,  
daleką wyprawą w nieznanne kraje. Ale nie byłem  
smutny. Gdy przyjrzałem się uważniej, poczułem, że  
coś wiem, że coś widzę. Statki napowietrzne, gnające  
wśród chmur. Jako Holender mógłbym być kapita-  
nem jednego z latających okrętów. Przeklęty przez  
ciągly głód przestrzeni. Zabłąkanym w linie. Podarte  
żagle barw nie raniłyby już łagodnego wiatru. Wszyst-  
ko jest powietrzem, wszystko jest morzem. Wiekowy  
port odplywa wraz ze mną. Złapało go w sieć barwą  
błękitną moje pragnienie. 10

**Łucja Gocek****List z golgoty**

Mnie tutaj jeszcze nie ma.  
Jeszcze nie doszłam do drogi, którą przemierzam  
codziennie. Dobrze znam tylko jej koleiny  
i kałuże, które nie odbijają nieba, odkąd  
zmieszało się ono z popiołami World Trade Center  
i moimi łzami po tobie. Mnie tutaj nie ma.  
Nie rozpoznają mnie nawet moje odbicia w oknach  
głodnych sensacyjek, lecz zatraskających się  
na każde desperackie wołanie o pomoc.  
Chciałam uwić gniazdo z twoich obietnic, ale one  
porosły ostami, jak obietnice tych, którzy chcieli  
zbudować trzecią Polskę i ocalić Trzeci Świat.  
Nie ma mnie – zabił mnie pijany kierowca, kiedy  
przechodziłam na zielonym obok szkoły, zabiła mnie  
zabłąkana rakietą ziemia – powietrze nad lotniskiem  
w Chankale i jakaś grupka młodzików w lasku  
niedaleko Leszna. Zabiły mnie ostrza twoich słów.  
Nie ma mnie, chociaż płacę podatki i spłacam kredyty,  
i – mimo wszystko – jeszcze jestem podatna na miłość.  
Naprawdę mnie nie ma. Gdybym była, mój zeszyt  
z wierszami  
pachniałby Bogiem i pachniałby tobą. Ale on golgotą  
z jednym tylko krzyżem. Komu obiecać raj?  
Kogo odkupić bólem?

Ps. Nie ma mnie, ale jeszcze kiedyś zmartwychwstanę  
o świcie wiersza. Odrzucę kamień, co rozrósł się we mnie.  
Jeszcze będę.

**Wyniki Trzeciego Agonu Poetyckiego „O Wieniec Akantu”**

Redakcja miesięcznika „Akant”, wraz z powołanym przez siebie jury,  
postanowiły przyznać następujące nagrody w Trzecim Agonie Poetyckim pt.  
„Jest człowiek i jest Bóg; a może inaczej”:

- Grand Prix - 1000 zł - Jacek Tabisz z Wrocławia, *godło Mzamar Wierzbar*  
I nagroda - 500 zł - Aneta Kuś z Bydgoszczy, *godło graficzne*  
II nagroda - 300 zł - Krystian Hadasz z Siemianowic Śląskich, *godło Viator*  
III nagroda - 200 zł - Artur Turski z Gliwic, *godło Elmo*  
III nagroda - 200 zł - Jerzy Binkowski z Białogostoku, *godło Skroń*

**Wyróżnienia (po 100 zł):**

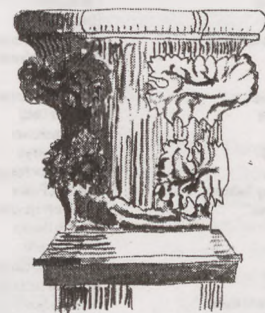
Piotr Macierzyński z Łodzi, *godło Ciśnienie*  
Alicja Mazan-Mazurkiewicz z Łodzi, *godło Biruta*  
Robert Wilczyński z Kutna, *godło dr W*

**Wyróżnienia drukiem:**

Maksymilian Bart-Kozłowski z Mogilna, *godło Lenak*  
Wojciech Brzoska z Sosnowca, *godło Hel*  
Paweł Duda z Rogowa, *godło Duduś*  
Arkadiusz Frania z Częstochowy, *godło Fra*  
Dagmara Hajduk z Łodzi, *godło Mru-Mru*  
Agnieszka Jaźwińska z Gdańska, *godło Nic*  
Agata Kosut z Krakowa, *godło Narab*  
Bartosz Małczyński z Częstochowy, *godło Wiewiórka*  
Miłosz Kamil Manasterski z Dziekanowa Polskiego, *godło Man*  
Piotr Marczyński ze Stargardu Szczecińskiego, *godło Janos*  
Marta Otrębska z Cieszyna, *godło Kropka*  
Piotr Paschke z Wrocławia, *godło Chrząst bojowy*  
Łukasz Daniel Pięta z Płocka, *godło Sie-DEM*  
Sylvia Romanowska z Brzozowych Błot, *godło Lapis*  
Jan Stanisław Smalewski z Legnicy, *godło Stan*  
Jolanta Stelmasiak z Grzybowia, *godło Nasturcja*

Na konkurs napłynęło 501 zestawów wierszy.

Do almanachu pokonkursowego zaprosimy znaczną część uczestników, których wiersze spełniły kryteria konkursu, wyróżniając się artystycznie na tle nadesłanych prac. Warunki druku zostaną uzgodnione z autorami. O sposobie wręczenia nagród powiadomimy Nagrodzonych odrębnym pismem. Wyniki konkursu podajemy również w Internecie pod adresem: [www.akant.telvnet.pl](http://www.akant.telvnet.pl) (link Nowy numer).



Gratulujemy! Nagrodzonym!  
Wyróżnionym! Docenionym!  
Redakcja



## Nowe tytuły

Józef Sporny, *Niepokoje. Almanach*, Tuchola 2002, Borowiackie Towarzystwo Kultury, ss. 32  
 Andrzej Grabowski, *Fraszownik*, Rzeszów 2002, Wydawnictwo „Ad Oculos”, ss. 104  
 Heinrich Heine, *Wiersze*, przekład z niemieckiego Antoni Skibiński, Bydgoszcz 2002, 1W „Świadectwo”, ss. 116  
 Jerzy Salata, *Potrzebne światu*, Olsztyn 2001, Stowarzyszenie Środowisk Twórczych, ss. 64  
 Stanisław Rogala, *Strzelcy i sokoty*, Warszawa 2002, LSW, ss. 328  
 Adam Majewski, *Wiersze*, Gdańsk 2002, Wydawnictwo „Pracownia”, ss. 44  
 Wiesław Janusz Mikulski, *Krajobrazy ciszy*, Ostrołęka 2002, „Caritas” Dekanatu Ostrołęckiego, ss. 226  
 Marcin Wieczorek, *Otwarcie*, Kraków 2002, Wydawnictwo „Zielona Sowa”, ss. 48  
 Maciej Fortuna, *Paszet z duszami*, Kraków 2002, Wydawnictwo „Zielona Sowa”, ss. 198  
 Grzegorz Strumyk, *Patrzeć i patrzeć*, Kraków 2002, Wydawnictwo „Zielona Sowa”, ss. 172  
 Stanisława Deluga, *Staccato*, Bydgoszcz 2002, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, ss. 48  
 Zamki gotyckie na szlakach turystycznych Pomorza, Kujaw, Warmii i Mazur, red. Włodzimierz Gaworecki, Bydgoszcz 2002, Wydawnictwo „Sport”, ss. 184  
 Tadeusz Ciszek, *Zmierzch widma*, Bydgoszcz 1999, Wydawnictwo B. Kozłowski, ss. 112  
 Joanna Jędrzejewska-Baldyga, *Tylko wiersze pozostały*, Bydgoszcz 2002, Wydawnictwo Autorskie, ss. 84  
 Ilija Selwiński, *Nerpa. Trzy poematy*, z rosyjskiego przełożył Ryszard Danecki, Poznań 2002, Wydawnictwo „Poeticon”, ss. 32  
 Danuta Korwin-Piotrowska, *Kolor tego, co nie istnieje*, Łódź 2002, Stowarzyszenie Literackie im. K. Baczyńskiego, ss. 62  
 Monika Klukas, *Może mi nie wyjść to pisanie*, Łódź 2002, Stowarzyszenie im. K. Baczyńskiego, ss. 36  
 Magdalena Jankowska, *Już*, Lublin 2002, Wydawnictwo LMG, ss. 80  
 Ryszard Nowosielski, *Aforyzmy*, Lublin 2002, Wydawnictwo „Tekst”, ss. 84  
 Andrzej Grabowski, *Ulubione, śmieszne i pocieszne*, Rzeszów 2002, Wydawnictwo „Ad Oculos”, ss. 64  
 Grzegorz Giedrys, *Wiersze dla dorastających dziewcząt z dobrych domów*, Toruń 2002, Stowarzyszenie Artystyczno-Literackie „Undergrund”, ss. 52  
 Krzysztof Grzelak, *Porucznik Borewicz odnajduje sens*, Łódź 2001, Wydawnictwo „Biblioteka”, ss. 40  
 Jerzy Feliksiak, *Za parawanem prawa*, Łódź 2002, Wydawnictwo MiW, ss. 168  
 Marzanna Pieniążek, *Walenty Fiałek – drukarz, wydawca, bibliofil pomorski*, Chełmno 2002, Miejska Biblioteka Publiczna, ss. 52  
 Sylwia Dombrowska, *W zatoce myśli*, Chełmno 2000, Wydawnictwo Autorskie, ss. 52  
 Irena Conti, *I tylko miłość*, Warszawa 2002, PIW, ss. 98  
 Mirosława Prywer, *Rytm ziemi*, Poznań 2002, Wydawnictwo „Poeticon”, ss. 48

Anna Solbut, *Walka o dzień*, Białystok 2002, Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego, ss. 100  
 Ares Chadzinikolau, *Między brzegami*, Poznań 2002, Wydawnictwo „Poeticon”, ss. 92  
 Jolanta Nowak-Węklarowa, *Serce na ziemi*, Poznań 2002, Wydawnictwo „Poeticon”, ss. 178  
 Zbigniew Gordziej, *Na skraju pamięci*, Poznań 2002, Wydawnictwo „Poeticon”, ss. 48  
 Stefan Jurkowski, *Odezwa*, Podkowa Leśna 2002, Wydawnictwo „Aula”, ss. 58  
 Adam Lewandowski, *Codziennik*, Rožnově 2002, Urząd Miasta w Rožnově, ss. 86  
 Jan Pyszko, *Strzał zieloną po...*, Kraków 2002, Oficyna Wydawnicza „Pod Pegazem”, ss. 94  
 Łucja Danielewska, *Ulotność*, Poznań 2002, Wydawnictwo „INTERFUND”, ss. 164

## Dzień dobry, Redakcje

Gratuluje coraz lepszych numerów „Akanta”.  
 Cezary Tajer

Po raz pierwszy w krótkich, ale obfitych dziejach naszej korespondencji i wymiany przesłanek nie moge się doczekać nowego numeru „Akantu”, a ludziom tak starym i schorowanym jak ja bardzo przykro i nawet niebezpiecznym jest czekać. Zdaje się, że w tekach Pisma jest jeszcze moje *to i owo* w sporych nawet ilościach. Czy Pismo spotkało jedno z tych częstych nieszczęść, jakie od dziesięciu i więcej lat spotyka w naszym Kraju pisma literackie, czy jest ktoś może obrażony recenzją.

Tadeusz Chrościelewski

Przeczytałem szkic literacki Stefana Pastuszewskiego pt. „Złe lata dziewięćdziesiąte” („Akant” 2002, nr 10). Moim zdaniem jest to istotny głos w dyskusji o kondycji literatury polskiej.

Tadeusz Lira-Ślitwa

## WYŻSZA SZKOŁA HUMANISTYCZNO-EKONOMICZNA W ŁODZI

Wydział Zamiejscowy w Bydgoszczy  
 ul. 11 Listopada 4 (VII LO); 85-643 Bydgoszcz  
 tel. (052) 324 50 16; tel./fax (052) 371 02 14

### STUDIA LICENCJACKIE

dzienne, wieczorowe, zaoczne

### KULTUROZNAWSTWO

specjalności:  
 filmoznawstwo  
 teatrologia  
 wiedza o literaturze

#### Zapisy przyjmuje:

Wydział Zamiejscowy w Bydgoszczy  
 ul. 11- Listopada 4 (VII LO), 85-643 Bydgoszcz  
 tel. (052) 324 50 16; tel./fax (052) 371 02 14

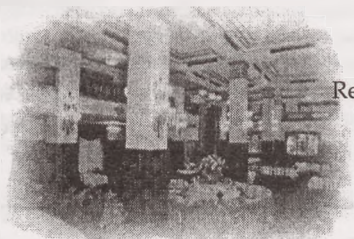
#### Zapraszamy:

poniedziałek-piątek w godz. 10<sup>00</sup>-15<sup>00</sup>

[www.wshe.lodz.pl](http://www.wshe.lodz.pl)

## Restauracja „Kolumnowa”

zaprasza codziennie w godz. 7.00-23.00



Szef kuchni oferuje  
 dania kuchni polskiej i międzynarodowej.  
 Receptury niektórych dań sięgają stuletniej tradycji.

Organizujemy:

- ✓ bankiety ✓ przyjęcia ✓ szkolenia
- ✓ konferencje ✓ imprezy cateringowe

Hotel „Pod Orłem”, ul. Gdańska 14, 85-006 Bydgoszcz  
 tel. (052) 583 05 30, fax (052) 584 02 24



**BIURO WAKACJI**  
 WIDER W DESTYNAZIONI  
 ZAWANASZONYCH  
 REZERWACJI BIUROWYCH  
**WELCOME TO KUJAWY AND POMERANIA REGION**

### FUNDATORZY „AKANTU”

Tomasz Agalowski	Hanna i Włodzimierz Krzemkowski
Jadwiga Badowska	Ewa Kwieceń
Piotr Baranowski	Ryszard Lisowski
Maksymilian Bari-Kozłowski	Zdzisław Łączkowski
Wacław Buryła	Stanisław Lubiewski
Piotr Cieleś	Anna Mickiewicz
Renata Cieszyńska	Daniela Niespodziana
Roman Drewczak	Kazimierz Obłó
Janek Durski	Anna Obuchowicz
Zdzisław Dywicki	Edmund Pietryk
Slawomir Feiter	Włodzisław Polaczek
Fundacja Pomocy Twórcom i Artystom „Eranos”	Katarzyna Prokop
Andrzej Giersz	Zbigniew Przytyński
Jerzy Grupiński	Wojciech Reszka
Kryszyna Grys	Jan Smałowski
Kryszyna Hadasz	Kryszyna Starczak-Kozłowska
Mirosława Gumpert-Hause	Bożena Szymańska
Danuta i Aleksander Kaczmarkowie	Natalia Tadych
Jerzy Kałwak	Daromila Tomawska
Janek Karciak	Mirosław Tryczyk
Mieczysław Kłian	Szczepan Warmiak
Eugenia Kłak	Ireneusz Wieczorek
Władysław Kłepka	Mieczysław Wojtasik
Barbara Klunder	Włodzimierz Zieliński
Danuta Kostewicz	Andrzej Zobrowski
Kazimierz Kozłowski	Henryk Złoci
	Łucja Zuzia

### Sprzedż „Akantu”

#### W punktach Kolportażu Prasy „Rolkon”:

- ✓ Salon Prasowy, 86-100 Świecie, Rynek
- ✓ „Viki” – Market, Bydgoszcz, ul. Skłodowskiej-Curie
- ✓ Kiosk, 86-100 Chełmno, ul. Grudziądzka 11
- ✓ Market „Netto”, 78-100 Kołobrzeg, ul. Gryfitów
- ✓ Salon Prasowy, 85-411 Bydgoszcz, ul. Podwale 11
- ✓ Kiosk „Atut”, 75-200 Koszalin, Dworzec PKP

### RADA REDAKCYJNA:

Marek Pietrzak – przewodniczący  
 Barbara Klunder-Nikołowa, Michał Krzemkowski,  
 Grzegorz Misiewicz, Wojciech Reszka,  
 Mieczysław Wojtasik, Włodzimierz Zieliński



#### Redaguje kolegium:

Jolanta Baziak – redaktor naczelny  
 Aneta Jaworska – redaktor  
 Stefan Pastuszewski – sekretarz redakcji  
 Natalia Ślesieńska – redaktor  
 Andrzej Orylski – red. wyd. internetowego  
 Jolanta Papala – korektorka  
 Grzegorz Misiewicz – kierownik kolportażu  
 Konto: IO/PKO, Oddział Bydgoszcz  
 10201462-73033-270-11  
 Adres redakcji: ul. Dworcowa 51B/4  
 85-009 Bydgoszcz, tel. 052/321 33 71  
 tel./fax 052/371 40 90  
<http://www.akant@akant.telvnet.pl>  
 Druk: GRADAR tel. 052/322 38 86



Copyright Instytut Wydawniczy „Świadectwo” - Prenumerata za pośrednictwem redakcji: półroczna - 40,00 zł, roczna - 80,00 zł (13 numerów plus koszty wysyłki) - Informacji o warunkach prenumeraty krajowej udziela oddział „Ruchu” i urzędy pocztowe. Zamawiać można w salonach KMPiK i kioskach „Ruchu”. Prenumerata zagraniczna: Wpłaty przyjmuje jednostka „RUCH” S.A. Oddział Krajowej Dystrybucji Prasy na konto w PKO S.A. IV O/W-wa, Nr 12401053-40060347-27700-401112-005 lub w kasie oddziału. Informacji o warunkach prenumeraty udziela ww. oddział - 01-248 Warszawa, ul. Jana Kazimierza 31/33, telefon: 5328-731, 5328-820, infolinia 0-800-1200-29, w Internecie: [www.ruch.pl](http://www.ruch.pl); [www.exporim.com](http://www.exporim.com). Prenumerata na całym świecie płatna kartami kredytowymi w Internecie: [www.postkaprasa.com](http://www.postkaprasa.com). tel./fax: +46-8-6639963. Opłata za wysyłkę zagraniczną - 5,60 zł. Prenumerata pocztowa: Rejonowy Urząd Poczty, 85-950 Bydgoszcz, ul. Jagiellońska 6, Konto: Bank Pocztowy S.A. Centrum Rachunków Skonolidowanych 1320019-990011-17704-201001-10380-0. Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca, a w razie opublikowania zastrzega sobie prawo do ich skracania i adustacji literackiej. Autorzy, którzy chcą otrzymać odpowiedź proszeni są o przesłanie znaczków pocztowych. Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść ogłoszeń oraz reklam i ma prawo odmówić publikacji bez podania przyczyny. Przekład materiałów w jakiegokolwiek formie i w jakimkolwiek języku, bez wcześniejszej pisemnej zgody jest zabroniony.